

SIGRID NUNEZ



PRZYJACIEL



**SIGRID NUNEZ**  
**PRZYJACIEL**

Z angielskiego przełożyła  
Dobromiła Jankowska



Tytuł oryginału *The Friend*  
Przekład Dobromiła Jankowska  
Redakcja Ewa Pawłowska  
Korekta Marcin Grabski, Grzegorz Krzymianowski  
Projekt okładki i stron tytułowych Tomasz Majewski

THE FRIEND by Sigrid Nunez  
Copyright © 2018 by Sigrid Nunez  
By arrangement with the author. All rights reserved.  
Original title *The Friend*  
All rights reserved.  
Copyright © for the Polish translation by Dobromiła Jankowska, 2019  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Pauza, 2019  
Zdjęcie autorki na okładce Copyright © Nancy Crampton

Skład i łamanie Dariusz Ziach

ISBN 978-83-953523-1-7 (EPUB); 978-83-953523-1-7 (MOBI)

**Wydawnictwo Pauza**  
**Warszawa 2019**  
**Wydanie pierwsze**

Wydawnictwo Pauza  
ul. Meksykańska 8 m. 151,  
03-948 Warszawa



Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# Spis treści

Motto

Część pierwsza

Część druga

Część trzecia

Część czwarta

Część piąta

Część szósta

Część siódma

Część ósma

Część dziewiąta

Część dziesiąta

Część jedenasta

Część dwunasta

Podziękowania

Przypisy

*Człowiek nie powinien liczyć na to,  
że pisanie ukoł jego smutek.*  
Natalia Ginzburg, *Il mio mestiere* (Mój fach<sup>[1]</sup>)

*Tam, na środku izby, na skrzyni, siedzi pies,  
ma on oczy jak filizanki, ale nic się nie bój.*  
Hans Christian Andersen, *Krzesiwo*<sup>[2]</sup>

*Każda powieść próbuje tak naprawdę  
odpowiedzieć na pytanie: „Czy warto żyć?”.*  
Nicholson Baker, *The Art of Fiction No 212*,  
„The Paris Review”

## Część pierwsza

W latach osiemdziesiątych XX wieku w Kalifornii wiele pochodzących z Kambodży kobiet zaczęło zgłaszać się do lekarzy z tym samym problemem: nie widziały. Wszystkie chore okazały się uchodźczyniami. Zanim zdołały uciec z ojczyzny, były świadkami potworności dokonywanych przez rządzących od 1975 do 1979 roku Czerwonych Khmerów. Wiele z tych kobiet zostało zgwałconych, torturowano je lub doświadczyły innych okrucieństw. Większość na własne oczy widziała śmierć członków swoich rodzin. Jedna straciła wzrok, ponieważ codziennie przez cztery lata płakała po tym, jak żołnierze zabrali jej męża i troje dzieci – nigdy więcej ich już nie zobaczyła. Nie tylko ona zapłakała się na śmierć. Inne cierpiały z powodu nieostrego widzenia lub częściowej utraty wzroku, ich oczy dręczyły cienie i boleści.

Lekarze badający te kobiety – łącznie około stu pięćdziesięciu – odkryli, że z ich oczami wszystko jest w porządku. Dalsze badania wykazały, że nie doszło również do uszkodzeń mózgu. Jeśli kobiety mówiły prawdę – niektórzy w to wątpili, uważali bowiem, że chore symulują, pragnąc zwrócić na siebie uwagę lub wyłudzić zasiłek – to jedynym wyjaśnieniem była ślepota psychosomatyczna. Innymi słowy, umysły tych kobiet, zmuszone do przyjęcia tak ogromnej dawki okrucieństwa i niemające siły na więcej, postanowiły zgasić światło.

To ostatnia rzecz, o której rozmawialiśmy, kiedy jeszcze żyłeś. Później już tylko e-mail od ciebie z listą książek, które, jak uznałeś, mogą przydać mi się w badaniach. A także – były przecież święta – najlepsze życzenia na Nowy Rok.

W twoim nekrologu znalazłam dwa błędy. Data przeprowadzki z Londynu do Nowego Jorku – pomyłona o jeden rok. Literówka w panińskim nazwisku Żony Pierwszej. Drobiazgi, wkrótce poprawione, ale wiedzieliśmy wszyscy, że niemiłosiernie by cię wkurzyły.

Po twoim pogrzebie usłyszałam coś, co by cię rozbawiło:  
– Szkoda, że nie mogę się pomodlić.

- Co cię powstrzymuje?
- On.

„Byłby”, „zrobiłby”. Martwi spoczywają w okresie warunkowym, czasie nieprawdziwym. Ale pojawia się też niezwykle wrażenie, że stałeś się wszechwiedzący, że nic, co robimy, myślimy i czujemy, nie ukryje się przed tobą. Wrażenie, że czytasz te słowa i wiesz, jakie będą następne, jeszcze zanim je napiszę.

To prawda, że jeśli płaczesz wystarczająco intensywnie i wystarczająco długo, twój wzrok może stać się nieostry.

Leżałam w łóżku, był środek dnia, to jednak nie miało znaczenia. Od płaczu dostałam migreny, od wielu dni męczył mnie pulsujący ból głowy. Wstałam, wyjrzałam przez okno. Zima jeszcze trwała, spod okna wyczuwało się chłód i przeciąg. Ale było dobrze – dobrze przycisnąć czoło do lodowatej szyby. Wciąż mrugałam, lecz wszystko stawało się zamazane. Pomyślałam o kobietach, które płakały, aż oślepiły. Mrugałam i mrugałam, wystraszyłam się nie na żarty. Później cię zobaczyłam. Miałeś na sobie starą brązową kurtkę bomberkę, tę za ciasną – dzięki czemu lepiej w niej wyglądałeś – a twoje włosy były ciemne, gęste i długie. Stąd wiedziałam, że najwidoczniej cofnęliśmy się w czasie. Bardzo daleko wstecz. Niemal trzydzieści lat.

Dokąd szedłeś? Bez konkretnego celu. Żadnego sprawunku, żadnego spotkania. Po prostu się przechadzałeś, z rękami w kieszeniach, ciesząc się ulicą. Typowe dla ciebie. „Jeśli nie mogę chodzić, nie mogę pisać”. Pracowałeś rano i w pewnym momencie, który zawsze nadchodził, kiedy się wydawało, że nie jesteś w stanie napisać prostego zdania, wychodziłeś i spacerowałeś, pokonując wiele kilometrów. Przekłète były dni, kiedy pogoda ci to uniemożliwiała (co jednak zdarzało się rzadko, bo nie przeszkadzały ci zimno ani deszcz, tylko prawdziwa burza mogła cię powstrzymać). Po powrocie siadałeś znowu do pracy, próbując utrzymać rytm, który znalazłeś, chodząc. Im lepiej ci się to udawało, tym lepiej pisałeś.

„Bo chodzi o rytm – mówiłeś. – Dobre zdania zaczynają się od rytmu”.

Opublikowałeś tekst *Jak być flanerem* – o zwyczajach miejskiego spacerowania, wałęsania się i ich miejscu w literaturze. Trochę

krytykowano cię za kwestionowanie tego, czy w ogóle istnieje ktoś taki jak „flanerka”. Uważałeś, że kobieta nie może chodzić po ulicach w tym samym duchu i celu co mężczyzna. Spacerowiczka nieustannie napotyka przeszkody: spojrzenia, komentarze, gwizdy, zaczepki. Kobieta zawsze musi być czujna. Czy ten facet nie idzie zbyt blisko? Czy tamten mnie śledzi? Jak wtedy wyciszyć się wystarczająco, by zatracić poczucie siebie i doświadczyć radości czystego istnienia, czyli ideału prawdziwego flanerstwa?

Twierdziłeś więc, że dla kobiety jego ekwiwalentem jest prawdopodobnie robienie zakupów – szczególnie ten rodzaj poszukiwań, kiedy w ogóle nie zamierzasz niczego kupić.

Uważałam, że twoje opinie wcale nie są błędne – znam mnóstwo kobiet, które długo zbierają się za każdym razem, gdy muszą wyjść z domu, i kilka takich, które starają się w ogóle unikać wychodzenia. Oczywiście kobieta musi tylko poczekać, aż osiągnie pewien wiek, w którym stanie się niewidzialna – i problem rozwiązany.

Zauważ, że używałeś słowa „kobiety”, podczas gdy tak naprawdę miałeś na myśli młode kobiety.

Ostatnio dużo chodzę, ale nie piszę. Nie dotrzymałam terminu. Dostałam miłosierne przedłużenie. Również zawaliłam. A teraz redaktor myśli, że symuluję chorobę.

Nie tylko ja błędnie uznałam, że skoro tak często o tym mówisz, to nie zdecydujesz się tego zrobić. W końcu nie byłeś najniezwyklejszą osobą, jaką znaleźliśmy. Twoja depresja nie była głęboka (pomyśl o G., o D. albo o T.-R.). Nie miałeś nawet – choć teraz brzmi to dziwnie – najbardziej wyraźnych skłonności samobójczych.

Z powodu daty – tak blisko końca roku – można by pomyśleć, że takie podjąłeś postanowienie na nowy.

Pewnego razu, kiedy o tym mówiłeś, wspomniałeś, że powstrzymywali cię studenci. Martwiłeś się oczywiście, jak wpłynęłoby na nich coś takiego. Mimo to nie zaświeciła nam się lampka, kiedy w zeszłym roku przestałeś wykładać, choć wiedzieliśmy, że to lubisz i potrzebowałeś pieniędzy.

Innym razem powiedziałaś, że dla człowieka w pewnym wieku może to być racjonalna decyzja, całkowicie normalny wybór, a nawet rozwiązanie



problemu. W przeciwieństwie do sytuacji, w której samobójstwo popełnia osoba młoda, bo to zawsze błąd.

Kiedyś rozbawiłeś nas zdaniem: „Chyba wolałbym z życia nowelkę”.

Kiedy Stevie Smith nazwał śmierć jedynym bogiem, który musi przyjść na nasze wezwanie, spodobało ci się to, tak jak wtedy, gdy różni ludzie mówili, że nie daliby rady żyć, jeśliby nie istniała możliwość samobójstwa.

Któregoś pięknego wiosennego ranka podczas przechadzki przyjaciel zapytał Samuela Becketta:

– Czy w taki dzień nie cieszysz się, że żyjesz?

– Tak daleko bym się nie zapędzał – odparł Beckett.

I czy to nie ty powiedziałaś nam, że Ted Bundy<sup>[3]</sup> pracował w telefonie zaufania dla samobójców?

Ted Bundy.

„Cześć, mam na imię Ted i jestem tu, by cię wysłuchać. Porozmawiajmy”.

Zaskoczyło nas, że odbędzie się spotkanie wspomnieniowe. Przecież słyszeliśmy, że nigdy byś na to nie pozwolił, uważałeś sam pomysł za okropny. Czy to Żona Trzecia postanowiła cię zignorować? Dlatego, że nie zostawiłeś nic na piśmie? Tak jak większość samobójców nie napisał liściku. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego tak często mówi się „liścik”. Na pewno nie wszyscy piszą krótkie.

Niemcy nazywają go *Abschiedsbrief*: list pożegnalny. (Lepiej).

Uszanowano przynajmniej twoje życzenie, by ciało poddano kremacji i nie organizowano pogrzebu ani sziwy. W nekrologu podkreślono twój ateizm.

„Jeśli człowiek ma wybór między religią a wiedzą, powinien wybrać wiedzę”.

„Co za niedorzeczność dla każdego, kto wie cokolwiek o żydowskiej historii” – napisał ktoś w komentarzu.

Uroczystość odbyła się jakiś czas potem, szok zdążył już trochę zelżeć. By myśleć o czymś innym, ludzie zastanawiali się, jak to będzie, jeśli w jednym miejscu spotkają się wszystkie żony. Nie wspominając już o kochankach (żartem dodawano, że nie zmieściłyby się w pokoju).

Poza zapętlonym pokazem slajdów, dobitnie przypominającym o utraconej urodzie i młodości, spotkanie nie różniło się specjalnie od eventów literackich. Na przyjęciu ludzie rozmawiali o pieniądzach, nagrodach literackich jako zadośćuczynieniach i ostatniej recenzji w stylu „umieraj, autorze, umieraj”. W tym przypadku „stosownie” oznaczało bez płaczu. Goście wykorzystali okazję do odnowienia kontaktów i pogawędek. Komentarze i biadolenie, bo Żona Druga zbyt wiele zdradziła w tekście wspomnieniowym (a teraz plotka głosi, że zamierza rozwinąć go w książkę).

Żona Trzecia, trzeba przyznać, błyszczała, choć był to lodowaty błysk ostrza. Jeśli będziecie się nade mną uzalać, sugerować, że to ja jestem winna – to was załatwię.

Wzruszyłam się, kiedy zapytała, jak mi idzie pisanie.

– Nie mogę się doczekać, aż przeczytam – powiedziała nieszczercze.

– Nie jestem pewna, czy dokończę – odparłam.

– Och, ale wiesz, on chciałby, żebyś dokończyła. („Chciałby”).

Ona ma ten denerwujący zwyczaj powolnego kręcenia głową w trakcie mówienia, jakby zaprzeczała każdemu wymawianemu przez siebie słowu.

Podszedł do nas ktoś trochę sławny. Zanim się odwróciła, spytała mnie jeszcze:

– Mogę do ciebie zadzwonić?

Wyszłam wcześniej. Po drodze słyszałam, jak ktoś mówi:

– Mam nadzieję, że na moje pożegnanie przyjdzie więcej osób.

I jeszcze:

– Teraz oficjalnie jest martwym białym mężczyzną.

– Czy to prawda, że świątek literacki jest podszyty nienawiścią, przypomina pole bitwy ze snajperami, na którym zazdrość i rywalizacja są nieustannie obecne? – zapytała dziennikarka radiowa jednego z uznanych autorów.

– Kto na to pozwolił? Tak tu dużo zawiści i wrogości – odparł pisarz. I próbował wyjaśniać: – To jak tonąca tratwa, na którą próbuje się wdrapać zbyt wiele osób. Tak więc każde kolejne zepchnięcie konkurenta sprawia, że dla ciebie tratwa jest bezpieczniejsza.

Nieustannie wmawia się nam, że czytanie zwiększa empatię, lecz wygląda na to, że pisanie odrobinę jej odbiera.

Kiedyś na konferencji zaskoczyłeś licznie zgromadzoną publiczność, mówiąc: „Skąd wam wszystkim przychodzi do głowy, że być pisarzem to coś wspaniałego?”. Simenon uważał, że pisarstwo to nie zawód, ale powołanie do nieszczęścia. Georges Simenon, który napisał pod prawdziwym nazwiskiem sto powieści, kolejnych sto pod kilkudziesięcioma pseudonimami i który – w wieku emerytalnym – był najlepiej sprzedającym się autorem na świecie. Rzeczywiście, pełnił nieszczęścia.

Który chełpił się tym, że zaliczył ni mniej, ni więcej, tylko dziesięć tysięcy kobiet, wiele, jeśli nie większość z nich, to były prostytutki, i który nazywał siebie feministą. Który za literacką mentorkę miał Colette, a za kochankę Josephine Baker, choć mówiono, że zakończył ten romans, ponieważ za bardzo odciągał go od pracy, spowalniając produkcję powieści do zaledwie dwunastu w tamtym roku. Który, zapytany, dlaczego został powieściopisarzem, odparł, że z nienawiści do matki. (Sporo tej nienawiści).

Simenon flaner: „Wszystkie moje książki pojawiły się w głowie podczas spaceru”.

Miał córkę, obsesyjnie w nim zakochaną. Kiedy była dziewczynką, poprosiła o obrączkę, którą ojciec jej dał. Dorastając, powiększała pierścionek, by pasował na palec. W wieku dwudziestu pięciu lat się zastrzeliła.

Pytanie: Skąd młoda paryżanka wzięła broń?

Odpowiedź: Od rusznikarza, o którym przeczytała w jednej z powieści ojca.

Któregoś dnia w 1974 roku – w tej samej uniwersyteckiej sali, w której czasami wykładam – pewna poetka ogłosiła grupie swoich studentów: „Za tydzień mogę być nieobecna”. Później wróciła do domu, włożyła stare futro swojej matki i trzymając w dłoni szklanekę wódki, zamknęła się w garażu.

To futro jest szczegółem, który nauczyciele pisania lubią wskazywać swoim studentom, jest tak zwanym znaczącym szczegółem – podobnie jak

sposób, w jaki córka Simenona zdobyła broń – których w życiu znajduje się w nadmiarze, ale w studenckiej prozie zwykle są nieobecne.

Poetka wsiada do swojego samochodu – ma pomidorowoczerwonego mercury’ego cougar z 1967 roku – i odpala silnik.

Na pierwszym prowadzonym przeze mnie kursie twórczego pisania, po tym, jak podkreśliłam wagę szczegółu, jakiś student podniósł rękę i powiedział:

– Absolutnie się nie zgadzam. Jeśli potrzebuje pani dużej liczby szczegółów, powinna pani oglądać telewizję.

Później zaczęłam rozumieć, że nie był to wcale komentarz tak głupi, jak mi się zdawało.

Ten sam student zarzucił mi również (powiedział: „pisarze tacy jak pani”), że próbuję wystraszyć innych, przedstawiając sztukę pisarską jako coś znacznie trudniejszego, niż jest w rzeczywistości.

– Dlaczego mielibyśmy to robić? – zapytałam.

– Bez żartów – rzucił. – Czy to nie oczywiste? Tort jest mały, każdy chce wyrwać kawałek dla siebie.

Moja pierwsza nauczycielka twórczego pisania mówiła swoim studentom, że jeśli mogą w życiu wybrać jakiegokolwiek inne zajęcie niż bycie pisarzem, jakiegokolwiek inny zawód, powinni to zrobić.

Wczoraj wieczorem na stacji Union Square jakiś mężczyzna grał *La vie en rose* na flecie, w tempie *molto giocoso*. Ostatnio nieustannie chodzą za mną różne melodie i oczywiście ta, w energicznym wykonaniu flecisty, dręczyła mnie później przez cały dzień. Podobno żeby pozbyć się z głowy takiej natrętnej melodii, trzeba kilka razy przesłuchać piosenkę w całości. Posłuchałam tej najsłynniejszej wersji, śpiewanej przez Edith Piaf, która napisała tekst i po raz pierwszy wykonała utwór w 1945 roku. I teraz to dziwny, płaczliwy i rozżalony głos Wróbelka, duszy Francji, nie chce mi dać spokoju.

Również na stacji Union Square człowiek z tabliczką: BEZDOMNY BEZZĘBNY DIABETYK.

– Niezłe – powiedział jakiś pasażer, rzucając drobne do papierowego kubka.

Czasami, kiedy siedzę przy komputerze, na ekranie wyskakuje reklama z pytaniem: „Pisziesz książkę?”.

O czym chce ze mną rozmawiać Żona Trzecia? Nie jestem tak ciekawa, jak mógłbyś sądzić. Gdyby istniał jakiś list, gdyby pozostała jakaś wiadomość od ciebie, do tej pory już bym je miała. Może ona planuje kolejne uroczyste spotkanie albo spisanie wspomnień, a jeśli tak, to znowu zrobi coś, czego nie chciałeś i mówiłeś o tym.

Boję się tego spotkania nie dlatego, że jej nie znoszę (bo ją lubię), ale dlatego, że nie chcę być częścią żadnego z tych rytuałów.

I nie chcę o tobie rozmawiać. Nasza relacja była dosyć nietypowa, nie zawsze do końca jasna dla innych. Nie pytałam, nigdy się więc nie dowiedziałam, co mówiłeś o nas swoim żonom. Zawsze byłam wdzięczna, że choć Żona Trzecia nie była moją przyjaciółką tak jak Żona Pierwsza, to przynajmniej nie była moim wrogiem jak Żona Druga.

Nie zawiniła temu, że wasze małżeństwo pociągało za sobą modyfikacje twoich przyjaźni, tak to już jest z małżeństwami. Ty i ja najbliżej byliśmy w czasie pomiędzy żonami, w okresach, które nigdy nie trwały długo, ponieważ byłeś wręcz patologicznie niezdolny do samotnej egzystencji. Kiedyś powiedziałeś mi, że z paroma wyjątkami, na przykład gdy wyjeżdżasz służbowo, choćby promować książkę (a i wtedy nie zawsze), od czterdziestu lat nie przespaałeś nocy samotnie. Między żonami zawsze była jakaś dziewczyna, a między dziewczynami – jednorazowe numery. (Było także coś, co lubiłeś nazywać „przejazdówką”, ale ona nie obejmowała snu).

I tu pauza, by wyznaczyć nie bez wstydu: nigdy bez ukłucia w sercu nie wysłuchiwałam informacji, że znowu się zakochałeś, nie potrafiłam też zdusić radości za każdym razem, gdy mówiłeś, że z kimś się rozstajesz.

Nie chcę o tobie rozmawiać, słuchać, jak inni to robią. Oczywiście to frazes: rozmawiamy o zmarłych, by ich zapamiętać, zatrzymać przy życiu w jedyny możliwy sposób. Okazało się jednak, że im więcej ludzie o tobie mówili, na przykład wygłaszając mowy na spotkaniu wspomnieniowym – ludzie, którzy cię kochali, którzy dobrze cię znali, którzy dobrze radzą sobie ze słowem – tym dalej uciekałeś, tym bardziej stawałeś się hologramem.

---

Ulżyło mi, że przynajmniej nie zaprosiła mnie do twojego domu. (To wciąż jest t w ó j dom). Nie żebym miała z nim jakieś specjalnie silne skojarzenia, byłam tam tylko parę razy w ciągu kilku lat, odkąd stał się twój. Pamiętam jednak dobrze pierwszą wizytę w tej starej kamienicy, niedługo po tym, jak się wprowadziłeś: podziwiałam wbudowane regały na książki, piękne chodniki na starych podłogach z orzechowego drewna, i uświadomiłam sobie, jak bardzo burżuazyjni są współcześni pisarze. Kiedyś, przy wspaniałej kolacji w domu innego pisarza, ktoś przypomniał słynną zasadę Flauberta, by żyć jak burżuj i myśleć jak półbóg, choć nigdy nie rozumiałam, jak życie tego szalonego mężczyzny mogło przypominać żywot jakiegokolwiek zwyczajnego mieszczanina. Współcześnie (zgodzili się goście) nie istnieją już niezaradni przedstawiciele cyganerii, zastąpili ich hipsterzy, znani ze swojego obycia, konsumenckiego sprytu, wyrafinowanego podniebienia i wysublimowanych gustów.

– I bez względu na to, czy to *fair* – stwierdził gospodarz, otwierając trzecią butelkę wina – wielu współczesnych pisarzy przyznaje się do zażenowania czy wstydu z powodu swojego zajęcia.

Ty, ponieważ przeprowadziłeś się tam wiele lat przed boomem, byłeś załamany, widząc, jak Brooklyn staje się marką na sprzedaż, zastanawiałeś się, dlaczego o twojej okolicy tak trudno teraz pisać, jak o kontrkulturze lat sześćdziesiątych: bez względu na to, jak szczerze były te wysiłki, wciąż spod zapisanej kartki przesiąkał atrament parodii.

Tak samo słynne jak opinia Flauberta są słowa Virginii Woolf: „Człowiek nie będzie dobrze myślał, dobrze kochał, dobrze spał, jeśli nie spożył przedtem dobrego posiłku”<sup>[4]</sup>. I wszystko jasne. Przymierający głodem artysta nie zawsze był jednak legendą, a wielu myślicieli żyło w biedzie lub chowano ich za publiczne pieniądze.

Woolf wymienia Flauberta i Keatsa jako geniuszy, którzy bardzo cierpieli, ponieważ świat był na nich obojętny. Ale co powiedziała by o niej Flaubert – on, który twierdził, że wszystkie kobiety artystki to dziwki? Oboje tworzyli postacie, które odbierały sobie życie, jak zrobiła to Woolf.

Był taki czas – nawet całkiem długi – kiedy ty i ja widywaliśmy się niemal codziennie. Tymczasem od kilku lat równie dobrze moglibyśmy mieszkać w innych krajach, a nie innych dzielnicach, bo choć byliśmy w stałym kontakcie, to głównie mailowym. W zeszłym roku częściej

wpadaliśmy na siebie przypadkiem, na jakiejś imprezie, spotkaniu autorskim czy innym, a nie po umówieniu.

Dlaczego więc tak bardzo się boję wejść do twojego domu?

Bo chyba się rozsypię na widok znajomej części twojej garderoby, jakiejś książki czy zdjęcia, jeśli wyczuję ślad twojego zapachu. I nie chcę się rozsypać, mój Boże, nie chcę się rozsypać, stojąc obok wdowy po tobie.

„Piszesz książkę? Piszesz książkę? Kliknij i dowiedz się, jak wydać książkę”.

Ostatnio, odkąd zaczęłam pisać tę książkę, zaczęła wyskakiwać nowa wiadomość.

„Jesteś samotny? Cierpisz na zaburzenia lękowe? Masz depresję? Całodobowy telefon zaufania – zadzwoń”.

Jedynę zwierzę, które popełnia samobójstwo, jest również jedynym zwierzęciem, które szlocha. Choć słyszałam, że jelenie zagonione przez psy, wyczerpane nagonką, nie mogąc uciec, czasami także ronią łzy. Istnieją również doniesienia o płaczących słoniach, no i ludzie opowiedzą ci najróżniejsze łzawe historie o swoich kotach i psach.

Według naukowców zwierzęce łzy to objaw stresu, nie można ich mylić z emocjonalną istotą ludzką.

U ludzi chemiczny skład łez wywołanych emocjami różni się od łez oczyszczających lub nawilżających oko, na przykład z powodu podrażnienia. Wiadomo, że uwolnienie tych substancji pomaga płaczącemu, co wyjaśnia, dlaczego ludzie zazwyczaj czują się lepiej, kiedy porządnie sobie popłaczą, oraz dlaczego niesłabnącą popularnością cieszą się wyciskacze łez.

Laurence Olivier podobno wpadał we frustrację, ponieważ w przeciwieństwie do wielu innych aktorów nie potrafił płakać na zawołanie. Ciekawie byłoby poznać chemiczny skład łez produkowanych przez jakiegoś aktora i dowiedzieć się, do którego rodzaju należą.

W legendach i bajkach ludzkie łzy, podobnie jak ludzkie nasienie i ludzka krew, miewają magiczne właściwości. Pod koniec baśni o Roszpuncie, kiedy po latach nieszczęścia spędzonych osobno bohaterka i książę odnajdują się i obejmują, jej łzy wpadają mu do oczu i cudownym

sposobem przywracają księciu wzrok, który ten stracił przez złą czarownicę.

Jedna z wielu legend o Edith Piaf również dotyczy cudownego odzyskania przez nią wzroku. Zapalenie rogówki, które w dzieciństwie na kilka lat oślepiło przyszłą artystkę, minęło po tym, jak prostytutki pracujące w burdelu babki Edith (który wówczas był jej domem) zabrały dziecko na pielgrzymkę do Lisieux, gdzie została pochowana Święta Teresa od Dzieciątka Jezus. Może to kolejna bajka, lecz przecież Jean Cocteau powiedział kiedyś, że Piaf, śpiewając, ma „oczy niewidomej, której zdarzył się cud, oczy jasnowidzącej”.

„Ale na dwa dni oślepiłam... Co widziałam? Nigdy się nie dowiem”. Słowa poetki opisujące pewien epizod z dzieciństwa, okresu pełnego przemocy i życia w nędzy. Louise Bogan. Która powiedziała również: „Najwidoczniej od urodzenia doświadczałam przemocy”.

Myślałam, że znam tę baśń braci Grimm na pamięć, zapomniałam jednak, że księżę próbuje popełnić samobójstwo. Wierzy czarownicy, która mówi, że biedak nigdy nie zobaczy już Roszpunki, a wtedy on rzuca się z wieży. Pamiętałam, że wiedźma oślepia bohatera paznokciami – i straszy, że kot, który złapał uroczego ptaszka należącego do księcia, także wydrapie mu oczka. Tak naprawdę księżę traci wzrok dopiero po skoku. Lądując, wpada w ciernie, które przesywają mu oczy.

Nawet w dzieciństwie uważałam jednak, że czarownica miała prawo być zła. Obietnica jest obietnicą, a przecież nie zmusiła rodziców podstępem, by oddali swoje dziecko. Dobrze opiekowała się Roszpunką, chroniąc ją przed złym światem. Wydawało mi się niesprawiedliwe, że pierwszy przystojny młodzieniec, który się pojawił, miałby ją zabrać.

W dzieciństwie, w czasie, kiedy najbardziej lubiłam czytać bajki, miałam niewidomego sąsiada. Choć był dorosły, wciąż mieszkał z rodzicami. Oczy zawsze ukrywał za dużymi ciemnymi okularami. Nie rozumiałam, dlaczego osoba niewidoma musi chronić oczy przed światłem. Odślonięta część jego twarzy była surowa i przystojna, jak u telewizyjnego kowboja. Może był gwiazdą filmową albo tajnym agentem, lecz



w opowiadaniu, które o nim napisałam, był zranionym księciem i moje łyży go ocaliły.

---

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu miejscu. Miło, że chciało ci się przyjechać.

Podróż, jak doskonale wie, zajęła mniej niż pół godziny, ale Żona Trzecia stara się być uprzejma. A „to miejsce” jest urokliwą kawiarnią w europejskim stylu, niedaleko twojej kamienicy. (To wciąż t w o j a k a m i e n i c a). Idealna sceneria – pomyślałam, wchodząc i widząc ją przy stoliku pod oknem bez żadnego elektronicznego urządzenia, jak wszyscy pozostali, którzy siedzieli tam sami (albo i nie sami), zamiast tego obserwowała ulicę. Elegancka, piękna kobieta.

„To jedna z tych kobiet, które znają pięćdziesiąt sposobów na zawiązanie apaszki” – była to pierwsza opinia, jaką o niej wygłosiłeś.

Nie chodzi nawet o to, że Żona Trzecia nie wygląda na sześćdziesiąt lat, tylko o to, że w jej wydaniu atrakcyjny wygląd w tym wieku wydaje się naturalny. Pamiętam, jak bardzo się zdziwiliśmy, kiedy zacząłeś się z nią spotykać – z wdową niemal w twoim wieku. Oczywiście myśleliśmy o Żonie Drugiej i o innych, jeszcze młodszych, no i o tym, że biorąc pod uwagę twoje skłonności, było tylko kwestią czasu, zanim pojawi się ktoś młodszy od twojej córki. Uznaliśmy, że to przez bitwy w drugim małżeństwie, które – jak mawiałeś – dodały ci dziesięć lat, wpakowałeś się w ramiona kobiety w średnim wieku.

Choć ją podziwiam – świeżo ostrzyżone i ufarbowane włosy, makijaż, piękny manikiur i z pewnością, mimo że niewidoczny, równie piękny pedikiur – to nie mogę pozbyć się pewnej myśli, tej samej, która przyszła mi do głowy, kiedy ją zobaczyłam na spotkaniu wspomnieniowym. Przypomniała mi się informacja medialna o parze, której dziecko zniknęło w trakcie rodzinnych wakacji. Mijały kolejne dni, dziecka nie odnaleziono, nie było żadnych tropów i cień podejrzenia padł na rodziców. Sfotografowano ich, jak wychodzili z posterunku policji, z pozoru zwyczajna para, twarze bez żadnego wyrazu. Zapamiętałam jednak, że kobieta miała uszminekowane usta i biżuterię: naszyjnik, chyba medalion, i duże kolczyki-obręcze. Zdziwiło mnie, że w takiej chwili ktoś mógłby

trudzić się malowaniem i wybierać ozdoby. Spodziewałabym się raczej wyglądu bezdomnej.

I teraz, w kawiarni, znowu myślę: To jest żona, ona znalazła ciało. Mimo wszystko tutaj, tak jak podczas uroczystości, podjęła wysiłek nie tylko, by wyglądać schludnie i stosownie do sytuacji, ale także możliwie najlepiej, jak się da: twarz, sukienka, paznokcie, odrosty – zadbała starannie o wszystko.

Nie czuję krytycyzmu, tylko podziw.

Była inna – należała do niewielu w twoim życiu ludzi niezwiązanych w żaden sposób ze światem literackim albo akademickim. Pracowała wcześniej jako konsultantka w tej samej firmie na Manhattanie, w której zatrudniono ją po studiach biznesowych. „Ej, ona czyta więcej ode mnie” – mówiłeś ludziom, a my się krzywiliśmy. Od początku uprzejma, choć zdystansowana, przyjęła mnie jako jedną z twoich najdawniejszych przyjaciółek, ale sama pozostała dla mnie tylko znajomą. Zachowywała się w stosunku do mnie i tak dużo lepiej niż szalona z zazdrości Żona Druga, która zażądała, żebyś przestał się widywać ze mną czy z jakąkolwiek kobietą z przeszłości. To jednak nasza przyjaźń wyjątkowo ją drażniła – nazywała ją związkiem kazirodczym.

„Dlaczego «kazirodczym»”? – zapytałam.

Wzruszyłeś ramionami i odparłeś, że według niej jesteśmy z sobą zbyt blisko.

Nigdy by nie uwierzyła, że nie łączył nas seks.

Kiedyś w trakcie rozmowy telefonicznej powiedziałam coś, co cię rozbawiło. W tle usłyszałam, jak ona narzeka, że próbuje czytać. Kiedy zignorowałeś ją i dalej się śmiałeś, wpadła w szał. Rzuciła książką w twoją głowę.

Odmówiłeś. Mogłeś spotykać się ze mną rzadziej, ale nie zgodziłeś się na całkowite zerwanie kontaktów.

Przez jakiś czas znosiłeś napady furii, latające przedmioty, krzyki i szlochy, skargi sąsiadów. A później kłamałeś. Przez wiele lat spotykaliśmy się potajemnie, jakbyśmy naprawdę byli kochankami. Szaleństwo. Jej wrogość nigdy nie osłabła. Jeśli się gdzieś spotkałyśmy, ciskała wzrokiem błyskawice. Robiła to nawet na uroczystości. Jej córka – twoja córka – była nieobecna. Ktoś mówił, że wyjechała, chyba do Brazylii, by prowadzić badania nad zagrożonym gatunkiem ptaka.

Masa nieszczęśliwości między tobą a twoim wyobcowanym jedynym dzieckiem, jeszcze mniej pobłażliwym wobec cudzołóstwa niż matka.

„Ona tego nie rozumie – mówiłeś. – Wstydzi się mnie”.

(Dlaczego myślałeś, że ona tego nie rozumie?).

Tymczasem we wspomnieniach Żony Drugiej nie było ani odrobiny goryczy. Powiedziała, że byłeś jej światłem i miłością jej życia – najlepszym, co jej się przydarzyło. A teraz podobno pisze książkę o waszym małżeństwie. „Fabularyzowaną”. Z której być może się dowiem, czy kiedykolwiek powiedziałeś Żonie Drugiej, że tak naprawdę spaliśmy ze sobą. Raz. Lata temu. Na długo przed tym, jak się poznaliście.

Sam ledwie skończyłeś studia i już zacząłeś uczyć. Spośród twoich studentów nie tylko ze mną się zaprzyjaźniłeś i oboje na tych samych zajęciach poznaliśmy Żonę Pierwszą. Zostałeś najmłodszym wykładowcą na wydziale, jego cudownym dzieckiem, a dla swoich studentek – Romeem. Uważałeś, że jakkolwiek próbę wygnania miłości z sali wykładowej należy uznać za z góry skazaną na porażkę. „Świetny nauczyciel jest uwodzicielem – twierdziłeś – i czasami musi również łamać serca”. Fakt, że nie do końca rozumiałam, o czym mówisz, nie czyniło tych słów mniej ekscytującymi. Rozumiałam za to, że pragnęłam wiedzy, a ty miałeś moc, by mi ją przekazać.

Nasza przyjaźń wykroczyła poza rok akademicki i latem – w tym samym czasie, kiedy zacząłeś podrywać Żonę Pierwszą – staliśmy się nierozłączni. Któregoś dnia zaskoczyłeś mnie, mówiąc, że powinniśmy się pieprzyć. Biorąc pod uwagę twoją reputację, nie wiem, dlaczego się zdziwiłam. Ale minęło wystarczająco dużo czasu i już nie czekałam z takim niepokojem, aż zaatakujesz. Aż nagle przyszła ta bezpośrednia propozycja i nie wiedziałam, co myśleć. Głupio zapytałam: „Dlaczego?”.

„Ponieważ – odparłeś rozbawiony, dotykając moich włosów – powinniśmy się tego o sobie dowiedzieć”.

Chyba żadnemu z nas nie przyszło do głowy, że mogłabym odmówić. Wśród wszystkich moich pragnień w tamtym czasie – a można by go nazwać najbardziej płomiennym czasem w życiu – jednym z najsilniejszych było komuś zaufać, zaufać mężczyźnie.

Później z przerażeniem słuchałam, jak mówisz, że to błąd, niepotrzebnie próbowaliśmy być kimś więcej niż przyjaciółmi.

Przez jakiś czas symulowałam chorobę. Trochę dłużej udawałam, że wyjechałam z miasta. A później naprawdę zachorowałam, za co winiałam

ciebie, i przeklinałam, i nie wierzyłam, że możesz być moim przyjacielem.

Gdy się jednak spotkaliśmy ponownie, zamiast bolesnej niezręczności, której się bałam, okazało się, że coś zniknęło – jakieś napięcie, zakłócenie, którego nie byłam wcześniej do końca świadoma.

Oczywiście dokładnie na to miałaś nadzieję. Teraz, nawet kiedy już zdobyłeś Żonę Pierwszą, nasza przyjaźń się umocniła. Miała przetrwać wszystkie inne moje przyjaźnie. I przynieść mi wielką radość. Miałam szczęście: cierpiałam, ale w przeciwieństwie do innych nie miałam złamanego serca. („Czyżby?” – prowokował mnie kiedyś terapeuta. Nie tylko Żona Druga widziała coś niezdrowego w naszych relacjach i nie tylko terapeuta zastanawiał się, czy może właśnie dlatego od tylu lat jestem singielką).

Żona Pierwsza. Bez wątpienia prawdziwa i namiętna miłość. Chociaż z twojej strony wiarołomna. Zanim się rozstaliście, przeszła załamanie nerwowe. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że na zawsze się zmieniła. Ty jednak również. Pamiętam, jak cię bolało, kiedy wyszła ze szpitala i natychmiast związała się z kimś innym.

Gdy wzięła drugi ślub, przysięgałeś, że ty nigdy tego nie zrobisz. Później nastąpiła dekada romansów, zwykle krótkotrwałych, ale kilka trudno było odróżnić od małżeństwa. Nie pamiętam żadnego, który nie skończyłby się zdradą.

„Nie lubię mężczyzn, którzy zostawiają za sobą ślad szlochających kobiet” – powiedział W.H. Auden. Który by cię nienawidził.

Żona Trzecia. Pamiętam, jak opowiadałeś nam, że jest twarda. („Moja opoka” – mówiłeś). Najstarsza z dziewiątki rodzeństwa, w dzieciństwie musiała przejąć wiele obowiązków, kiedy matkę powaliła ciężka choroba, a ojciec pracował na dwa etaty. O jej pierwszym małżeństwie wiedziałam tylko tyle, że mąż zginął podczas wspinaczki górskiej i że mieli dziecko, syna.

Po raz pierwszy spotykamy się tylko we dwie. Zawsze miałam ją za dość wstrzemięźliwą, dziwi mnie więc, jak bardzo jest dzisiaj gadatliwa, jakby espresso rozwiązało jej język niczym wino. Robi to coś głową, potrząsa nią, mówiąc, przechyla wolno do tyłu i do przodu – czy próbuje mnie zahipnotyzować? Sprawia wrażenie zdenerwowanej, choć głos ma spokojny i cichy.

Mówi, że nie był pierwszą w jej życiu osobą, która popełniła samobójstwo.

– Mój dziadek się zastrzelił. Byłam małą dziewczynką, kiedy to się stało, i go nie pamiętam. Mimo wszystko ta śmierć stała się częścią mojego dzieciństwa. Rodzice nigdy o niej nie rozmawiali, lecz zawsze istniała, jak chmura wisząca nad domem, pająk siedzący w rogu, potwór pod łóżkiem. Był dziadkiem po mieczu i wbijano mi do głowy, że mam nigdy, przenigdy nie pytać ojca o niego. Kiedy dorosłam, w końcu zmusiłam matkę, żeby mi o tym opowiedziała. Mówiła, że samobójstwo dziadka zupełnie wszystkich zaskoczyło. Nie zostawił listu, nikt, kto go znał, nie potrafił znaleźć powodu, dla którego miałby to zrobić. Nie zauważono oznak depresji, a co dopiero myśli samobójczych. Ten brak wyjaśnienia sprawiał, że ojciec czuł się jeszcze gorzej i przez długi czas się upierał, jakoby ktoś musiał być w to zamieszany. Ponoć złościł się na dziadka, że nie wytłumaczył, dlaczego się zabił, a nie za to, że to zrobił. Najwyraźniej tata oczekiwał, że przyczynę samobójstwa można zracjonalizować.

Ty za to od zawsze cierpiełaś na depresję. I nigdy nie była silniejsza – jak twierdzi Żona Trzecia – niż w ciągu tych sześciu miesięcy zeszłego roku, kiedy rano ledwie wstawiałaś z łóżka i nie mogłaś napisać słowa. Dziwne było jednak, że przewyciężyłaś kryzys i przynajmniej od końca lata miałaś dobry humor. Przede wszystkim posucha dobiegła końca i po wielu falstartach w końcu zaczęłaś coś, co cię ekscytowało. Każdego ranka siadałaś przy biurku i zwykle twierdziłaś, że pisanie idzie dobrze. Dużo czytałaś, tak jak zawsze wtedy, gdy pracowałaś nad powieścią. I wróciłaś do aktywności fizycznej.

Żona Trzecia wyjaśnia mi, że jednym z czynników, które w zeszłym roku wywołały u ciebie depresję, był ból pleców, którego się nabawiłaś, przenosząc jakieś pudła. Przez kilka tygodni nie mogłaś później ćwiczyć. Nawet chodzenie sprawiało ci ból.

– A pamiętasz jego mantrę – przypomina mi. – „Jeśli nie mogę chodzić, nie mogę pisać”.

Kontuzja w końcu została jednak wyleczona, wróciłaś do długich spacerów i biegania po parku.

– Wrócił też do życia towarzyskiego, nadrabiał spotkania z ludźmi, których unikał, gdy był w depresji. A wiesz, że przygarnął psa?

Rzeczywiście, napisałaś mi w mailu o psie, którego znalazłaś pewnego ranka w trakcie joggingu. Stał na wystającej skale, sylwetka na tle nieba:

największy pies, jakiego w życiu widziałeś. Dog niemiecki, arlekin. Bez obroży czy adresówki, uznałeś więc, że choć jest rasowy, to ktoś go porzucił. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, by odnaleźć właściciela, a gdy się nie udało, postanowiłeś przygarnąć psa. Twoja żona była przerażona. „Ona w ogóle nie lubi psów – mówiłeś – a Dino to kawał zwierzaka”. Prawie dziewięćdziesiąt centymetrów w kłębie. Osiemdziesiąt kilogramów żywej wagi. Dołączyłeś zdjęcie: ty i pies, policzek przy pysku, na pierwszy rzut oka wielki łeb przypominał kucyka.

Później postanowiłeś zmienić mu imię. „Ma zbyt wielką godność, by być Dinem – mówiłeś. – Co myślę o Diegu? Watsonie? Rolfie? Arlu? Alfie? Szczęściarzu?”. Wszystkie te imiona podobały mi się i świetnie pasowały do dużego psa. W końcu nazwałeś go Apollem.

Żona Trzecia pyta, czy znałam jednego z twoich kolegów, który popełnił samobójstwo kilka miesięcy przed tobą.

– Nigdy go nie spotkałam – odpowiadam. Choć mi o nim opowiadałeś.

– Biedaczek był w fatalnym stanie. Cierpiał na rozedmę płuc, dusznicę bolesną, cukrzycę i do tego wszystkiego miał jeszcze nowotwór. Bardzo ciężko mu się żyło.

Za to ty cieszyłeś się doskonałym zdrowiem. Twój lekarz twierdził, że masz serce i rzeźbę ciała dużo młodszego mężczyzny.

Zapadło milczenie. Wydaje z siebie niemal niesłyszalne westchnienie, gdy obraca głowę do okna, omiata spojrzeniem ulicę, jakby tam miała nagle pojawić się odpowiedź, tylko trochę się spóźnia.

– Chodzi mi o to, że choć miewał górki i dołki, martwił się starzeniem tak samo jak my wszyscy, to naprawdę był w świetnej formie.

Kiedy nic nie mówię – cóż bowiem miałabym na to odpowiedzieć? – kontynuuje:

– To chyba był błąd, że przestał wykładać. Nie tylko dlatego, że to kochał. Praca nadawała jego życiu porządek, który z pewnością mu pomagał. Choć wiem też, że uczenie nie sprawiało mu już tyle radości, co kiedyś. I tak naprawdę ciągle narzekał. „Uczenie stało się zbyt demoralizujące – powiedział – szczególnie dla pisarza”.

Pika mój telefon. Wiadomość nie jest pilna, ale z lekkim niepokojem zauważam godzinę. Nie żebym musiała dokądś iść – nie mam dzisiaj innych planów. Minęło jednak pół godziny, mamy puste filiżanki, a ja wciąż nie wiem, co tu robię. Czekam, aż ona poruszy jakiś konkretny temat, który na początek jest zbyt drażliwy i który będzie mi jeszcze trudniej omawiać,

ponieważ nie mam pojęcia, ani co ona myśli, ani nawet ile wie. Przychodzi mi do głowy kilka spraw, o których mogłeś jej nie wspomnieć, na przykład o grupie studentek, które skarżyły się, że zwracasz się do nich „kochanie”.

Uważałam, że dobrze sobie poradziły z tą sytuacją. Wysłały list do ciebie – i do nikogo innego.

„Pewnie sądzi Pan, że to urocze – pisały. – A tak naprawdę to poniżające. Niewłaściwe. Proszę przestać”.

I przestałeś, choć z niezadowoleniem. Całkowicie nieszkodliwy nawyk, przecież robiłeś to od... ilu lat? Wielu, odkąd zacząłeś uczyć. I przez wszystkie te lata żadnej skargi, ani jedna studentka nie zgłosiła sprzeciwu. A teraz wszystkie studentki z grupy (a w grupach pisarskich większość to zwykle kobiety) podpisały ten list. Oczywiście poczułeś się zaatakowany.

„Czy to nie małostkowe? – pytałeś mnie. – Czy nie widzisz, jakie to wszystko absurdalne i małostkowe? Gdyby z równą energią przepracowywały dobór słów w swoich pracach!”.

Jedna z niewielu spraw, o które się pokłóciliśmy.

„Fakt, że nikt głośno niczego nie powiedział, nie znaczy, że się nie sprzeciwiał takiemu zachowaniu” – wyjaśniłam.

„Cóż, skoro nic nie mówili, to nie miały nic przeciwko, prawda?” – stwierdziłeś.

Bez sensu (przyznaję, nie przemyślałam tego) przypominałam ci wtedy o słynnym poecie, który wiele lat wcześniej prowadził ten sam kurs i który, wybierając studentów starających się o miejsce na jego zajęciach, przesłuchiwał wszystkie kobiety osobiście, by móc zastosować kryterium urody. I uszło mu to płazem.

Myślałam, że eksplodujesz.

„To się nazywa krzywdzące porównanie!”.

Jak śmiem sugerować, że kiedykolwiek zrobiłeś coś takiego.

„Przepraszam”.

Za to z pewnością przez wszystkie te lata miałeś serię romansów ze studentkami i byłymi studentkami.

Nigdy nie widziałeś w tym nic złego. „Gdybym uważał, że to błąd, tobym tego nie robił”. Zresztą nie istniał oficjalny zakaz. „I bardzo dobrze – mówiłeś. – Sala wykładowa to najbardziej erotyczne miejsce na świecie. Zaprzeczanie temu jest dziecinne. Poczytaj George’a Steinera. Przeczytaj *Nauki Mistrzów*”. Przeczytałam George’a Steinera, który zresztą był również twoim nauczycielem, poważanym, uwielbianym. Przeczytałam

*Nauki Mistrzów* i cytuję: „Ukryty czy jawny, wyobrażany czy faktyczny – erotyzm jest nieodwołalnie wpleciony w nauczanie [...]. Koncentracja na seksualnym molestowaniu trywializuje cały problem”<sup>[5]</sup>.

Niewypowiedziane: jestem hipokrytką. Oboje wiedzieliśmy, że miałam frajdę, kiedy zwracałeś się do mnie „kochanie”.

I pozwoliłam ci zauważyć: „Niejeden raz to studentka cię uwiodła”.

Pamiętam jednak, że była pewna kobieta, na początku, studentka z zagranicy, która odtrąciła twoje awanse i później oskarżyła cię, że się zemściłeś, stawiając jej piątkę z minusem zamiast piątki, na którą zasługiwała. Okazało się, że akurat ta studentka miała zwyczaj kwestionowania ocen, a komisja, która rozpatrywała jej skargę, uznała, że piątka minus to i tak podejrzanie wysoka ocena. Mimo to: choć związków między wykładowcami i studentami oficjalnie nie zakazano, twoje zachowanie było niestosowne oraz świadczyło o braku zdrowego osądu moralnego, nie powinno się go więc tolerować.

Ostrzeżenie. Które zignorowałeś. I uszło ci to płazem.

Zmieniłeś się dopiero po wielu latach. Musiałeś się najpierw zestarzeć.

Właśnie skończyłeś pięćdziesiąt lat. Przytyłeś dziesięć kilo, które rzuciłeś, choć dopiero po jakimś czasie. Przyszedłeś do baru już podcięty, uchlałeś się na amen, wszystko wygadałeś. Wolałabym, żebyś zamilknął. Nie znosiłam, kiedy opowiadałeś o kobietach. To nie była zazdrość, już nie, przysięgam, dawno pogodziłam się z tą stroną twojej osobowości. Nie znosiłam jednak się za ciebie wstydzić. Wiedziałaś, że nic nie mogę zrobić, ale i tak musiałeś pokazywać mi swoją ranę. Nawet jeśli to wymagało obnażenia się.

Ona ma dziewiętnaście i pół roku – dość mało, by „i pół” miało jeszcze znaczenie. Nie kocha cię, co jeszcze zniesiesz (i co, szczerze powiedziawszy, wolisz). Nie możesz jednak znieść, że cię nie pragnie. Czasami udaje pożądanie, choć nie z nadmiernym poświęceniem. Zwykle jest zbyt leniwa, by robić nawet to. A tak naprawdę nie interesuje jej seks. Nie jest z tobą dla seksu. Seks, który ją interesuje, o czym doskonale wiesz, dostaje gdzie indziej.

Teraz to już powtarzalny wzór: młode kobiety, które godzą się z tobą pieprzyć, lecz nie odczuwają tego pożądania, które ciebie do nich przyciąga. Kieruje nimi narcyzm, ekscytacja sprowadzenia starszego mężczyzny z autorytetem na kolana.



Dziewiętnastoipółletnia dziewczyna ciągnie cię na smyczy. Chodź, chodź, tędy – nie, tędy, profesorze.

Lubiłeś mówić (chyba kogoś cytując), że młode kobiety mają największą władzę na świecie. Nie jestem tego taka pewna, lecz wszyscy wiemy, o jaką władzę chodzi.

Rozwiązłość zawsze była twoją drugą naturą (tak samo jak twojego ojca, okazuje się). A ponieważ byłeś przystojny, wygadany, miałeś brytyjski akcent i pewność siebie, bez problemu przyciągałeś kobiety, które ci się podobały.

„Intensywność życia miłosnego – twierdziłeś – nie tylko pomaga w pracy, ale wręcz jest w niej nieodzowna”. Balzac lamentujący po namiętnej nocy, że właśnie stracił książkę, Flaubert upierający się, że orgazm wysysa z mężczyzny twórcze soki – że stawianie pracy przed życiem oznacza tak wielką abstynencję seksualną, jaką tylko da się wytrzymać – historie interesujące, ale tak naprawdę niemądre. „Gdyby miały oparcie w rzeczywistości, to mnisi byłiby najbardziej twórczymi ludźmi na ziemi” – mówiłeś. A zresztą wielu świetnych pisarzy było również potwornymi kobieciarzami, a przynajmniej znanymi z wielkiego popędu seksualnego. „Piszesz dla dwojga, jak twierdził Hemingway – przypominaleś. – Najpierw dla siebie, później dla kobiety, którą kochasz”. Sam ponoć nigdy nie pisałeś lepiej niż w okresach, w których uprawiałeś dużo dobrego seksu. Dla ciebie początek romansu często oznaczał okres wielkiej płodności pisarskiej. To była jedna z twoich wymówek dla zrad. „Miałem blokadę i *deadline*” – powiedziałeś mi kiedyś. Bynajmniej nie żartem.

Twierdziłeś, że wszystkie kłopoty, które pojawiały się w twoim życiu przez kobiety, są tego warte. Oczywiście nigdy na poważnie nie rozważałeś, żeby się zmienić.

O to, że zmiana musi nadejść – i niekoniecznie możesz mieć w tej kwestii coś do powiedzenia – specjalnie się nie martwiłeś.

Pewnego dnia w jakiejś hotelowej łazience doznałeś wstrząsu. Wysokie lustro powieszona dokładnie naprzeciwko kabiny prysznicowej. Nic znowu obleśnego jak na faceta w średnim wieku. W blasku łazienkowych reflektorków nie dało się jednak zaprzeczyć prawdzie.

Takie ciało nie podnieci żadnej kobiety.

Kiedy zabiorą ci siłę, nigdy już jej nie odzyskasz.

Mówiłeś, że odebrałeś to jak coś w rodzaju kastracji.

Ale przecież o to chodzi w starzeniu się, prawda? Kastracja w zwolnionym tempie. (Czy ja cię tu cytuję? Czy wzięłam te słowa z jednej z twoich książek?).

Uganiecie się za kobietami było tak ważną częścią twojego życia, że nie potrafiłeś sobie go wyobrazić bez tego. Kim byś wtedy był?

Kimś innym.

Nikim.

Nie żebyś był gotów się poddać. Przede wszystkim zostawały jeszcze dziwki. A uwodzenie studentek wcale się nie skończyło. Zresztą już wcześniej wiedziałeś, że dla młodych kobiet nawet facet po trzydziestce to właściwie starzec.

Chociaż jak dotąd nie musiałeś zadowalać się zbliżeniami, którym poddawały się kobiety – całkowicie – i całkowicie bez pożądania.

Kolejne lustro: *Hańba* J.M. Coetzego. Jedna z twoich – naszych – ulubionych książek jednego z naszych ulubionych autorów.

David Lurie: ten sam wiek, ten sam zawód, te same skłonności seksualne. Ten sam kryzys. Na początku powieści narrator opisuje to, co uważa za nieuchronny los każdego starszego mężczyzny: należeć do tego rodzaju klientów, na widok których prostytutki wzdygają się jak człowiek „w środku nocy na widok karalucha w umywalce”<sup>[6]</sup>.

W barze, pijany i ckliwy, opowiadasz, jak podszedłeś pocałować swoją dziewczynę, a ona się od ciebie odsunęła. „Coś mi strzeliło w szyi” – powiedziała.

„Może przestaniesz się z nią widywać” – mówię automatycznie, dobrze wiedząc, że nie jesteś zdolny do oszczędzenia sobie dużo gorszego upokorzenia.

David Lurie jest tak przerażony swoim pogarszającym się stanem fizycznym – przestał już być seksualnie atrakcyjny, ale wciąż kipi pożądaniem – że zaczyna zastanawiać się nad prawdziwą kastracją, medyczną, rozważa także zrobienie tego samemu z pomocą podręcznika. Bo czy mogło to być bardziej obrzydliwe od obleśnego starego mężczyzny?

Zamiast tego zmusza do stosunku jedną ze swoich studentek, skacze na główkę w niesławę, która przyniesie mu klęskę.

Czytałeś tę książkę całym sobą.

Miałeś jednak większe szczęście niż profesor Lurie. Nie zaznałeś niesławy. Za to żenady – często. Czasami wstydu. Ale nigdy prawdziwej, nieodwracalnej hańby.

Żona Pierwsza miała pewną teorię. „Istnieją dwa rodzaje kobieciarzy – mówiła. – Tacy, którzy kochają kobiety, i tacy, którzy ich nienawidzą. Ty należysz do pierwszego”. Uważała, że kobiety zwykle są bardziej wyrozumiałe, łatwiej wybaczą, a nawet chcą chronić takich jak ty. Mniej prawdopodobne, że będą się mścić, jeśli je skrzywdzisz.

„Oczywiście to pomaga, jeśli mężczyzna jest artystą – twierdziła – albo ma inne szlachetne powołanie”.

Albo jest wyjęty spod prawa – pomyślałam w głębi duszy. Taki typ zawsze wygrywa.

Pytanie: Co sprawia, że kobieciarz należy do jednego albo drugiego rodzaju?

Odpowiedź: To oczywiste, jego matka.

Przewidywałeś: „Jeśli będę dalej uczył, prędzej czy później wpadnę w nieszczęście”.

Również się tego obawiałam. Byłeś jednym z kilku podobnych do Luriego, których znałam: lekkomyślnych, napalonych mężczyzn ryzykujących kariery, status materialny, małżeństwa – wszystko. (A dlaczego? Skoro stawka była tak wysoka? Jedyne wyjaśnienie, na które kiedykolwiek wpadłam, brzmiało: ponieważ tacy są mężczyźni).

Ile z tego wszystkiego wie Żona Trzecia? Czy to ją w ogóle obchodzi?

Nie mam pojęcia i nie chcę się dowiedzieć.

Jakbym wypowiedziała tę myśl na głos, ona się odzywa:

– Powiem ci, dlaczego chciałam z tobą porozmawiać. – Wtedy moje serce z jakiegoś powodu zaczyna walić jak szalone. – Chodzi o psa.

– O psa?

– Tak, chciałam zapytać, czy możesz go wziąć.

– Wziąć go?

– Dać mu dom.

To chyba ostatnia rzecz, jaką spodziewałabym się od niej usłyszeć. Poczułam jednocześnie ulgę i irytację.

– Nie mogę tego zrobić – odparłam. – W moim budynku nie wolno trzymać psów.

Spogląda na mnie z powątpiewaniem, później pyta, czy kiedyś ci o tym wspominałam.

– Nie wiem – mówię. – Nie pamiętam.

Po chwili ciszy pyta, czy wiem, jak pies trafił w twoje ręce. Nie wiem dlaczego, ale kręcę głową. Pozwalam jej opowiedzieć historię, którą już

znam. Kiedy postanowiłeś, że zatrzymasz psa, bardzo się pokłóciliście. „Takie piękne zwierzę – jak może nie współczuć biedakowi, którego ktoś porzucił? Cóż, ona nie lubi psów, nigdy nie lubiła, a ten pies – to nie jest zły pies, tak naprawdę to bardzo dobry pies, ale zajmuje dużo miejsca”. Powiedziała ci, że nie będzie się nim wcale zajmować – na przykład wtedy, gdy wyjedziesz z miasta.

– Błagałam, żeby znalazł psu jakiś inny dom, i wtedy padło twoje imię.

– Tak?

– Tak.

– Mnie nigdy o tym nie wspomniał.

– Bo naprawdę chciał zatrzymać tego psa. I w końcu się poddałam. Ale twoje imię kilka razy się pojawiło w naszych dyskusjach. „Mieszka sama, nie ma partnera, dzieci ani zwierząt, pracuje najczęściej w domu i kocha zwierzęta” – tak mówił.

– On naprawdę tak mówił?

– Przecież bym nie zmyślała.

– Nie sugeruję tego, tylko... jestem zdziwiona. Nigdy nic o tym nie wspominał, nawet nie pokazał mi tego psa. To prawda, że kocham zwierzęta, lecz akurat psa nigdy nie miałam. Tylko koty. Jestem kociarą. Tak czy inaczej, nie mogę go wziąć. Mam to w umowie najmu.

– Już mówiłaś. – Jej głos zadrżał. – Cóż, to już nie wiem, co mam zrobić. – Opadają jej ramiona. Wiele przeszła.

– Na pewno mnóstwo ludzi chciałoby przygarnąć pięknego rasowego psa – mówię.

– Tak sądzisz? Może gdyby to był szczeniak. Ale wiesz, ludzie, którzy chcą mieć psa, zwykle już go mają.

– Nie masz w rodzinie kogoś, kto mógłby go wziąć do siebie? – pytam. To pytanie wyraźnie ją irytuje.

– Mój syn i jego żona właśnie zostali rodzicami. Nie mogą wziąć obcego wielkiego psa. – Jeśli chodzi o pasierbicę, to także niemożliwe. Spędza tak dużo czasu w rozjazdach, że nie ma nawet stałego adresu.

– Na pewno kogoś znajdziesz – mówię. – Ja też popytam.

Tak naprawdę nie liczę jednak na powodzenie. Ona ma rację: jeśli ktoś chce mieć psa, to już go ma. A wszyscy, którzy przychodzą mi do głowy i nie mają psa, mają przynajmniej jednego kota.

– Na pewno nie możesz go zatrzymać? – pytam, nie dodając, że moim zdaniem właśnie to powinna zrobić.

– Rozwazałam to – odpowiada, raczej nieprzekonująco. – Przede wszystkim to nie byłoby na zawsze. Dog niemiecki żyje krótko, może sześć – osiem lat, a według weterynarza Apollo już ma około pięciu. Ale pewnie wiesz, że ja go nigdy nie chciałam, szczególnie zaś nie chcę go teraz. Gdybym go jednak zatrzymała, to wiem, że czułabym do niego niechęć. A nie chcę z nią żyć. Zawsze z tym uczuciem komplikującym moje i tak już skomplikowane odczucia wobec...

Wobec ciebie – chce dodać, ale tego nie mówi.

– To by było zbyt wiele.

Kiwam głową, że rozumiem.

– Planowałam niedługo przejść na emeryturę – ciągnie. – A teraz, gdy jestem sama, to chyba chciałabym też więcej podróżować. Nie mogę być uwiązana z powodu psa, i to psa, którego nawet nie chciałam mieć.

Znowu kiwam głową. Naprawdę ją rozumiem.

Ktoś zasugerował, że powinna znaleźć jakiś specjalny dom opieki dla psów, lecz wszystkie, które obdzwoniła, mają długie listy oczekujących. Boli ją myśl, co byś czuł, gdyby oddała twojego ukochanego psa obcej osobie albo do schroniska.

– Ale być może będę musiała to zrobić. Nie może spędzić reszty życia w hotelu dla psów. Przede wszystkim to kosztuje fortunę.

– Oddałaś go do hotelu?

– Oddałam go do hotelu – powtarza, obruszając się na ton mego głosu – ponieważ nie wiedziałam, co innego miałabym zrobić. Nie da się wytłumaczyć psu śmierci. Nie rozumiał, że tatuś już nigdy nie wróci do domu. Całymi dniami i nocami czekał przy drzwiach. Przez jakiś czas w ogóle nie jadł, bałam się, że zdechnie z głodu. Najgorsze było to, że co jakiś czas wydawał z siebie ten dźwięk, wycie, zawodzenie, cokolwiek to było. Nie głośnie, ale dziwne, jak u ducha albo innego stworzenia. I nie przestawał. Próbowałam odwrócić jego uwagę smakołykiem, lecz tylko odsuwał głowę. Raz nawet na mnie warknął. Czasami wył tak w nocy. Budziłam się i nie mogłam już później zasnąć. Leżałam tylko i słuchałam go, bliska szaleństwa. Za każdym razem, kiedy udawało mi się trochę ogarnąć, widziałam go przy drzwiach, jak czeka, albo zaczynał zawodzić i znowu traciłam siły. Musiałam zabrać go z domu. A teraz, kiedy zniknął, okrucieństwem byłoby sprowadzać go z powrotem. Nie wyobrażam sobie, że mógłby być w tym domu znowu szczęśliwy.

Przypomniała mi się historia Hachikō, psa rasy akita, który codziennie chodził na tokijską stację kolejową Shibuya, by odebrać swojego pana wracającego z pracy – aż któregoś dnia mężczyzna nagle zmarł i Hachikō czekał na próżno. Jednak dzień później i codziennie przez kolejnych dziesięć lat o tej samej godzinie pies pojawiał się na stacji i czekał na pociąg.

Nikt nie mógł wyjaśnić Hachikō, czym jest śmierć. Mogli tylko zbudować jego legendę, postawić pomnik, wciąż i do dziś go wychwalać, niemal sto lat później.

Niesamowite, ale to nie Hachikō jest rekordzistą. Fido, pies z miasteczka niedaleko Florencji, czekał na swojego pana (który zginął w nalocie podczas drugiej wojny światowej) przez czternaście lat – na przystanku, na którym mężczyzna wysiadał, wracając z pracy. A przed Hachikō był jeszcze Greyfriars Bobby, pies rasy skye terrier. Ostatnich czternaście lat swojego życia spędzał każdą noc na grobie swojego pana, który zmarł w Edynburgu w 1858 roku.

Ciekawe, że ludzie od zawsze traktują takie zachowanie jako przykład wyjątkowej lojalności, a nie wyjątkowej głupoty czy objaw choroby psychicznej. Ja wątpię w doniesienia z Chin, że jakiś pies podobno z premedytacją utopił się z żalu. Takie jednak historie sprawiają właśnie, że zawsze wolałam koty.

– A może wzięłabyś go chociaż na jakiś czas? Nawet to bardzo by mi pomogło. Wynajmujący nie będzie się czepiał, jeśli pies pojawi się tylko na trochę.

– Nie chodzi tylko o właściciela – wyjaśniam. – Mam naprawdę małe mieszkanie. Pies tych rozmiarów ledwie mógłby się tam obrócić.

– Ale on jest psem stróżującym. Oczywiście potrzebuje ruchu, jednak na pewno nie tyle, co inne rasy. Nawet spuszczonej ze smyczy daleko nie odejdzie. I zobaczysz, że jest bardzo posłuszny. Zna wszystkie komendy. Nie szczeka, kiedy nie powinien. Niczego nie niszczy. Nie brudzi w domu. Wie, że nie wolno wchodzić na łóżko.

– To wszystko na pewno prawda, ale...

– Kilka miesięcy temu przeszedł badania. Oprócz początków artretyzmu typowego dla dużych psów tej rasy jest zdrowy. Ma wszystkie obowiązkowe szczepienia. Wiem, że proszę o wiele, lecz naprawdę chcę wyciągnąć biedaka z tego cholernego hotelu. A jeśli przywiozę go

do domu, to wiem, że resztę życia spędzi, czekając po drzwiach. Zasługuje na coś lepszego, nie sądzisz?

Tak sądzę, pęka mi serce.

Nie da się wytłumaczyć śmierci.

A miłość zasługuje na coś lepszego.

## Część druga

Zazwyczaj mnie ignoruje. Równie dobrze mógłby tu mieszkać sam. Czasami nawiązuje kontakt wzrokowy, a sekundę później znowu się odwraca. Jego duże orzechowe oczy są zaskakująco ludzkie – przypominają mi twoje. Pamiętam, jak kiedyś musiałam wyjechać i zostawiłam swoją kotkę u ówczesnego chłopaka. Nie był miłośnikiem kotów, później jednak opowiadał, że lubił ją mieć u siebie. „Tęskniłem – mówił – a ona była jakby częścią ciebie”.

Bycie z twoim psem to jakby mieć obok część ciebie.

Wyraz jego pyska się nie zmienia. Tak pewnie wyglądał Greyfriars Bobby, leżąc na grobie pana. Nie widziałam jeszcze, by machał ogonem. (Nie jest przycięty, ale uszy są kopiowane – szkoda, że nierówno, jedno mniejsze od drugiego. Został też wykastrowany).

„Wie, że nie wolno wchodzić na łóżko”.

– Jeśli zaczniesz wchodzić na meble – mówiła Żona Trzecia – wystarczy tylko powiedzieć: „Zejdź”.

Odkąd się do mnie wprowadził, większość czasu spędza na łóżku.

Pierwszego dnia po obwąchaniu mieszkania – dość beznamietnego, bez specjalnego zainteresowania czy większej ciekawości – wlaź na łóżko i bezczelnie się na nim rozwalił.

„Zejdź” uwięzło mi w gardle.

Czekałam, aż przyjdzie pora spania. Wcześniej zjadł miskę suchej karmy i pozwolił się wyprowadzić na spacer, ale to również zdawało się go nie obchodzić, nawet nie zauważał, co się dzieje na dworze. Nie pobudził go także widok innego psa. (Za to sam nieustannie zwraca uwagę innych. Trochę potrwa, zanim się przyzwyczaje, że jesteśmy przedstawieniem, ciągle ktoś robi zdjęcia i ludzie często pytają: Ile waży? Ile je? Próbowала pani na nim jeździć?).

Chodzi ze spuszczoneym łbem – zwierzę niosące brzemię.

Po powrocie do domu poszedł prosto do sypialni i rzucił się na łóżko.

Wyczerpanie żalobą – przyszło mi do głowy. Jestem bowiem przekonana, że zrozumiał, co się dzieje. Jest mądrzejszy niż inne psy. Wie, że odszedł na dobre. Wie, że nigdy nie wróci do twojego domu.



Czasami leży wyciągnięty, pyskiem do ściany.

Po tygodniu czuję się bardziej jak naczelnik więzienia niż opiekunka.

Pierwszego wieczoru na dźwięk swojego imienia podniósł wielki łeb, obrócił go nad barkiem i spojrział na mnie z boku. Kiedy podeszłam do łóżka z wyraźnym zamiarem, żeby go zrzucić z pościeli, zrobił coś niewyobrażalnego: warknął na mnie.

Ludzie dziwią się, że się nie bałam. Czy nie przyszło mi do głowy, że następnym razem może zrobić coś więcej, niż warknąć?

Nie. Nigdy o tym nie pomyślałam.

Ale przyszedł mi do głowy stary dowcip o tym, gdzie sypia dwustukilogramowy goryl. Gdzie chce.

To, co powiedziałam Żonie Trzeciej, że nigdy nie miałam psa, nie było do końca prawdą. Więcej niż raz mieszkałam z kimś, kto miał psa. Raz był to mieszaniec, w połowie dog, w połowie owczarek niemiecki. Nie byłam zatem całkiem nieobeznana z psami, nawet dużymi, a konkretnie z tą właśnie rasą. Oczywiście wiedziałam, że psy w ogóle kochają nasz gatunek, nawet jeśli nie są mu tak oddane jak Hachikō i jemu podobne. Przecież każdy wie, że pies jest symbolem oddania. To jednak właśnie oddanie człowiekowi, tak instynktowne, że okazywane nawet tym ludziom, którzy są go niewarci, sprawiło, że zawsze wolałam koty. Wolę zwierzęta, które poradzą sobie beze mnie.

Za to całkowitą prawdą, którą usłyszała ode mnie Żona Trzecia, była wielkość mojego mieszkania: niecałe pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Dwa pokoje niemal tej samej powierzchni, aneks kuchenny, łazienka tak wąska, że Apollo wchodzi do niej i wychodzi tyłem, jak koń z boksu w stajni. W szafie w sypialni trzymam dmuchany materac, który kupiłam parę lat temu, gdy w odwiedziny przyjechała moja siostra.

Budzę się w środku nocy. Żaluzje są podniesione, księżyc stoi wysoko na niebie i w mocnym świetle widzę zarys wielkich, jasnych oczu i soczystą, czarną śliwkę nosa. Leżę nieruchomo na plecach w intensywnej mgiełce jego oddechu. Wydaje mi się, że mija dużo czasu. Co kilka sekund z psiego języka na moją twarz spada kropla śliny. W końcu Apollo kładzie swoją wielką łapę wielkości męskiej pięści na środku mojej klatki piersiowej i tam ją zostawia: waga ciężka (jak kołatka do zamkowej bramy).

Nie odzywam się, nie ruszam, nie sięgam, by go pogłaskać. Na pewno czuje bicie mojego serca. Przychodzi mi do głowy przerażająca myśl,

że zaraz postanowi położyć się na mnie całym ciężarem, i przypominam sobie, jak w wiadomościach mówili o wielbłądzie, który zabił opiekuna, gryząc, kopiąc go i siadając na nim, aż ratownicy musieli przywiązać linę do pikapa i siłą odciągnąć zwierzę.

W końcu łapa się podnosi. Pojawia się nos, wciśnięty w zagłębienie mojej szyi. Strasznie łaskocze, ale się nie ruszam. Apollo obwącjuje okolice mojej głowy i szyi, następnie zarys całego ciała, czasami trąca mnie mocno, jakby próbował wyciągnąć coś spod spodu. W końcu z gwałtownym kichnięciem wraca na łóżko i oboje zasypiamy.

Tak się dzieje każdej nocy: na kilka minut staję się przedmiotem intensywnej fascynacji. W ciągu dnia jednak Apollo wciąż żyje we własnym świecie i zwykle mnie ignoruje. O co w tym chodzi? Przypomina mi się kotka, która nigdy nie pozwalała się tulić ani trzymać na kolanach, lecz nocą, gdy tylko zasnęłam, kładła się przy moim biodrze i tam spała.

Prawdą było również to: w moim budynku nie wolno trzymać psów. Pamiętam, że podpisując umowę, nie zastanawiałam się nad tym. Wprowadzałam się z dwoma kotami, ostatnie, o czym myślałam, to szczeniak. Właściciel budynku mieszka na Florydzie, nigdy go nie poznałam. Dozorca mieszka w sąsiednim domu, należącym do tego samego właściciela. Hector pochodzi z Meksyku. Okazało się, że w dniu, w którym przyprowadziłam Apolla do domu, Hector był akurat w ojczyźnie na weselu brata. W dniu, kiedy wrócił, wpadł na nas, gdy wychodziliśmy na spacer. Zaczęłam pospiesznie wyjaśniać: właściciel nagle zmarł, nie było nikogo, kto mógłby zająć się psem, i wzięłam go tylko tymczasowo. Wyjaśnienie powinno brzmieć wiarygodnie, przecież dlaczego miałabym ryzykować utratę skarbu: mieszkania na Manhattanie o stabilnym czynszu, niezmiennym od trzydziestu lat, skoro nawet gdy wyjeżdżałam z miasta – na przykład na gościnne wykłady – dbałam o to, żeby go nie stracić.

– Nie może pani trzymać tu tego zwierzaka – zastrzegł Hector. – Nawet tymczasem.

Znajomy powiedział mi o następujących przepisach prawa lokalowego: jeśli najemca trzyma psa w mieszkaniu przez trzy miesiące, a właściciel w tym czasie nie podejmie działania, by go eksmitować, to najemca może zatrzymać psa i nie wolno go eksmitować z tego powodu. Zdawało mi się to wątpliwe. Naprawdę jednak istnieje takie prawo dotyczące trzymania psów w mieszkaniach w Nowym Jorku.

Zastrzeżenie: obecność psa musi być jawna, nie skrywana.

Tak czy inaczej, nie dało się w żaden sposób ukryć obecności tego psa. Wyprowadzam go kilka razy dziennie. Stał się okoliczną atrakcją. Jak dotąd żaden z mieszkańców się nie skarżył, choć niejeden stanął jak wryty na widok Apolla, niektórzy nawet nieśmiało się cofali, a po tym, jak jedna z sąsiadek nie chciała wejść z nami do małej windy, postanowiłam zawsze chodzić po schodach. (Radosne podskoki przez pięć pięter to komiczny widok, jedyna sytuacja, w której brak mu wdzięku).

Gdyby szczekał, skarg z pewnością pojawiłoby się wiele. On jednak jest zaskakująco – niepokojąco – cichy. Na początku martwiłam się wyciem, o którym opowiadała Żona Trzecia, ale na razie go nie słyszałam. Być może pies skojarzył wycie z wygnaniem z domu. Pewnie to zbyt daleko idący wniosek, między innymi dlatego, że już nie wyje, sądzę, że porzucił nadzieję, że jeszcze kiedyś cię zobaczy.

– Nie może pani trzymać w domu tego zwierzaka. – (Zawsze „tego zwierzaka”, czasami się zastanawiam, czy on w ogóle wie, że to pies). – Muszę to zgłosić.

Żona Trzecia chyba nie kłamała, mówiąc, że Apollo przestrzegał zakazu wchodzenia na łóżko. Założyła pewnie, że pies przyzwyczai się do zupełnej zmiany otoczenia bez zmiany własnego zachowania. Wcale mnie nie zdziwiło, kiedy się okazało, że będzie inaczej.

Znałam kiedyś kota, którego właścicielka musiała oddać, kiedy jej syn nabawił się alergii na koci łupież. Kota przekazywano z domu do domu (między innymi do mnie), szukając czegoś na stałe. Dwie czy trzy przeprowadzki przetrwał spokojnie, lecz po kolejnej nie był już tym samym zwierzęciem. Całkiem zdziczał – nikt nie chciał z nim mieszkać i w końcu właścicielka musiała go uśpić.

One nie popełniają samobójstw. Nie płaczą. Ale mogą się rozpaść na kawałki i się rozpadają. Mogą mieć złamane serca i mają. Mogą stracić zmysły i je tracią.

Któregoś wieczoru wracam do domu i widzę krzesło przewrócone na bok, a większość rzeczy z biurka porozrzucanych dookoła. Apollo przemielił cały stos leżących tam papierów. (Mogłam szczerze powiedzieć

studentom, że pies zżarł ich prace). Po zajęciach poszłam na drinka z inną wykładowczynią i się zasiedziałyśmy. Nie było mnie jakieś pięć godzin, nigdy dotąd na tak długo go nie zostawiałam. Gąbczaste flaki kanapowej poduszki zaśmiecają podłogę. Gruby tom Knausgård, który zostawiłam na stoliku kawowym, leży teraz w strzępach.

Znajomi mówią, że powinnam się po prostu zapisać do internetowej grupy miłośników dogów i tam znajdę kogoś, kto go przygarnie. Jeśli cię wyrzucą z mieszkania, to drugiego takiego, na które cię stać, w tym mieście nie znajdziesz. A z takim współlokatorem może w ogóle nigdzie.

Wciąż wymyślam historie jak z *Lassie*, wróć albo *Przygód Rin Tin Tina*. Apollo nakrywa złoczyńców podczas próby włamania. Apollo ratuje z płomieni uwięzionych lokatorów. Apollo ocala córeczkę dozorczy przed potencjalnym zboczeńcem.

– Kiedy pozbędzie się pani tego zwierzęcia? Ono nie może tutaj zostać. Muszę to nagłośnić.

Hector nie jest złym człowiekiem, ale ma słabe nerwy. I nie musi mówić, że mógłby stracić pracę.

Znajomy, który najbardziej się o mnie martwi, uspokaja, że trochę to potrwa, zanim nowojorski właściciel domu będzie mógł eksmitować lokatora. Przecież nikt nie wyrzuci cię na ulicę z dnia na dzień.

Na pewno są czytelnicy, którzy dotarli do tego miejsca i teraz z niepokojem się zastanawiają, czy coś złego stanie się z psem?

Wyszukiwanie w Internecie ujawnia, że doga niemieckiego nazywa się psim Apollem. Nie mam pewności, czy dlatego wybrałam to imię, czy może to tylko zbieg okoliczności, ale pewnie też znalazłam tę informację, prawdopodobnie w ten sam sposób co ja. Później miałam się również dowiedzieć, że Apollo to wcale nie taki rzadki wybór, jeśli chodzi o imię psa czy innego zwierzęcia.

Inne fakty: dokładne pochodzenie rasy nie jest znane. Najbliższe związki ma prawdopodobnie z mastifami. Angielska nazwa Great Dane (Wielki Duńczyk) nie ma także nic wspólnego z Danią – wprowadził ją najwyraźniej jakiś źle poinformowany osiemnastowieczny francuski przyrodnik o nazwisku Buffon. W anglojęzycznym świecie ta nazwa się

utrwaliła, podczas gdy w Niemczech, kraju, z którym rasa jest związana najbardziej, używa się określenia Deutsche Dogge lub mastif niemiecki.

Otto von Bismarck uwielbiał dogi, Czerwony Baron von Richthofen zabierał swojego psa do dwuosobowego samolotu. Pierwotnie hodowany do polowań na dziki, później jako rasa stróżująca. Mimo to – choć może osiągać ponad dziewięćdziesiąt kilogramów masy i mierzyć ponad dwa metry, stojąc na tylnych łapach – nie jest znany z agresywności czy zaciekłości, a ze spokoju, z delikatności i emocjonalnej kruchości. (Innym swojskim określeniem psa tej rasy jest „łagodny olbrzym”).

Apollo wszystkich psów. Nazwany po bogu uważanym za najbardziej greckiego ze wszystkich bogów.

Podoba mi się to imię. Ale nawet gdyby mi się nie podobało, nie zmieniałabym go. Choć wiem, że jeśli Apollo reaguje – o ile w ogóle – to bardziej na głos i jego ton niż na samo słowo.

Czasami zupełnie absurdalnie się zastanawiam, jak „naprawdę” się wabi. Być może miał w życiu kilka różnych imion. Zresztą co w istocie kryje się w psim imieniu? Gdybyśmy w ogóle nie nazywali zwierząt, nic by to dla nich nie znaczyło, za to my odczuwalibyśmy brak. Ona nie ma imienia, mówi ktoś o zaadoptowanej przybłędzie, nazywamy ją po prostu Kotką. Tak czy inaczej, to imię.

Podoba mi się, że jeszcze zanim T.S. Eliot wypowiedział się w tej kwestii, Samuel Butler stwierdził, że najtrudniejszym wyzwaniem dla wyobraźni jest nazwanie kota.

I twoja własna budząca śmiech myśl: czy nie byłoby łatwiej, gdybyśmy wszystkie koty nazywali po prostu Hasło?

---

Znam ludzi, którzy zdecydowanie sprzeciwiają się nazywaniu zwierzątek domowych. Należą do tej samej grupy, której nie podoba się sam pomysł nazywania zwierzęcia „zwierzątkiem”. Niespecjalnie lubią słowo „właściciel”, słysząc „pan”, wpadają w furję. Takich ludzi drażni pojęcie władzy – władzy nad zwierzętami, do której gatunek ludzki rości sobie prawo od czasów Adama i Ewy i która, ich zdaniem, zawsze oznaczała po prostu niewolnictwo.

Kiedy mówiłam, że wolę koty od psów, to nie znaczyło, że koty lubię bardziej. Oba gatunki lubię tak samo. Oprócz jednak zaniepokojenia psim

oddaniem, podobnie jak wiele osób, wzdragam się na myśl o władzy nad zwierzęciem. I nie da się zaprzeczyć – nawet jeśli uważasz nazywanie właścicieli psów „właścicielami niewolników” za śmieszne, to psy, tak jak inne udomowione zwierzęta, są hodowane, by ludzie nad nimi dominowali, by je wykorzystywali i by robiły to, czego ludzie chcą.

A koty nie.

Wszyscy wiedzą, że pierwsze, co zrobił Adam ze zwierzętami, które Bóg uformował ze świeżo stworzonej ziemi – pierwszym znakiem dominacji nad nimi – było nadanie każdemu nazwy. I dopóki Adam nie przydzielił im imion, jak mówią niektórzy, to zwierzęta nie istniały.

Jest takie opowiadanie Ursuli K. Le Guin, w którym kobieta, nienazwana z imienia, ale z pewnością to Ewa, próbuje odwrócić czyn Adama: przekonuje wszystkie zwierzęta, by rozstały się z nazwami, które im nadano. (Koty twierdzą, że przede wszystkim nigdy ich nie zaakceptowały). Kiedy już wszystko zostaje uwolnione od nazw, kobieta odczuwa różnicę: to jak usunięcie ściany, likwidacja dystansu, który istniał między zwierzętami i nią samą, nowe poczucie jedności i równości z nimi. Bez nazw, które by ich odróżniały, bez różnicy między ścigającym i ściganym, jedzącym i zjadanym. Nieuchronnym następnym krokiem jest to, że Ewa oddaje Adamowi imię, które on i Ojciec jej nadali, zostawia Adama i dołącza do tych, którzy akceptując bezimiennność, uwolnili się od dominacji. Dla Ewy jednak ten akt oznacza drugie odrzucenie – języka, który dzieliła z Adamem. Chociaż jednym z powodów, dla których zrobiła to, co zrobiła, jest to, że ta ich gadanina prowadziła donikąd.

– Z pewnością w młodości był tresowany – uważa weterynarz. Podobnie mówiła Żona Trzecia. – Sądząc z jego zachowania, był przyzwyczajony do obecności ludzi i innych psów. Nie widać po nim śladów dręczenia.

Z drugiej jednak strony – te uszy, oddane jakiemuś rzeźnikowi, który nie tylko obciął je nierówno, ale oba przyciął zbyt mocno. Te spiczaste, małe uszka na dużym łbie sprawiały, że Apollo wyglądał mniej po królewsku i bardziej wrednie, niż na to zasługiwał, i były jednym z powodów, dlaczego nie mógł stać się psem wystawowym.

– Ktoś wie, jak on w ogóle znalazł się w tamtym parku, czysty, nakarmiony, bez obroży czy adresówki? Taki pies nie uciekłby

od właściciela, gdyby nie wydarzyło się coś naprawdę niezwykłego – twierdził weterynarz.

Nikt się jednak po niego nie zgłosił, nikt też nie informował, że widział go gdzieś wcześniej. Co znaczy, że mógł pochodzić z daleka. Skradziony? Być może. To, że nigdzie nie znaleziono dowodów na jego istnienie, nie zdziwiło weterynarza. Wielu właścicieli psów nigdy nie ubiegało się o certyfikaty ani – w przypadku tych rasowych – nie rejestrowało ich w Związku Kynologicznym.

– Być może właściciel stracił pracę i nie było go już stać na karmę czy rachunki za weterynarza. Trudno uwierzyć, że ktoś, kto trzymał psa przez całe życie, wyrzuciłby go, zostawiając samemu sobie. Ale to się zdarza częściej, niż nam się wydaje – snuł przypuszczenia weterynarz.

Może rzeczywiście go ukradziono, a właściciel, kiedy dowiedział się o odnalezieniu zwierzaka, zaczął mieć wątpliwości. Życie bez psa jest łatwiejsze, niech teraz zaopiekuje się nim ktoś inny! I znów – weterynarz znał takie sytuacje. (Ja również: wiele lat temu moja siostra i szwagier kupili sobie drugi dom, na wsi. Poprzedni lokatorzy wyprowadzali się na Florydę, byli właścicielami bardzo starego kundla. „Członek naszej rodziny, od szczenięcia” – przedstawili go. Kiedy moja siostra i jej mąż przyjechali się wprowadzić, weszli do domu i zobaczyli tego psa, którego zostawiono w pustym domu).

Może właściciel Apolla umarł i ten, kto go później przejął, postanowił psa wyrzucić.

Najprawdopodobniej nigdy się nie dowiemy, skąd się wziął. Ale ty opowiadałaś: kiedy podniosłaś wzrok i zobaczyłaś go – majestatycznego na tle letniego nieba – była to chwila tak porywająca i tajemnicza, że byłeś gotów uwierzyć, że to czary. Wyczarowany przez wiedźmę, jak jeden z tych wielkich psów w baśni Andersena.

## Część trzecia

„Zamiast pisać o tym, co wiecie – mówcie – piszcie o tym, c o w i d z i c i e. Załóżcie, że wiecie niewiele i nie dowiedziecie się więcej, dopóki nie nauczycie się patrzeć. Prowadźcie notatnik, by zapisywać rzeczy, które widzicie, na przykład idąc ulicą”.

Już dawno temu przestałam prowadzić jakikolwiek zeszyt czy dziennik. Ostatnio, wychodząc na ulicę, widzę głównie ludzi bezdomnych albo tak wynędzniałych, że zakładałam, że są bezdomni. Choć teraz nierzadko zdarza się widzieć podobną osobę z telefonem komórkowym. I – chyba że się mylę – coraz więcej takich ludzi ma zwierzęta.

Na Broadwayu, przy Astor Place, widzę psa, samego, otoczonego dobytkiem: pełny plecak, kilka książek w miękkich okładkach, termos, śpiwór, b u d z i k i styropianowe pudełka po jedzeniu. To nieobecność człowieka sprawia, że ta scena jest tak nieznośnie przejmująca.

Widzę pijaka, który się zesikał, rozwalony w jakiejś bramie. Na koszulce ma napis: BUDOWNICZY WŁASNEGO LOSU. Niedaleko niego żebrak z ręcznie wypisaną tablicą: BYŁEM KIMŚ.

W księgarni: facet łązi od lady do lady, kładąc rękę na jednej książce, później na kolejnej, żadnej nie oglądając dokładniej. Przez chwilę za nim chodzę, ciekawa, którą książkę wybierze tą metodą i kupi. Niestety, wychodzi ze sklepu bez niczego.

Jest jeszcze coś, czego nie widziałam, ale zobaczyłabym, gdybym kilka minut wcześniej skręciła za róg: ktoś wyskoczył z okna biurowca. Kiedy tam dotarłam, ciało już zakryto. Dopiero później się dowiedziałam, że to była kobieta, pięćdziesiąt kilka lat. Tuż przed południem w piękny jesienny dzień, na gęsto zaludnionej ulicy. Jak udało jej się wycelować, żeby w nikogo nie trafić? A może po prostu miała... może wszyscy mieliśmy szczęście.

Graffiti na ścianie Philosophy Hall: ŻYCIE ZBADANE TAKŻE NIC NIEWARTE.

Uroczystość wręczenia nagród literackich w prywatnym klubie na Upper East Side. Wychodzę z metra przy Piątej Alei. Klub znajduje się



sześć przecznic dalej. Widzę dwie osoby, które przed chwilą również wyłoniły się z metra: kobietę po sześćdziesiątce i towarzyszącego jej mężczyznę, mniej więcej o połowę młodszego. Mogą iść w milion różnych miejsc w tej okolicy, lecz przychodzi mi do głowy, że kierują się tam, dokąd zmierzam. I okazuje się, że mam rację. Co w nich było szczególnego? Nie wiem sama. Jest dla mnie zagadką, że ludzie ze świątka literackiego są tak łatwo rozpoznawalni. Kiedyś w restauracji w Chelsea przy jednym ze stolików minęłam trzech mężczyzn i zdążyłam ich rozpoznać, zanim usłyszałam, jak jeden mówi:

– Dlatego tak wspaniale pisze się dla „New Yorkera”.

W skrzynce recenzencki egzemplarz jakiejś powieści i list od redaktora: „Mam nadzieję, że uznasz tę debiutancką powieść za równie zwodniczo głęboką, jak wydała się mnie”.

Notatki z lektur.

„Wszyscy pisarze to potwory”. Henry de Montherlant.

„Pisarze nieustannie kogoś zdradzają. Pisanie to akt agresji, wręcz wrogości... metoda potajemnego despoty”. Joan Didion.

„Każdy dziennikarz wie, że to, co robi, jest moralnie nie do obrony”. Janet Malcolm.

„Każdy pisarz wart swojej ceny wie, że jedynie niewielka część literatury robi coś więcej, niż tylko częściowo kompensuje ludziom szkody, których doświadczyli, ucząc się czytać”. Rebecca West.

„Wydaje się, że nie istnieje lekarstwo na słabość literatury, ci nią dotknięci tkwią w nałogu, mimo że nie czerpią z niej już żadnej przyjemności”. W.G. Sebald.

„Zawsze, kiedy widziałem swoje książki w sklepie, miałem wrażenie, że coś mi się upiekło” – mówił John Updike.

Który twierdził również, że miła osoba nie zostałaby pisarzem.

Problem braku wiary w siebie.

Problem wstydu.

Problem nienawiści do samego siebie.

Kiedyś ująłeś to tak: „Gdy mam już serdecznie dosyć tego, co piszę, i postanawiam przestać, a później nie mogę się oprzeć i do tego wracam, to zawsze myślę: «Jak pies do swoich rzygów»”.

Jeden z moich kolegów mówi: „Gdy ktoś mnie pyta, czego uczę, to nie wiem dlaczego, lecz nigdy nie potrafię bez zażenowania powiedzieć: «pisanie»”.

Konsultacje. Student nawiązuje do pewnego faktu ze swojego życia i mówi:

– Ale przecież pani to już wie.

– Nie – mówię. – Nie wiedziałam.

Wygląda na zirytowanego.

– No jak to? Nie czytała pani mojego opowiadania?

Wyjaśniam, że nigdy nie zakładałam automatycznie, że fikcja jest autobiograficzna. Kiedy pytam, dlaczego sądzi, że powinnam była wiedzieć, że pisze o sobie, czuje się zakłopotany i pyta:

– A o kim innym miałbym pisać?

Pewna znajoma, która pisze wspomnienia, mówi:

– Nie znoszę, gdy traktuje się pisarstwo jako swoisty rodzaj *katharsis*, bo z tego nie może przecież powstać dobra książka.

„Pisanie nie ukoji twego smutku” – ostrzega Natalia Ginzburg.

A z drugiej strony Isak Dinesen pisze, że każdy smutek da się znieść, jeśli zmienisz go w historię lub o nim opowiesz.

„Przypuszczam, że zrobiłam z sobą to, co psychoanalitycy robią ze swoimi pacjentami. Wyraziłam pewne uczucie, odczuwane od dawna i głęboko. A wyrażając, wyjaśniłam je, a potem pogrzebałam”<sup>[7]</sup>. Woolf mówi o pisaniu na temat swojej matki, o której myśli dręczyły ją obsesyjnie w okresie od trzynastego (kiedy matka zmarła) do czterdziestego czwartego roku życia, kiedy „w wielkim, widocznie mimowolnym pośpiechu” napisała *Do latarni morskiej*. I wtedy obsesja minęła: „Nie słyszę już jej głosu, nie widzę jej”.

Pytanie: Czy skuteczność *katharsis* zależy od jakości pisania? A jeśli ktoś przeżyje *katharsis*, pisząc książkę, jakie to ma znaczenie, czy książka jest dobra, czy nie?

Moja znajoma również pisze o swojej matce.

Pisarze uwielbiają cytować Miłosza: „Kiedy w rodzinie rodzi się pisarz, rodzina jest skończona”.

Po tym, jak umieściłam w powieści moją matkę, nigdy mi nie wybaczyła.

Inaczej myśli na przykład Toni Morrison, która nazywa wzorowanie bohatera na prawdziwej postaci naruszeniem praw autorskich. Twierdzi, że człowiek jest właścicielem swojego życia. Inni nie mogą go wykorzystywać do tworzenia fikcji.

W książce, którą czytam, autor kontrastuje ludzi słowa z ludźmi pięści. Jakby słowa nie mogły być również pięściami. I nie bywały nimi.

---

Głównym tematem twórczości Christy Wolf jest strach, że pisanie o kimś to sposób uśmiercania tej osoby. Transformowanie czyjegoś życia w historię to jak zmienianie kogoś w słupek soli. W autobiograficznej powieści Wolf opisuje powracający w dzieciństwie sen, w którym zabija swoich rodziców, pisząc o nich. Wstyd z powodu zostania pisarką dręczył ją przez całe życie.

Ciekawe, jak wielu psychoanalityków naprawdę robi dla swoich pacjentów to, co Woolf zrobiła dla siebie. Dam głowę, że niewielu.

„Mogą podważać idee Freuda, ile tylko chcą – mówię. – Ale nikt nie ośmieli się powiedzieć, że ten człowiek nie był wspaniałym pisarzem”.

– Czy Freud istniał naprawdę? – zapytał kiedyś student.

To oczywiście psychoanalityk wymyślił pojęcie „blokady pisarskiej”. Edmund Bergler, podobnie jak Freud, był austriackim Żydem, zwolennikiem teorii freudowskiej. Według Wikipedii wierzył, że masochizm leży u podstaw wszystkich ludzkich neuroz, że jedyną gorszą rzeczą od ludzkiego okrucieństwa wobec człowieka jest okrucieństwo człowieka wobec samego siebie.

(„Za to pisarka otrzymuje podwójną dawkę – mówiła Edna O’Brien – masochizmu bycia kobietą i bycia artystką”).

Zaproszono mnie, żebym poprowadziła warsztaty twórczego pisania w ośrodku dla ofiar handlu ludźmi. Kiedyś przyjaźniłam się z osobą, która mnie o to poprosiła – byłyśmy razem na studiach. Wtedy ona również chciała być pisarką. Zamiast tego została psycholożką. Od dziesięciu lat pracuje w ośrodku pomocy społecznej zorganizowanym przy dużym szpitalu psychiatrycznym, oddalonym o krótką podróż autobusem od Manhattanu. Jej pacjentki dobrze reagują na arteterapię (później obejrzałam ich rysunki i okazały się bardzo niepokojące). Uznała, że pisanie może pomóc jeszcze bardziej, ponieważ okazało się niezwykle pomocne dla innych ofiar traumy, na przykład dla weteranów wojennych cierpiących na zespół stresu pourazowego.

Chciałam to zrobić. W ramach prac społecznych, jako przysługę dla dawnej koleżanki, a także jako pisarka.

Pomyślałam o barokowo zakolczykowanej i wytatuowanej młodej kobiecie, którą poznałam kilka miesięcy wcześniej na warsztatach, jakie prowadziłam podczas letniej konferencji pisarskiej. Warsztaty prozatorskie, choć tamta kobieta pisała raczej coś w rodzaju wspomnień – można by je nazwać autofikcją, ewentualnie autobiografią – była to pierwszoosobowa narracja Larette, ofiary stręczycielstwa.

Pisała dobrze z trzech głównych powodów: braku sentymentalizmu, nieuzalania się nad sobą i poczucia humoru. (Jeśli to ostatnie wydaje się wam nieprawdopodobne, przypomnijcie sobie jakąś dobrą książkę – nawet jeśli ma ponury temat, zawiera jednak elementy humorystyczne. „To dlatego, że ktoś ma poczucie humoru, czujemy, że możemy mu zaufać” – mówi Milan Kundera). Jedna z tych życiowych historii, które należało „stonować”, by pozostała wiarygodną. (Czytelnicy zdziwiliby się, jak często pisarze to robią). Spędziła wcześniej dwa lata w ośrodku odwykowym, walcząc z uzależnieniem od narkotyków, wstydem i pokusą, by wrócić do swojego alfonsa, którego imię miała wytatuowane w trzech różnych miejscach ciała. Później zapisała się na dwuletnie studia i pierwszy kurs twórczego pisania.

Tak jak wiele osób, które znam, wierzy, że pisanie ocaliło jej życie.

Jeśli chodzi o pomaganie sobie pisaniem, to zawsze byłeś sceptyczny. Lubieś cytować Flannery O’Connor: „Tylko ten, kto ma dar, powinien pisać dla publicznej konsumpcji”.

Jakże rzadko spotyka się jednak osobę, która myśli, że to, co pisze, powinno pozostać prywatne. A jakże często taką, która sądzi, że to,

co pisze, nie tylko daje jej prawo do publicznej konsumpcji, ale wręcz do sławy.

Uważałaś, że ludzie idą złą drogą. Uważałaś, że to, czego szukają – sposobu wyrażenia siebie, wspólnoty, relacji – powinni znaleźć gdzie indziej. „Wspólne śpiewanie i tańce. Grupowe szycie patchworków. To właśnie ludzie robiliby w przeszłości” – mówiłaś. Pisanie jest za trudne! Nie bez powodu Henry James twierdził, że każdy, kto chce być pisarzem, powinien wypisać sobie na sztandarze jedno słowo: „samotność”. „Frustracja i upokorzenie, oto pisanie” – uważał Philip Roth. Porównał je z baseballlem: „Dwie trzecie podejść się nie udaje”.

„To jest rzeczywistość – powtarzałaś. – Ale w naszej grafomańskiej epoce rzeczywistość się zagubiła. Teraz wszyscy piszą, tak jak wszyscy srają, a słysząc słowo «dar», wielu ludzi chce łapać za spluwę. Rozwój samopublikowania to katastrofa – mówiłaś. – To śmierć literatury. Czyli śmierć kultury”. A Garrison Keillor miał, twoim zdaniem, rację: „Kiedy każdy jest pisarzem, to nikt nim nie jest”. (Choć dokładnie takiego rodzaju stwierdzeń kazałaś nam się wystrzegać: „Brzmiały dobrze, ale jeśli przyciśniesz mocniej, to się rozpadną”).

Nic z tego nie jest tak nowe, jak może się zdawać.

„Pisanie i wydawanie jest już coraz mniej i mniej wyjątkowe. Dlaczego ja nie miałbym spróbować? – pytają wszyscy”.

Pisał francuski krytyk Charles-Augustin Sainte-Beuve.

W 1839 roku.

Nie żebyś zniechęcał mnie do uczenia w ośrodku dla ofiar handlu ludźmi. „To na pewno cię zdołuje – mówiłaś – choć może się okazać interesujące”.

Właściwie to ty zasugerowałaś, żebym o tym napisała.

Kobiety przebywające w ośrodku zachęcano do prowadzenia dzienników. Albo – jak ujęła to moja koleżanka psycholożka – do pamiętnikowania. „Zeszyty pozostają prywatne” – zastrzegła. Część kobiet niepokoiła myśl, że ktoś może przeczytać to, co napisały, musiała je więc zapewnić, że tak się nie stanie. Mogły pisać, co tylko chciały, z całkowitą dowolnością, wiedząc, że nikt nie będzie tego czytał. Nawet ona.

Zaproponowała, by te kobiety, dla których angielski jest drugim językiem, pisały w języku ojczystym.

Niektóre bardzo starannie chowały swoje zeszyty, kiedy w nich nie pisały. Pozostałe zawsze nosiły je z sobą. Kilka jednak się upierało, by niszczyć wszystko, co napisały, niemal od razu albo niedługo później. „I to też jest w porządku” – mówiła im.

Kobiety proszono, by pisały codziennie przez co najmniej piętnaście minut, szybko, bez zastanowienia, żeby się nie odrywały od pracy. Pisały odręcznie, w zeszytach przekazanych przez ośrodek (moja koleżanka wierzy w badania potwierdzające, że pisanie ręczne wspomaga koncentrację, a kartka w linie jest bardziej zachęcająca niż pusty ekran oraz lepiej przyjmuje tajemnice i sprawy intymne).

Oczywiście niektóre odmówiły pamiętnikowania.

To te same kobiety, które złością się na mnie, gdy przewiduję, że powrócą do swoich złych doświadczeń.

– Musisz zrozumieć, przez co przeszły te kobiety. Dla większości z nich koszmar nie zaczął się od stręczenia. („Najwidoczniej od urodzenia doświadczałam przemocy”). Niektóre były z premedytacją narażane, czasami po prostu sprzedawane – przez członków własnych rodzin. A to, że nie są już wykorzystywane, nie znaczy, że przestało boleć. W pewnym momencie zawsze pytam, co ich zdaniem najlepszemu mogłoby się im przydarzyć, i nie uwierzysz, jak wiele z nich odpowiada: „Najlepsze, co mogłoby mnie spotkać, to śmierć”.

Była jednak grupa kobiet, które z radością zaczęły pamiętnikować, często pisząc dłużej niż kwadrans dziennie. Koleżanka chciała dać im szansę udziału w warsztatach, bezpiecznym miejscu, w którym by nie tylko pisały, ale także dzieliły się pisaniem z prowadzącą i z sobą nawzajem.

– Wśród tych, które się zapisały – mówiła – możesz liczyć na pewien poziom angielskiego, choć nie dla wszystkich angielski to język ojczysty.

Nawet jednak kobiety, dla których angielski był językiem ojczystym, wyrażały już niepokój o swój talent lub jego brak, szczególnie zaś martwiły się o ortografię i gramatykę. Powiedziała im więc, że podobnie jak w pisaniu dzienników, mają nie zwracać na to uwagi.

– To bardzo ważne, żebyś ignorowała ich błędy – tłumaczyła mi. – Wiem, że to nie będzie dla ciebie łatwe, lecz te kobiety i tak nie są zbyt pewne siebie, nie chcemy więc ich jeszcze bardziej onieśmielać.

Przypomniał mi się wiersz Adrienne Rich, w którym zawarła wersy napisane przez studentkę w otwartym programie nowojorskiego City College. „Ludzie w biedzie bardzo cierpią... Niektóre z tych cierpień to: ...”.

Koleżanka pokazała mi prace artystyczne wykonane przez te kobiety: ciała bez głów, płonące domy, mężczyźni z twarzami drapieżnych zwierząt, nagie dzieci z nożem wbitym w genitalia lub w serce.

Puściła mi też nagrania z zeznaniami niektórych podopiecznych i wtedy rysunki ożyły.

– Wciąż nazywam je „kobietami” – opowiadała. – Ale jest tu wiele takich, które nadal pozostają dziewczynami. I to są często najtragiczniejsze przypadki. Mamy tu czternastolatkę, miesiąc temu uratowaną z domu, w którym ktoś przykuł ją łańcuchem do pryczy w piwnicy. Szkody są największe, kiedy przemoc seksualna łączy się z uwięzieniem. W tej chwili dziewczyna nie mówi. Z jej strunami głosowymi wszystko jest w porządku, przynajmniej lekarze niczego nie znaleźli, ona jednak postanowiła nie mówić. Od czasu do czasu spotykamy się z takimi psychosomatycznymi objawami: niemota, ślepotą, paraliż.

Przyjaciółka poprosiła, żebym obejrzała szwedzki film *Lilja 4-Ever*. Ale już go widziałam, lata wcześniej, niedługo po premierze. Wtedy nie wiedziałam, że jest oparty na faktach. W ogóle niewiele wiedziałam, postanowiłam obejrzeć go któregoś dnia pod wpływem impulsu, ponieważ podobał mi się wcześniejszy film tego samego reżysera, a ten grali w pobliskim kinie. Bardziej niż możliwe, że gdybym wiedziała, czego się spodziewać, nigdy bym nie poszła obejrzeć *Lilja 4-Ever*. Było to wstrząsające doświadczenie – nawet ponad dekadę później pamiętam ten film ze szczegółami.

Lilja to szesnastoletnia dziewczyna mieszkająca z matką w nijakim blokowisku gdzieś w byłym Związku Radzieckim. Wierzy, że razem z matką i jej partnerem wyemigrują do Stanów Zjednoczonych, ale kiedy nadchodzi czas wyjazdu, Lilja musi jednak zostać. Mieszkanie przejmuje bezlitosna ciotka, która zmusza dziewczynę, by przeprowadziła się do jakiejś parszywej nory. Porzucona Lilja bez grosza przy duszy zostaje prostytutką.

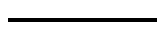
Od ludzi Lilja oczekuje już tylko okrucieństwa i zdrady. Wyjątkiem jest Wołodia, chłopak o kilka lat młodszy, dręczony przez ojca pijaka. Wołodia kocha Lilję, która zaprzyjaźnia się z nim i udziela chłopakowi schronienia, kiedy ojciec wyrzuca go z domu. Razem nastolatki przeżywają kilka szczęśliwych chwil. Mimo wszystko przez większość czasu życie Lilji jest ponure.

Nadzieja pojawia się w osobie przystojnego, budzącego zaufanie młodego Szweda o imieniu Andrei. Wmawia on Lilji – która od razu się w nim zakochuje – że pomoże jej wyjechać do Szwecji i zacząć tam nowe życie. Dziewczyna chwyta się tej możliwości, nie dbając o to, co stanie się z Wołodią, który z powodu wyjazdu jedynej przyjaciółki popełnia samobójstwo.

Wołodia pojawia się w filmie później jako anioł.

Lilja przyjeżdża do Szwecji sama (Andrei obiecał, że dołączy do niej później), na lotnisku odbiera ją mężczyzna, który ma się nią opiekować. Mężczyzna wiezie ją do nowego domu – mieszkania w wieżowcu wysoko nad ulicą – i tam ją zamyka. Roszpunka, Roszpunka. On gwałci ją pierwszy. Zaczęło się nowe życie Lilji. Dzień po dniu oddawana jest klientom – w różnym wieku i należącym do różnych grup społecznych – żadnemu z tych napalonych facetów nie przeszkadza, że dziewczyna jest nieletnia i przetrzymywana wbrew swojej woli. Przeciwnie, wszyscy zachowują się tak, jakby Lilja istniała tylko po to, by zostać niewolnicą seksualną.

Kiedy próbuje uciec po raz pierwszy, zostaje złapana i pobita. Za drugim razem dociera na wiadukt drogowy. Choć niedaleko jest już policjantka, która mogłaby jej pomóc, spanikowana Lilja skacze.



Po skoku przy ciele dziewczyny, na której życiu i śmierci oparto film *Lilja 4-Ever*, znaleziono kilka listów przez nią napisanych. Tak poznaliśmy jej historię.

Kiedy obejrzałam ten film – sama, w małym niezależnym kinie znajdującym się niedaleko mojego domu – było popołudnie, środek tygodnia. Na widowni siedziała garstka widzów. Pamiętam, że po zakończeniu musiałam odczekać jakiś czas, zanim się pozbierałam psychicznie i wyszłam z sali. Czułam upokorzenie. Kilka rzędów przede mną siedziała inna kobieta, która również przyszła sama i teraz szlochała. Gdy w końcu wyszłam, wciąż tam siedziała, płacząc. Czułam również jej upokorzenie.

Według mojej przyjaciółki film *Lilja 4-Ever* pokazywany jest często działaczom organizacji humanitarnych i broniących praw człowieka,



a także w szkołach, tam, gdzie dziewczęta są szczególnie narażone na wykorzystanie.

„Nie dość brutalny” – zareagowała grupa mołdawskich prostytutek, które poproszono, by obejrzały film.

Jeszcze bardziej zaszokował mnie reżyser, który powiedział, że wierzy, że Bóg zaopiekował się Lilją (tak jak Wołodia, Lilja po śmierci pokazuje się na ekranie jako anioł) i że bez tej wiary nie mógłby nakręcić filmu. „Zabiłbym się chyba” – powiedział.

A co w takim razie, jego zdaniem, powinni zrobić ci, którzy nie mają takiej wiary, którzy ani przez moment nie wierzą, że Bóg zaopiekuje się Liljami tego świata?

Przyjaciółka mówiła, że dla ludzi, którzy stali się ofiarami nierówności i wykorzystywania tak jak ci uwięzieni w bagnie Lilji, istnieje pewien rodzaj wytłumaczenia, dlaczego tak źle traktują siebie nawzajem. Może nawet da się im wybaczyć. Ale zdeprawowane zachowanie uprzywilejowanych obywateli bogatego skandynawskiego kraju opiekuńczego trudniej zaakceptować.

Widziałam kiedyś w czasopiśmie fotografię: długa kolejka mężczyzn stoi przed szopą, w której pracują nastoletnie prostytutki. Nie zwróciłam uwagi, jaka to była część świata. Za to pamiętam, że w tych mężczyznach nie było niczego niezwykłego. Kilku pali papierosy. Ten patrzy na zegarek, tamten spogląda w niebo, jeszcze inny czyta gazetę. Nuda jak w poczekalni. Równie dobrze mogliby czekać na autobus albo na swoją kolej w jakimś urzędzie.

Koleżanka opowiedziała mi o jeszcze jednej pacjentce. I tym razem lekarze nie znaleźli choroby ani uszkodzenia ciała, które mogłyby spowodować, że kobieta przestała mówić. A jednak nie mówiła. Kiedy zaproponowano, żeby zaczęła pisać dziennik, ucieszyła się. W tydzień zapisała stos notatników. Pisała zaskakująco ciasnymi literami, najmniejszymi, jakie można sobie wyobrazić. Samo obserwowanie, jak pisze, budziło przerażenie. Puchła jej dłoń, palce pokrywały się pęcherzami i krwawiły, lecz ona nie chciała – nie mogła – przestać.

– Nigdy się nie dowiedzieliśmy, o czym pisała, bo nam tego nie pokazała – opowiadała koleżanka. – Choć nie zdziwiłabym się, gdyby

powtarzała nieustannie jakieś nonsensy. Na szczęście podaliśmy jej leki, które pomogły przerwać to kompulsywne pisanie, i znowu zaczęła mówić.

Lurette uważa, że również przeszła okres niemoty. Za każdym razem, kiedy próbowała coś powiedzieć, gardło boleśnie jej się zaciskało, jakby dusiły ją niewidzialne dłonie.

„Próbowałam ze wszystkich sił, mimo bólu, ale udawało mi się tylko wydusić suchy pisk, jak u astmatycznej myszy, przez co ludzie się śmiali. Wstydziałam się tak bardzo, że przestałam próbować. Kiedy chciałam się porozumieć, pisałam, używałam czegoś w rodzaju języka migowego albo bezgłośnie wymawiałam słowa. Mimo to gardło nieustannie bolało”.

Na terapii przypomina sobie wydarzenie, o którym nie myślała od wielu lat. Pojawiła się w nim jej babka, o której najchętniej by zapomniała. Partner matki zadźgał ją nożem, kiedy Lurette miała dziesięć lat. Po śmierci matki i z powodu nieobecności ojca dziewczynkę umieszczono pod opieką babki. Lurette określała tę kobietę, coraz bardziej staczającą się narkomankę uzależnioną od metamfetaminy, mianem „mojej pierwszej stręczycielki”.

„To ona pierwsza sprzedawała mnie mężczyznom. Pamiętam, jak siedzieliśmy przy stole kuchennym, ona wstała i podeszła do lodówki. Wyjęła z zamrażarki loda na patyku, odwinęła go z papierka i złamała na pół. Pamiętam, że był w moim ulubionym smaku, wiśniowym. Włożyła mi jeden kawałek do ust. «Pokażę ci, skarbie». Drugi włożyła do swoich ust i zaczęła go obrabiać”.

To było jedno z tych wspomnień, co do których Lurette miała wątpliwości, czy zamieścić je w swojej książce. Bała się, że zabrzmiałoby jak zmyślane. Wciąż je kasowała, później wpisywała z powrotem i znów kasowała.

Znam pewną kobietę, pisarkę, która od czasu do czasu zarabia na życie jako seksworkerka. Sprzeciwia się myśleniu, że każda prostytutka to ofiara handlu ludźmi. Uważa, że powinno się wyznaczyć wyraźną granicę między niewolnicą a dobrowolnie pracującą seksworkerką, jaką jest ona. Naloty na burdele, prowokacje w sieci i ujawnianie klientów budzą jej sprzeciw.

– Boże, ocal nas przed rycerzami na białych koniach – mówi. Dlaczego tak trudno uwierzyć, że nie wszystkie chcemy być ratowane? Ale przecież

społeczeństwo nigdy nie potrafiło zaakceptować, że to, co kobieta robi ze swoim ciałem, to wyłącznie jej interes.

Ta znajoma lubi opowiadać historię francuskiej aktorki Arletty, którą w 1945 roku skazano za zdradę kraju, ponieważ podczas okupacji miała romans z niemieckim oficerem. Na swoją obronę powiedziała: „Moje serce jest francuskie, lecz dupa międzynarodowa”. (Tak naprawdę znajoma woli inną, bardziej soczystą wersję słynnego zdania Arletty: „Moja dupa to nie Francja”).

Znajoma seksworkerka jest zaskoczona naiwnością kobiet. Nie mają pojęcia, że większość mężczyzn uprawia seks z prostytutkami: ich ojcowie i bracia, partnerzy i mężowie również. Słyszałam, jak Lurette mówi o tym samym – słyszałam także facetów niewierzących innym, którzy twierdzili, że nigdy nie zapłacili za seks.

W pokazanym niedawno telewizyjnym filmie dokumentalnym była prostytutka, która pracowała w podmiejskim motelu, wyjaśnia, że poniedziałkowe poranki to najbardziej oblegany termin: najwyraźniej nic tak nie przyczynia się do ruchu w interesie jak weekend spędzony z żoną i dziećmi.

Zapytałam kiedyś tamtą znajomą, czy lubi pracę seksworkerki. Byłam pewna, że odpowie twierdząco. Ale spojrzała tak, jakby nie zrozumiała pytania.

– Robię to dla pieniędzy – odparła. – Nie ma tu czego „lubić”. Gdybym mogła wyżyć z pisania, tobym tego nie robiła. To łatwiejsze niż uczenie – dodała.

Musiałam obiecać, że nie wykorzystam niczego, co w trakcie warsztatów napiszą kobiety. Koleżanka psycholożka zgodziła się jednak, żebym napisała o niej i o jej pracy. To ty, jak zawsze pomocny, podrzuciłeś ten pomysł redaktorce, z którą akurat jadłeś lunch. Wkrótce miałam już umowę i deadline.

Niedługo po skończeniu studiów moja koleżanka opublikowała kilka opowiadań w niewielkich, ale prestiżowych czasopismach, kwartalnikach literackich, które miały wyrobionych czytelników. Jedno z opowiadań zdobyło nagrodę, a autorkę w tym samym roku nominowano do znacznie większej nagrody dorocznie wręczanej obiecującym młodym pisarzom – i ją otrzymała.

Chcę wiedzieć, dlaczego przestała pisać.

– To nie do końca była decyzja – wyznała. – Po prostu tak się stało. Zaczęłam pisać powieść i miałam problem ze skupieniem się na tym, a znajomy mi poradził, żebym spróbowała medytacji. Tak zainteresowałam się buddyzmem. Spędziłam miesiąc w specjalnym ośrodku, ucząc się medytacji, i od tamtej pory ją praktykuję. Wiem, że wielu pisarzy interesowało się buddyzmem, no i kto dzisiaj nie medytuje albo nie uprawia jogi? Niektórzy ludzie mówią też, że medytacja pomogła im w karierze. Odkąd jednak zaczęłam studiować buddyzm, okazało się, że nie mogę tego połączyć z zawodowym pisaniem. Nie zrozum mnie źle, nie przestałam całkiem pisać. Nie musiałam. Przede wszystkim prowadzę dziennik, który uważam zresztą za rodzaj medytacji, i piszę wiersze. To, co na co dzień oglądam w pracy, jest bardzo dołujące, a okazało się, że poezja mi pomaga. Nie żebym kiedykolwiek pisała o pracy. Piszę wiersze o urodzie świata, głównie o przyrodzie. Wiem, że nie jest to bardzo dobra poezja i nie mam potrzeby dzielenia się nią. Dla mnie pisanie wierszy to modlitwa, a modlitwą nie dzielisz się z innymi.

Nie chodziło również o to, że chciałam się zupełnie wycofać ze świata. Wcale nie zamierzałam zostać mniszką buddyjską, nic takiego. Ale jak mówiłam, zaczęłam wątpić w sens kariery pisarskiej. Nie wiedziałam, jak połączyć karierę literacką z osiągnięciem wolności od przywiązania. Niedługo po ukończeniu kursu w ośrodku pojechałam na rezydencję literacką, miałam nadzieję, że wrócę do mojej powieści. Pamiętam, jak przyglądałam się innym pisarzom: niektórzy dopiero zaczynali jak ja, inni mieli już znane nazwiska, i myślałam, czego potrzeba (oczywiście oprócz talentu), żeby osiągnąć sukces. Trzeba mieć takie ambicje, na serio, a jeśli chciałbyś pisać naprawdę dobrze, niezbędnym jest również zapał. Musisz pisać lepiej od innych. Musisz wierzyć, że to, co robisz, traktujesz niesamowicie poważnie i że ma to istotną wartość. Wszystko to zdawało mi się sprzeczne z nauką siedzenia nieruchomo. Z odpuszczeniem sobie.

Choć pisanie nie powinno być współzawodnictwem, zauważyłam, że zwykle pisarze uważają wręcz odwrotnie. W trakcie stypendium jeden z autorów dostał zaliczkę tak ogromną, że napisano o niej w „Timesie”. Tamtego wieczoru przy kolacji powiedział: „I po ostatnich dwóch kolegach”. Oczywiście żartował, ale zauważyłam, że zawsze, kiedy pisarz osiąga wielki sukces, ludzie robią wiele, żeby go pograć.

Wydawało mi się również, że ludzie ci myślą przede wszystkim o pieniądzach. Nie rozumiałam tego. Na Boga, kto zostaje pisarzem dla pieniędzy? Pamiętam swoje pierwsze zajęcia z twórczego pisania, nauczycielka powiedziała: „Jeśli zamierzasz być pisarzem, pierwsze, co musisz zrobić, to złożyć śluby ubóstwa”. I nikt w sali nawet nie mrugnął.

Miałam wrażenie, że wszyscy znani mi pisarze – czyli wówczas prawie wszyscy moi znajomi – znajdowali się w stanie chronicznej frustracji. Nieustannie przeżywali, kto dostał co, kogo zignorowano i jak okropnie niesprawiedliwy jest cały ten biznes. Zupełna dezorientacja. Dlaczego musi tak być? Dlaczego wszyscy mężczyźni są tacy aroganccy, a wielu z nich to seksualni drapieżnicy? Dlaczego wszystkie kobiety są złe i zdołowane? Naprawdę trudno było im wszystkim nie współczuć.

Zawsze gdy szłam na jakieś spotkanie literackie, nie mogłam przestać wstydzić się za autora. Pytałam samą siebie, czy chciałabym znajdować się na jego miejscu, i szczerą odpowiedź brzmiała: nie, do diabła! I nie chodziło tylko o mnie. U reszty publiczności wyczuwałam ten sam dyskomfort. Pomyślałam sobie, że to właśnie miał na myśli Baudelaire, mówiąc, że sztuka to prostytutka.

Tymczasem męczyłam się z powieścią. Aż wreszcie któregoś dnia powiedziałam sobie: powiedzmy, że nie napiszesz tej książki. Czy na ziemi nie żyją miliony ludzi, którzy chcą sprowadzić swoje powieści na świat? Czy tak naprawdę już nie napisano zbyt wielu powieści? Czy naprawdę sądzę, że za moją ktoś zatęskni? I czy mogłam usprawiedliwić, że w swoim życiu, jedynym, szalonym, cennym życiu, będę zajmować się czymś, czego w przeciwnym wypadku nikomu nie będzie brakować?

W tym samym czasie usłyszałam przypadkiem w radiu jakiegoś pisarza. Nie pamiętam nazwiska, ale równie dobrze mógł to być sam Bóg. Pamiętam, jak mówił, że gdyby w przyszłym roku nie opublikowano ani jednej książki prozatorskiej, zamiast porażającej liczby opowiadań i powieści, które zostaną wydane, skutek dla świata byłby właściwie taki sam. To oczywiście nieprawda, ponieważ uważam, że miałyby to wpływ na gospodarkę. Wiem jednak, o co mu chodziło, i poczułam, że mówi to do mnie. I wtedy powiedziałam sobie: musisz zmienić swoje życie.

Nie żebym zrobiła to bez żalu. Mnóstwo razy nachodziło mnie to parszywe uczucie, że jestem tchórzem, zbyt leniwym i zestrachanym, by spełniać swoje marzenia. Ale jeśli potrzebowałam dowodów, czy podjęłam właściwą decyzję, wystarczyło, że spojrzałam na to, co sama

czytałam. Kiedyś byłam prawdziwą pasjonatką, przez lata jednak coraz mniej i mniej interesowało mnie czytanie, szczególnie fikcji. Może ma to coś wspólnego z rzeczywistością, którą widzę na co dzień, ale zaczęły mnie nudzić historie o zmyślonych ludziach żyjących zmyślonym życiem pełnym zmyślonych problemów.

Przez jakiś czas byłam na bieżąco. Kupowałam książkę, którą okrzyknięto arcydziełem, albo kolejną Wielką Amerykańską Powieść, czy coś takiego, i często jej nie kończyłam. Albo kończyłam, lecz nie zostawała mi w pamięci. Zazwyczaj zapomniałam o niej niemal od razu po przeczytaniu ostatniej strony. Później doszłam do punktu, w którym właściwie całkiem przestałam czytać prozę, i zdałam sobie sprawę, że za tym nie tęsknię.

– A gdybyś nie przestała pisać, co by się stało? – zapytałam. – Czy też straciłabyś zainteresowanie czytaniem?

– Nie wiem – odparła. – Wiem tylko, że jestem dużo szczęśliwsza, robiąc to, co robię teraz, niż kiedykolwiek byłabym, robiąc to, co robisz ty.

Może to był komplement, skoro uznała, że może powiedzieć mi to wszystko, nie martwiąc się tym, że zrani moje uczucia.



Student, który kończy studia pisarskie i... wycofuje się z pisania. Ty i ja znaleźliśmy ten typ. W każdej grupie był jeden taki, a my zawsze się zastanawialiśmy: dlaczego tak często to właśnie ten najbardziej obiecujący? (Przypadek Żony Pierwszej).

Napisz o przedmiocie. Napisz o czymś, co jest lub było dla ciebie ważne. Dowolnym przedmiocie. Opisz przedmiot i wyjaśnij, dlaczego jest dla ciebie ważny.

Jedna z kobiet pisze o papierosach. Nazywa je swoim najlepszym przyjacielem. Zaczęła palić w wieku ośmiu lat.

– Nie przeżyłabym bez nich – powiedziała. – Wolę palić, niż robić cokolwiek innego.

Inna kobieta napisała o nożu, którego kiedyś użyła do obrony. Nie tylko ona pisała o jakimś rodzaju broni. Mniej więcej połowa kobiet napisała o lalce. Oprócz jednej wszystkie lalki źle skończyły. Zgubione, zepsute lub

w jakiś sposób zniszczone. Jedyna, która uniknęła takiego losu, była teraz ukryta w tajemnym miejscu, z którego autorka miała nadzieję kiedyś ją wyciągnąć. Tylko tyle powiedziała. Potrząsnęła głową, kiedy przypomniałam jej, że powinna opisać przedmiot.

– Jeśli to zrobię, uwolnię zło – odparła. – Lalce stanie się krzywda i już nigdy jej nie zobaczę.

---

Tydzień po tygodniu czytałam opowieści tych kobiet, wracając autobusem do domu. Zaczęły mi się zlewać w jedną wielką historię, jakby tę samą, opowiadaną raz po raz. Ktoś jest zawsze bity, ktoś zawsze cierpi. Ktoś zawsze jest traktowany jak istota zniewolona. Jak rzecz.

„Niektóre z tych cierpień to: ...”.

Te same rzeczowniki: nóż, pasek, sznur, butelka, pięść, blizna, siniak, krew. Te same czasowniki: zmuszać, bić, przypalać, chłostać, dusić, głodzić, krzyczeć.

Napisz bajkę.

Dla niektórych to szansa, by pofantazjować o zemście. Ponownie – zawsze opowieść o przemocy i upokorzeniu. Zawsze to samo słownictwo.

Mawiałeś, że pisanie nigdy się nie marnuje. Nawet jeśli coś nie wyjdzie i ostatecznie je skasujesz, to jako pisarz zawsze się czegoś uczysz.

Nauczyłam się tego, że Simone Weil miała rację: „Zło wyobrażone jest romantyczne, różnorodne, zło rzeczywiste – ponure, monotonne, jałowe, nudne”<sup>[8]</sup>.

To ostatnia rzecz, o której rozmawialiśmy, kiedy jeszcze żyłeś. Później już tylko e-mail od ciebie z listą książek, które, jak uznałeś, mogą przydać mi się w badaniach. A także – były przecież święta – najlepsze życzenia na Nowy Rok.

## Część czwarta

To brzmiało zupełnie nieprawdopodobnie: autobiografia o romansie człowieka i psa.

Człowiek: J.R. Ackerley (1896–1967), brytyjski pisarz i redaktor czasopisma literackiego BBC „The Listener”.

Pies: Queenie, owczarek niemiecki, suczka. Gdy miała półtora roku, trafiła do Ackerleya, wówczas kawalera w średnim wieku z potężną historią seksualnej rozwiązłości, który przestał już szukać życiowego partnera.

Książka: *Moja Tulipanka*. Zmiana imienia zasugerowana przez redaktora, który „Queenie” uznał za problematyczne, ponieważ Ackerley był gejem.

Oczywiście to od ciebie po raz pierwszy usłyszałam o Ackerleyu. Właśnie opublikowano zbiór jego listów. „Warto przeczytać – mówiłeś – tak jak wszystko, co napisał”. Jego wspomnienia nazwałeś lekturą obowiązkową.

„Znajdź odpowiedni ton i możesz pisać o wszystkim” – często przypominała mi się ta rada, gdy czytałam Ackerleya. „Więcej niż chciałbyś wiedzieć o tym, co wchodzi albo wychodzi z psiej waginy, pęcherza i odbytu” – ostrzegała jedna z recenzji internetowych. Tak naprawdę większość *Mojej Tulipanki* opowiada o jej cieczkach. Chociaż niekiedy czytelnik odnosi wrażenie, że będzie to nieuniknione i trzeba się dobrze przygotować, nie pojawia się tu żaden akt zoofilii. Ale powiedzieć, że nie była to relacja intymna, byłoby kłamstwem. Ackerley przyznawał, że czasami przykładął współczującą dłoń do rozpalonego sromu, który sfrustrowana suka wciąż kierowała w jego stronę.

Ponowna lektura to najczęściej spore ryzyko, szczególnie jeśli bardzo spodobała ci się dana książka. Zawsze istnieje zagrożenie, że tym razem się nie uda, że z jakiegoś powodu już nie będzie aż tak dobra. A kiedy tak się dzieje – a mnie przydarza się to nieustannie (coraz częściej wraz z wiekiem), skutek jest tak przygnębiający, że bardzo ostrożnie otwieram dawne ulubienice.

Styl prozy jest w porządku, dowcip ostry, historia nawet bardziej wciągająca, niż pamiętałam. Coś się jednak zmieniło. Za drugim razem nie



lubię już autora tak jak wcześniej. Zaczynam go nawet nie lubić. Jego wrogość w stosunku do kobiet – jak mogłam to przegapić albo o tym zapomnieć?

„Kobiety bywają niebezpieczne, szczególnie te należące do klasy robotniczej... Nigdy nikomu nie odpuszczą”<sup>[9]</sup>.

To prawda, Ackerley niewiele ma sympatii dla ludzi w ogóle. Szczególnie jego mizoginia jest oczywista. Kobiety są złe, ponieważ są kobietami.

Wyjątek czyni dla miss Canvey, kompetentnej i wrażliwej weterynarki, która natychmiast diagnozuje behawioralne problemy Tulipanki jako problem serca: „Ona jest w panu zakochana, to widać gołym okiem”<sup>[10]</sup>.

Tak jak to, że on był zakochany w niej. Mimo że może się to zdawać oczywiste, jestem jednak skonsternowana sposobem, w jaki ją traktuje. Tulipanka ma poważne problemy z zachowaniem. Pies terrorysta, źle wyszkolony, nerwowy, ekscytujący się do granic hysterii, nietowarzyski. Nieustannie szczeka i gryzie. Zachowuje się tak fatalnie, że niszczy relacje Ackerleya z ludźmi. Przyjaciele irytują się, że właściciel nie chce zrobić nic, by sukę zdyscyplinować. Wini „przebyte doświadczenia”, które odcisnęły się w jej psychice w pierwszym domu, gdzie często zostawała sama i czasami ją bito. Jednak Ackerley również często karci i uderza sukę, choć wie, że takie kary wywołują tylko jeszcze większy zamęt w psiej głowie.

Frustracja, gniew, przemoc (jego słowa). Nie da się uciec od tego wzoru. Kiedy Tulipanka rodzi młode, zwiększając chaos, który i tak rządzi już w domu Ackerleya, ten czasami daje kuksańce szczeniakom.

Trudno nie wyciągnąć wniosku, że przy lepszej tresurze Tulipanka byłaby szczęśliwszym psem, a życie Ackerleya (oraz jego sąsiadów) stałoby się dużo znośniejsze. Ale on wzdraga się przed dominacją. Zafiksował się na tym, że Tulipanka musi cieszyć się w pełni psim życiem. Musi zatem polować i zjadać króliki, doświadczyć seksu i macierzyństwa. Nawet jednak po jednym miocie szceniąt Ackerley nie może się zmusić, by ją poddać sterylizacji: „Jakżebym mógł ingerować w tak piękne stworzenie?”. Mimo pewnych wyrzutów sumienia mniej przejmuje się losem szczeniaków, którym nie znajduje porządnym domów. Najważniejsze są potrzeby ukochanej suki. Jej ciecarki nie tylko wywracają życie obojga do góry nogami, ale rodzą chaos w całej londyńskiej dzielnicy,

gdyż wiele psów, tak jak Tulipanka, nawet z cieczką, wychodzi na dwór bez smyczy.

Strona po stronie na temat męczarni, jakie przechodzi sfrustrowana seksualnie Tulipanka. Ackerley współodczuwa ból suczki, pęka mu serce. Cierpią razem, lato za latem. Ale i tak nie chce jej wysterylizować. Opisy tej części egzystencji Tulipanki są tak męczące, że mam ochotę wrzeszczeć: „Dlaczego jej tego nie zrobisz?!”.

Choć podziwiałeś warsztat, pamiętam, że brzydziło cię jego życie. Życie, w którym najważniejszym dla człowieka związkiem jest ten z psem. „Nie ma nic smutniejszego” – mówiłeś. A mnie się wydawało, że Ackerley w pełni doświadczył tej obustronnej bezwarunkowej miłości, której wszyscy pragną, ale większość nigdy nie poznaje. („Ilu z nas znalazło swoją Tulipankę?” – pytał Auden w recenzji). „Piętnastoletnie małżeństwo, najszcześniejsze lata mojego życia” – mówił Ackerley. A kiedy męki ostatniej choroby suczki zmusiły go, żeby ją uspił: „Chciałbym odejść razem z nią”. Żył jednak dalej. Pisał, pił. Sześć długich, mrocznych lat. Pił i pił, aż umarł.



Człowiek i pies. Czy ten związek – jak sądzi wielu naukowców – naprawdę zaczął się od tego, że karmiące matki przyjmowały osieroczone wilczęta do swoich piersi, by ssały je wraz z niemowlętami? I czy to nie pasuje idealnie do legendy o bliźniętach założycielach Rzymu? Remus i Romulus, porzuceni po urodzeniu i wykarmieni przez wilczycę.

Tutaj pauza, żeby się zastanowić, dlaczego kobieciarza nazywamy psem na baby. Przecież pies znany jest z lojalności.

Podoba mi się wiara Aborygenów w to, że psy ucłowieczają ludzi. A także – choć nie pamiętam, kto to powiedział: „To, co powstrzymuje mnie przed staniem się absolutnym mizantropem, to świadomość, jak bardzo psy kochają ludzi”.

Nadwrażliwemu węchowo i przeczulonemu na punkcie ludzkiego ciała Ackerleyowi nie przeszkadzały żadne zapachy Tulipanki, nawet te

z gruczołów okołodbytnicznych, i uważał za ładne nawet to, jak robiła kupę.

Pisze mniej o jej zwyczajach wydalniczych niż o jej życiu seksualnym. Ale i tak dużo. I te szczegóły...

Rozdział zatytułowany jest bodajże *Płyny i stałe...*

Choć zawsze wyprowadzam Apolla na smyczy, martwię się jednak, tak jak martwił się Ackerley, że pies załatwiający wiadome potrzeby na ulicy – szczególnie duży pies – może zostać potrącony przez samochód. Niestety, Apollo często kuca w niebezpiecznej odległości od krawężnika. Nie mogę – jak Ackerley – rozwiązać tego problemu, pozwalając Apollovi korzystać z chodnika, nawet jeśli w przeciwieństwie do Ackerleya zawsze sumiennie sprzątam po psie. Dlatego za każdym razem, gdy Apollo załatwia się zbyt blisko ulicy, stoję między nim a samochodami. To prawda, że wtedy sama się narażam, ale mam nadzieję – oby! – że kierowcy będą bardziej uważali, by nie potrącić człowieka. Kierowcy na Manhattanie nie należą do cierpliwych. Niejeden zirytowany mnie sklął. Wiem jednak, że są również tacy, którzy i tak by zwolnili, jak robi to wielu przechodniów, żeby tylko popatrzeć.

W *Jak być flanerem* pisałeś, że nie uważasz długiego spaceru z psem za prawdziwy flaneryzm, ponieważ to coś innego niż chodzenie bez celu, a odpowiedzialność za zwierzę sprawia, że nie da się przełączyć umysłu na abstrakcję. Ostatnio tyle czasu spędzam, wyprowadzając Apolla, że nie potrafię już sobie wyobrazić samotnych przechadzek. Dzięki czemu nie popadam w abstrakcyjne myślenie albo w ogóle myślenie, ponieważ ten pies naprawdę przyciąga uwagę. Zawsze przeszkadzała mi uwaga obcych, ale wyjątkowo trudne są te chwile, gdy Apollo robi kupę, choć jemu akurat zdaje się nie przeszkadzać brak prywatności. Najgorsze, gdy ktoś się gapi, jak sprzątam, czego niektórzy nie potrafią zignorować. Komentują rozmiar psich balasków, jakbym nie stała obok z wiaderkiem i łopatką (już one wywołują rozbawienie, choć ja akurat jestem zadowolona, że wpadłam na pomysł zabierania dziecięcego zestawu do piaskownicy, wiaderka starannie wyłożonego foliowym woreczkiem i małej łopatki ogrodowej).

„Szkoda mi pani” – rzuca ktoś, szczerząc się. Albo: „Kocham psy, ale nie dałabym rady robić tego, co pani”.

Kilka osób zganiło mnie, że w ogóle mam takiego dużego psa: „Miasto to nie miejsce dla dużych psów”.

– To okrutne – zawyrokowała pewna kobieta. – Trzymać psa takich rozmiarów ściśniętego w mieszkaniu.

– Och, przyjechaliśmy tu tylko na jeden dzień! – zawołałam w odpowiedzi. – Jutro wracamy do naszej posiadłości na wsi.

(Tak, oczywiście, są także mili ludzie, przede wszystkim inni właściciele psów, ci, którzy albo zajmują się własnymi sprawami, albo mówią miłe, przyjazne, mądre rzeczy. Ale wszyscy wiemy, że o miłych rzeczach interesująco się ani nie pisze, ani nie czyta).

Płyny: Kiedy widzę te wysikiwane hektolitry, cieszę się, że Apollo nie podnosi nogi jak większość psów. Zamiast kołpaka mógłby obsikać komuś okno w aucie.

Stałe: Dosyć już napisałam.

Jest jeszcze coś między płynami a ciałami stałymi, przekleństwo dużych ras. Kilka razy dziennie muszę wycierać Apollowi pysk. Nazywam to zmywaniem pokładu.

Zamiast chodzić z nim do poprzednio odwiedzanego weterynarza, co oznaczałoby wożenie Apolla na Brooklyn, znalazłam przychodnię w odległości spaceru od domu. Lekarz dobrze zajmuje się psem, ale traktuję faceta z dystansem, należy bowiem do tych, którzy odzywają się do kobiet, jakby były idiotkami, a do starszych kobiet – jakby były głuchymi idiotkami.

Kiedy mówię, że Apollo nigdy nie bawi się z innymi psami, nawet w psim parku, weterynarz odpowiada:

– Cóż, nie jest już przecież taki młody. Pani też raczej nie biega i nie podskakuje jak kiedyś.

Wzrusza ramionami, słysząc historię Apolla.

– Ludzie ciągle pozbywają się zwierząt domowych – zauważa. – To psy oddałyby życie za właścicieli, nie odwrotnie. (Najwyraźniej nie czytał Ackerleya). Przecież liczba rozwodów świadczy wystarczająco o lojalności człowieka, prawda? – dodaje podenerwowanym tonem.

Ktoś powiedział mi kiedyś, że wielu weterynarzy łatwo się irytuje, ponieważ w swojej pracy spotykają się z wyjątkowo szeroką gamą ludzkiej głupoty – z której bez wątplenia duża część to antropomorfizacja. Jeden weterynarz przewrócił oczami, słysząc, że mój kot nieustannie mruczy, na pewno jest więc szczęśliwy.

– Mruczenie to po prostu dźwięk, który wydają koty – warknął. – Nie znaczy wcale, że są s z c z ę ś l i w e.

Ten za to mówi wprost:

– Jak na swój wiek Apollo jest w niezłej formie, ale nie będzie długowieczny. Biorąc zaś pod uwagę jego artretyzm, proszę mi wierzyć, wcale by pani tego nie chciała. Cokolwiek się stanie, proszę pilnować, żeby nie przytył.

Potrząsa głową, widząc źle obcięte uszy, i pokazuje, co jeszcze sprawia, że Apollo nie należy do idealnych przedstawicieli rasy: klatka piersiowa i barki zbyt szerokie w stosunku do tylnej części, kark nie całkiem biały i nie do końca właściwe występowanie czarnych łatek w innych partiach sierści, oczy osadzone nieco za blisko siebie, zuchwa nieco zbyt szeroka, nogi trochę za grube. Mocno zbudowany, choć raczej przysadzisty, brak mu prawdziwej elegancji.

Uznał za naturalne, że pies znajduje się w żałobie po poprzednim właścicielu i jego emocje nasilają się z powodu zbyt wielu zmian otoczenia.

– A jak pani by się czuła? – pyta ostro weterynarz, jakby ta myśl nigdy nie przyszła mi do głowy.

Opowiadam o wyciu i okropnym nowym objawie, który je zastąpił: od czasu do czasu Apollo ma coś w rodzaju ataku. Rozgląda się jakby w zamroczeniu. Następnie wciska ogon między nogi, przykuca na podłodze tak nisko, jak się da, ale się nie kładzie. Jakby próbował się jak najbardziej zmniejszyć. Później zaczyna się trząść. Czasami kilka minut, a czasami nawet pół godziny kuli się i drży bez opanowania.

– To oczywiście: Apollo uważa, że zaraz przydarzy mu się coś strasznego – mówię weterynarzowi, nie dodając, że ataki te wywołują mocno przygnębiające wrażenie, tak że czasami doprowadzają mnie do łez.

Istnieją leki na psie ataki paniki i depresje, ale ten lekarz nie jest ich zwolennikiem. Lek może zacząć działać dopiero po kilku tygodniach, a czasami okazuje się w ogóle nieskuteczny.

– Zostawmy to jako ostateczne rozwiązanie – dodaje. – Na razie proszę nie opuszczać go nigdy na zbyt długo i proszę do niego mówić. Wyprowadzać tak często, jak się da. Może pani także spróbować masażu, jeśli na to pozwoli. Proszę tylko nie oczekiwać, że zmieni się w Pana Szczęśliwego. Być może nigdy nie wyzdrowieje, cokolwiek by pani zrobiła. I nigdy się pani nie dowie dlaczego. Nie chodzi tylko o to, że nie zna pani jego przeszłości. Ludzie sądzą, że psy są proste w obsłudze:

lubimy wierzyć, że wiemy, co dzieje się w ich głowach. Tak naprawdę jednak dowiadujemy się, że są dużo bardziej tajemnicze i skomplikowane, niż kiedykolwiek myśleliśmy, i jeśli nie zaczną mówić, nigdy ich nie poznamy. Co oczywiście dotyczy wszystkich zwierząt. To dobry pies – ciągnął – ale muszę panią ostrzec. Jest pani drobną kobietą, na pewno lżejszą od niego o trzydzieści kilka kilogramów. (Komplement). Z tak dużymi, silnymi rasami trzeba sobie radzić, nie zdradzając im prawdy, czyli tak naprawdę nie można ich zmusić do zrobienia czegokolwiek, czego nie chcą zrobić.

Jakby Apollo już tego nie wiedział. Niejeden raz, kiedy wychodziliśmy na spacer, uznawał, że już dosyć się nachodził. Wtedy zatrzymywał się, siadał albo kładł się na ziemi i nie mogłam go w żaden sposób zmusić, by wstał. Jestem i tak mniej zła na niego niż na ludzi, którzy się zatrzymują, żeby popatrzeć, i czasami się śmieją. Pewien mężczyzna, który bardzo chciał pomóc, stanął w pewnej odległości, zaczął klepać się po udzie i gwizdać. I wtedy – niczym przetaczająca się burza – pojawiła się psia odpowiedź, jakiej dotąd nie słyszałam, tak groźna, że mężczyzna ten szybko przeszedł na drugą stronę ulicy, a z nim jeszcze kilka innych osób.

– Ktokolwiek go tresował – mówi weterynarz – nauczył go rozumieć, że ludzie są samcami alfa, i proszę mi wierzyć, nie chce pani, by zaczął myśleć inaczej. Nie może wbić sobie do głowy, że to on jest samcem alfa. Kiedy się o panią oprze, jak mają to w zwyczaju dogi, nie wolno pani pozwolić, by ją przewrócił. Niech położy się na plecach, proszę wtedy chwilę pogłaskać go po piersi. I na miłość boską, niech pani wróci na łóżko, a jego pośle na podłogę. Psa się tresuje, trzymając go na podłodze.

Moja mina na te słowa wyraźnie nadwyręża cierpliwość weterynarza.

– To dobry pies – powtarza wyraźnie i tym razem dość głośno. – Niech go pani nie zmienia w złego psa. Bo zły pies z łatwością może zmienić się w niebezpiecznego.

Kiedy kończy badać Apolla i dawać mi wykład, lubię Burkliwego Weta już bardziej. Choć akurat nie jego pożegnalną uwagę:

– Proszę pamiętać, że ostatnie, czego pani chce, to by zaczął traktować panią jak swoją sukę.

Teraz, kiedy mam Apolla, często myślę o Beau, krzyżówce doga z owczarkiem. Należał do chłopaka, z którym mieszkałam jako dwudziestokilkulatka. Kiedy poznałam Beau, był szczeniakiem, ale wyrósł

na prawie tak dużego psa jak dog i miał wiele jego cech, z dodatkiem nerwowości i agresji owczarka. Wielki, niewykastrowany i bardzo dominujący, wyskakiwał na ulicę niczym facet szukający bójki (którą zresztą często znajdował). Mieszkaliśmy w szemranej okolicy, ale z Beau przy boku nawet nie zawsze zamykaliśmy drzwi na klucz. Zabierałam go z sobą do znajomych spory kawałek dalej, zostawałam u nich do pierwszej, drugiej w nocy, po czym wracałam do domu ciemnymi i pustymi ulicami. Beau wyczuwał potencjalne niebezpieczeństwo, widziałam to w jego napięciu, superczujności. Był jak pokryty sierścią żołnierz: odbezpieczony jak wojskowy karabin. Więcej niż raz ogromnie przestraszył jakiegoś kolesia wystającego na rogu albo w którejś bramie. (Powinnam dodać, że jako jedna z niewielu znajomych osób, które mieszkały w tamtej części miasta, nigdy nie padłam ofiarą rabunku, włamania ani niczego gorszego). W grzmotliwych szczekach i warknięciach Beau było coś niezaprzeczalnie ekscytującego, podobnie jak w postawie, którą przyjmował między mną a ewentualnym zagrożeniem (czyli każdym obcym człowiekiem, który choćby na mnie spojrzał), tak samo w świadomości, że będzie mnie bronił – nawet oddając życie. Między innymi dlatego go kochałam.

I wtedy podobało mi się to, że przyciągaliśmy uwagę.

Teraz jest zupełnie inaczej. Miasto się uspokoiło, ulice są bezpieczne, a ja nie chodzę po nich nocami. O pierwszej czy drugiej już śpię. Nie potrzebuję ochrony. Nie potrzebuję groźnego psa obronnego. Nie chcę, by Apollo kiedykolwiek musiał na kogoś warczeć czy szczekać. Nie chcę, żeby się martwił. Nie chcę, by się czegoś bał. Chcę, by czuł, że oboje jesteśmy absolutnie bezpieczni, nieważne, dokąd idziemy. Nie chcę, by był moim ochroniarzem. Chcę, żeby się wyluzował. Chcę, żeby był Panem Szczęśliwym.

– Tęsknił za panią – mówi kobieta, która mieszka pode mną.

Wracając z zajęć, wpadłam na nią przy windzie.

Innymi słowy: Apollo znowu wyje.

Musi o tobie zapomnieć. Musi o tobie zapomnieć i zakochać się we mnie. To się musi stać.

## Część piąta

Czytała pani o mastifach tybetańskich?

Rzeczywiście, czytałam artykuł w „Timesie”, potwierdzam, ale kobieta ma tak wielką potrzebę wygadania się, że i tak musi mi opowiedzieć całą historię.

Jeszcze kilka lat temu mastif tybetański był symbolem pozycji społecznej w Chinach, luksusowym nabytkiem, za który płacono się średnio dwieście tysięcy dolarów, a niektóre szczeniaki sprzedawano za ponad milion. Mania sięgnęła zenitu, a chciwi hodowcy uzyskiwali coraz więcej psów. Później moda na nie minęła. Zbyt mało warte, zbyt dużo jedzące, wielkie i często trudne do opanowania psy nie były już potrzebne. Jak to się skończyło? Masowymi porzuceniami. Pakowane do ciężarówek psy okropnie cierpiały, wiele z nich zdechło. Rzeźnia.

Naprawdę nie chciałam tego słyszeć po raz drugi.

Tę kobietę często spotykamy, kiedy wyprowadza swoje dwa łagodne kundelki, matkę i córkę. Po streszczeniu mi artykułu rozpoczyna monolog – który również już słyszałam – o tym, jak złe jest hodowanie psów. Kundle to był plan natury, kundle powinny istnieć. A co mamy zamiast tego? Durne collie, neurotyczne owczarki, mordercze rottweilery, głuche dalmatyńczyki i labradory tak spokojne, że mógłbyś wycelować im broń w pysk i nie podejrzewałyby niebezpieczeństwa. Futrzaste warzywa, kaleki, durnoty, socjopaci, psy ze zbyt kruchymi kośćmi lub zbyt umięśnione. Właśnie to dostajesz, kiedy hodujesz psy dla cech, które chcą widzieć w nich ludzie. To powinno być karalne. (Uznałam ją za wariatkę, kiedy opowiedziała mi o pointerach, które zastygają, złapawszy trop, i nie mogą się wyrwać z tej pozycji, lecz okazało się, że to fakt, choć groteskowy).

– Z przerażeniem myślę, jak to będzie za pięćdziesiąt albo sto lat – mówi kobieta, która rzeczywiście wygląda ponuro. – Ale wtedy – dodaje – ziemia i tak zostanie już zniszczona. – I może pocieszona tą myślą bierze swoje kundelki i idzie dalej.

Ja zostaję, myśląc o mastifach. Oprócz ich wielkich rozmiarów i grzywy, która sprawia, że trochę przypominają lwy, znane są z ogromnej lojalności i silnego instynktu chronienia swojego pana. Co więc czuje pies



hodowany dla tych właśnie cech, kiedy pan zagania go na ciężarówkę? Czy pies rozumie zdradę? Chyba nie. Myślę, że najważniejsze, co chodzi po głowie takiego mastifa przez całą drogę do rzeźni, to pytanie: Kto teraz ochroni mojego pana?

Tu dygresja: co tak naprawdę wiemy o zwierzęcym cierpieniu? Istnieją dowody na to, że psy i inne zwierzęta mają większą od ludzi tolerancję na ból. Chociaż prawdziwy rozmiar ich cierpienia – tak jak inteligencji – pozostaje tajemnicą.

Ackerley wierzył, że psie życie jest nieustannie pełne niepokoju i stresu, co wiąże się z emocjonalną relacją z ludźmi i nieustannymi próbami ich zadowalania. Ale czy psy boli głowa? – zastanawiał się. Przecież nawet tego o nich nie wiadomo.

Kolejne pytanie: dlaczego ludzie często z większym trudem akceptują cierpienie zwierząt niż cierpienie innych istot ludzkich?

Choćby Robert Graves, który tak pisał o bitwie nad Sommą: „Wstrząsnął mną widok martwych koni i mułów: trupy ludzkie nie robiły już na mnie wrażenia, lecz znęcanie się nad zwierzętami wydało mi się wstrętne”<sup>[11]</sup>.

Dlaczego dla amerykańskiego olimpijczyka i żołnierza Louisa Zamperiniego po koszmarnych doświadczeniach z obozu jenieckiego w Japonii podczas drugiej wojny światowej najgorszym wspomnieniem był strażnik znęcający się nad kaczką?

Oczywiście w każdej z tych sytuacji cierpienie zostało spowodowane ludzkim zachowaniem, gdy chodziło o kaczkę – był to akt czystego sadyzmu. Ale czy zwierzęta nie są na naszej łasce zawsze i czy litość, którą wobec nich czujemy, ma coś wspólnego z naszym przekonaniem, że samo zwierzę nie zna powodu swojego bólu (dlatego niektórzy ludzie twierdzą, że zwierzęta cierpią jeszcze bardziej niż ludzie)? Sądzę, że intensywność współczucia, jakie człowiek okazuje zwierzęciu, ma coś wspólnego z tym, że człowiek lubi się nad sobą użalać. Wierzę, że wszyscy zachowujemy przez całe życie wyraźne wspomnienie tych wczesnych chwil, gdy byliśmy jeszcze częściowo zwierzęciem, częściowo człowiekiem, przytłaczające uczucie bezradności, kruchości i niemego strachu, tęsknoty za ochroną, która, jak podpowiada nam instynkt, pojawi się, jeśli tylko wystarczająco głośno krzykniemy. Niewinność to coś, przez co my, ludzie, przechodzimy i co zostawiamy za sobą, nie mogąc już do niej powrócić. Ale zwierzęta

żyją i umierają w tym stanie, a kiedy niewinność jest gwałcona w formie okrucieństwa wobec zwykłej kaczkę, to wydaje się najbardziej barbarzyńskim aktem na świecie. Znam ludzi, których oburza to uczucie, nazywają je cynicznym, mizantropicznym i perwersyjnym. Myślę jednak, że dzień, w którym nie będziemy już czuć, to będzie potworny dzień dla każdego żyjącego stworzenia, później zaś jeszcze szybciej pogrążymy się w przemocy i barbarzyństwie.

Kiedy ktoś mnie pyta, dlaczego przestałam trzymać koty, nie zawsze udzielam prawdziwej odpowiedzi, co ma związek z tym, jak zmarły te, którymi się opiekowałam. Cierpiały i umierały.

Przechodzą przez to wszyscy właściciele zwierząt. Twój pupil jest chory, wyraźnie chory, ale o co chodzi, co się dzieje? Nie powie ci tego.

Niezdolna myśl, że twój pies, który uważa cię za Boga, wierzy, że możesz powstrzymać ten ból, lecz z jakiegoś powodu (może zrobił ci przykrość?) tego nie robisz.

Rilke widział kiedyś umierającego psa patrzącego z naganą na swoją właścicielkę. Przekazał później to doświadczenie narratorowi swojej powieści:

„Był przekonany, że mogłem temu przeszkodzić. Teraz się okazało, że zawsze mnie przeceniał. Nie było już czasu mu tego wyjaśnić. Spoglądał na mnie zdziwiony i samotny, aż do końca”<sup>[12]</sup>.

Podejrzanie, że twoja kotka, dumna, niezależna i stoicka, ukrywa, jak źle naprawdę mają się rzeczy.

Wyprawa do weterynarza, diagnoza, cóż, przynajmniej to, w końcu. Operacja, leki. (Przestań wypluwać te cholerne tabletki!). Nadzieja. Później wątpliwości. Skąd mam wiedzieć, czy ją boli i jak bardzo? Jestem samolubna? Czy wolałaby umrzeć?

Przez lata przechodziłam to kilka razy, zbyt wiele razy, trzymając kota, który, jak zapewniał weterynarz, odejdzie w spokoju. Moja matka, która również tego doświadczyła, mówiła: „Ta kruszyna leżała na moich rękach cały czas, do samego końca, i mruczała”. (Wiem: to tylko dźwięk, który wydają).

Wkrótce po tym, jak umarł jeden z moich dwóch ostatnich kotów (na moich rękach, ale nie mrużąc) – kot, z którym żyłam przez dwadzieścia lat, dłużej niż z jakimkolwiek człowiekiem – ten, który pozostał, zachorował. Kotka chodziła po mieszkaniu, nie przestawała, nie

była w stanie odpocząć nawet przez chwilę. Wyobraźcie sobie: kot cierpiący na bezsenność. Chciała jeść, próbowała, lecz nie była w stanie niczego przełknąć. Jej głos zmienił się w takie samo niespokojne, nieustanne miauczenie:

– Pomóż mi, dlaczego nie chcesz mi pomóc?

W badaniu ultrasonograficznym wykryto guza.

– Możemy operować – stwierdziła weterynarka, miła młoda kobieta w uspokajająco różowym kitlu. – Ale proszę wziąć pod uwagę jej wiek.

I tak zrobiłam, myśląc również o tym, jak cierpiała, oraz rozumiejąc, że jako dziewiętnastolatka mogła nie przeżyć operacji.

– Drugie wyjście – powiedziała lekarka – to ją uśpić.

Jakże Ackerley nienawidził tego „niegodnego” eufemizmu. Chociaż jego słowo „unicestwić” zawsze brzmiało dla mnie dziwnie w odniesieniu do rozumnej istoty. Ani on, ani nikt inny nie używa jednak nigdy szczerzego określenia „uśmiercić”. Kazałem u ś m i e r c i ć moją Tulipankę. Zabrałam kota do pani weterynarki, by go u ś m i e r c i ł a. Lepiej byłoby u ś m i e r c i ć to biedactwo. Nie ma już nadziei, trzeba ją u ś m i e r c i ć. Jeśli nie znajdziemy im domów, wszystkie zostaną u ś m i e r c o n e.

– Chce pani z nią zostać?

– Oczywiście.

– Dwa zastrzyki – wyjaśniła weterynarka. – Pierwszy, by ją uspokoić...

Pierwszego zastrzyku nie udało się zrobić. Miało to coś wspólnego z odwodnieniem i jego wpływem na żyły. A kotka, jak dotąd bardzo spokojna, nagle się zaniepokoiła. Wyciągnęła łapkę i dotknęła mojego nadgarstka. Uniosła głowę, niepewnie, na kruchej szyi, i spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

Nie mówię, że to powiedziała, mówię tylko, co usłyszałam:

– Poczekaj, robisz błąd. Nie mówiłam, że chcę, byś mnie uśmierciła, tylko żebyś sprawiła, że poczuje się lepiej.

Weterynarka wyraźnie się zdenerwowała. Zanim zdążyłam coś powiedzieć, zgarnęła kotkę i ruszyła do drzwi, mówiąc: „Zaraz wracam”.

Byłyśmy w dużej, gwarnej klinice z wieloma różnymi oddziałami. Nie miałam pojęcia, dokąd poszła.

Wróciła dziesięć minut później. Położyła kotkę na stole, martwą.

„Chce pani z nią zostać?

Oczywiście”.

Te słowa wyszły z moich ust, zanim zdążyłam je powstrzymać: gorzkie

– Co pani zrobiła?

Słyszałam o badaniach, zgodnie z którymi koty, w przeciwieństwie do wielu innych gatunków zwierząt, nie wybaczą. (Tak jak chyba pisarze, którzy według znajomego redaktora nie wybaczą ani trochę).

Być może poczucie winy było większe, ponieważ ze wszystkich moich kotów tego lubiłam najmniej – kotka zawsze trzymała się osobno, nie pozwalała mi się tulić ani trzymać na kolanach. Czekala, aż zasnę, i wtedy zakradała się na moje biodro. A teraz to o niej nie mogłam przestać myśleć. Znajdowałam gdzieś w mieszkaniu kłaczek z sierści albo wąs i znowu słyszałam to ochryple, gorączkowe miauczenie ostatnich dni. Nie, nie chciałam kolejnego kota. Nie chcę już nigdy więcej patrzeć, jak kot umiera, cierpi i umiera. Nie mówiąc już o innym niepokoju: jeśli wezmę kota, co się z nim stanie, gdy umrę pierwsza?

Zapewne to ocaliło mnie przed staniem się starą panną z kotami. Cieszę się, że w epoce Internetu, dzięki któremu koty, jak w starożytności, znowu zaczęto wielbić jak bogów, ta etykieta straciła już trochę ze swojego stygmatu. Kiedyś pewien rezydent w szpitalu powiedział mi, że w trakcie szkolenia na oddziale psychiatrycznym nauczył się, że trzymanie w domu wielu kotów może oznaczać chorobę psychiczną. Przypominając sobie historie o gromadzeniu ogromnej liczby zwierząt, uznałam, że to dobrze, że psychiatrzy mają oko również na taki objaw. Ale gdy dopytywałam, ile trzeba mieć kotów, żeby uzasadnione było podejrzenie choroby, odparł: „Trzy”.

Ze względu na doskonały psi węch zdaję sobie sprawę, że choć minęły lata, Apollo na pewno wie, że mój dom był kiedyś kocim terytorium. Chciałabym wiedzieć, co o tym myśli.

Jest taki węgierski film, *Biały Bóg*, w którym budapesztańskie psy wzniesają powstanie przeciwko człowiekowi. Jak wszystkie bunty, ten również ma swojego lidera. To kundel Hagen, pupil dziewczynki o imieniu Lili. Jego gehenna zaczyna się w momencie, gdy ojciec Lili odmawia zapłaty podatku za każdego psa, który nie jest czystej rasy. Wyrzucony na ulicę Hagen próbuje wrócić do Lili (która w tym samym czasie robi,

co może, żeby go odnaleźć), jednak plany krzyżują mu najpierw hycle, a później gangster, który okrutnymi metodami trenuje psa do walk. Dopiero gdy zabija innego psa w pierwszej walce na ringu, Hagen zaczyna rozumieć nie tylko to, co zrobił, ale także to, co jemu zrobiono. Ucieka od tresera, lecz wkrótce ponownie łapią go hycle i wiozą do schroniska, gdzie ma być uśmiercony. Hagen jednak ucieka ponownie, jednocześnie uwalniając wiele innych psów, które ruszają za nim ulicami Budapesztu. Do sfory biegnących – i czasami atakujących – psów dołączają kolejne psy z każdego zakątka miasta: Hagen zbiera psią armię. Odnajduje swoich wrogów, jednego po drugim, i okrutnie ich zabija. Dawniej łagodny Hagen zmienił się już tak bardzo, że kiedy w końcu spotyka Lili na dziedzińcu rzeźni, w której ojciec dziewczyny pracuje jako inspektor sanitarny, pies warczy i odsłania kły. Przecież Lili jest ludzką istotą – a obok stoi jej ojciec, który rozpoczął tę wojnę. Wokół Hageną gromadzą się członkowie jego armii, każdy gotowy uderzyć. Przestraszona Lili przypomina sobie, że Hagen lubił, gdy grała mu na rogu (występowała w szkolnej orkiestrze) i jak koily go te dźwięki. Wyjmuje więc instrument z plecaka i zaczyna grać. Hagen się uspokaja i kładzie na ziemi. Wtedy wszystkie pozostałe psy również milkną i także się kładą. Lili gra dalej, przedłużając chwilę spokoju.

Szczerliwego zakończenia nie będzie, wiemy bowiem oczywiście, że psy są skazane na śmierć. Ale zdążyły się zemścić.

Łatwo zrozumieć, dlaczego wiele osób – w tym ja, zanim naprostowała mnie licealna nauczycielka angielskiego – wierzy, że ktoś powiedział kiedyś: „Muzyka łagodzi dziką bestię”.

„Muzyki urok łagodzi pierś dzikiego” – tak naprawdę napisał dramaturg William Congreve. Aczkolwiek częścią naszej mitologii jest dzikie lub wściekłe zwierzę uspokajane czy osławane muzyką. Co ma sens, biorąc po uwagę naszą wiedzę o tym, jak muzyka wpływa na ludzkiego ducha.

W *Białym Bogu*, tuż przed tym, jak pies zostaje uśpiony, znajduje się w pomieszczeniu z telewizorem. W programie, w którym akurat leci stara kreskówka z Tomem i Jerryem – *Koncert na cztery łapki* – w którym Tom gra *Rapsodię węgierską nr 2*.

Nie wiem, czy muzyka naprawdę potrafi ukoić psie serce, lecz w Internecie jest to jeden ze sposobów na psią depresję.

(Piszesz książkę? Masz depresję? Chcesz mieć zwierzątko? Czy twoje zwierzątko ma depresję?).

Ale jaki rodzaj muzyki?

Miałam kiedyś królika, który kicał swobodnie po domu. W salonie stała wieża stereo z dwoma głośnikami na podłodze. Zawsze gdy grała muzyka, królik zbliżał się do głośnika i tam już zostawał. Przeważnie tylko leżał i słuchał, czasem lizał sobie uszy. Gdy jednak włączałam *Kantatę myśliwską* Bacha (*Owce mogą się paść bezpiecznie*), wstawał i brykał po pokoju.

Jaki rodzaj muzyki? Wesoła? Odprężająca? Szybka czy wolna? *Rapsodia węgierska nr 2*? Może coś Schuberta? (Och, lepiej nie Schuberta, w którego piórze – jak mawia Arvo Pärt – znajdowało się pięćdziesiąt procent atramentu i pięćdziesiąt procent łez). A może *Bitches Brew* Milesa Davisa? (Wiem, że to wszystko debilnie antropomorficzne, ale czasami taką formę przybiera miłość).

Włączam mu Milesa Davisa. Włączam Bacha i Arva Pärta. Włączam Prince'a, Adele i Franka Sinatrę. I Mozarta, mnóstwo Mozarta.

Nic jednak nie robi na nim wrażenia. Chyba w ogóle nie słucha. A jeśli słucha, to chyba go nie obchodzi.

Wtedy przypominam sobie artykuł o pewnym eksperymencie, w którym małpom dano do wyboru słuchanie Mozarta i rock and rolla – wybierały Mozarta. Chociaż mając do wyboru Mozarta i ciszę – wybierały ciszę.

*Białego Boga* po części zainspirowała powieść *Hańba*. Po zwolnieniu z posady wykładowcy David Lurie porzuca życie w Kapsztadzie i ucieka do wioski w Prowincji Przylądkowej Wschodniej, gdzie jego córka Lucy ma niewielką farmę. Tam zaczyna pracować w schronisku dla zwierząt. O losie tak wielu niechcianych zwierząt Lucy mówi: „Robią nam ten zaszczyt, że traktują nas jak bogów, a my w zamian traktujemy je jak przedmioty”<sup>[13]</sup>.

Przyszedł list od zarządcy budynku z informacją, że otrzymał zgłoszenie o pogwałceniu przeze mnie warunków umowy najmu. Pies musi natychmiast zostać usunięty z budynku albo...

Czy coś złego przydarzy się psu?

## Część szósta

**P**roblem z tym opowiadaniem – mówi student, którego nazwę Carterem, o opowiadaniu studentki, powiedzmy Jane – polega na tym, że bohaterka nie przypomina postaci z opowiadania. Bardziej kogoś z prawdziwego życia.

Słyszę to dwukrotnie, ponieważ uciekłam gdzieś myślami, i muszę prosić studenta, żeby powtórzył.

– Mówi pan, że bohaterka jest zbyt prawdziwa? – pytam, choć rozumiem, co chce mi przekazać Carter.

Bohaterka, o której rozmawiamy, to dziewczyna o rudych włosach i zielonych oczach, która zaprzyjaźnia się z pewną blondynką o niebieskich oczach, ale wkrótce odkrywa, że facet, którego blondynka właśnie rzuciła, to ten sam, z którym rudowłosa zaczęła się spotykać. Kolor oczu i włosów faceta nie jest podany, lecz autor zaznacza wysoki wzrost. Później inna moja studentka, którą nazwę Viv, powie, że chciałaby wiedzieć, czy dziewczyna również jest wysoka.

– Dlaczego to ważne? – pytam, kryjąc irytację (czego Viv bynajmniej nie robi, ponieważ nie znosi czegokolwiek wyjaśniać, rzuca więc tylko rozdrażniona: „Nie mogę po prostu zapytać?”).

Są rzeczy, które ja także chciałabym wiedzieć. Na przykład dlaczego w sytuacji, kiedy te dwie dziewczyny chcą pogadać, za każdym razem wsiadają do samochodów i odwiedzają się w domach? Dlaczego nie korzystają z telefonów, choćby po to, by SMS-em zapytać, czy ta druga na przykład nigdzie nie wyszła? Dlaczego nie wiedzą o sobie tego, co łatwo można sprawdzić na Facebooku?

To jedno z największych zaskoczeń studenckiej prozy. Czytałam, że studenci college'ów spędzają do dziesięciu godzin dziennie w mediach społecznościowych. Jednak dla ludzi, o których piszą – zwykle również studentów – Internet mógłby nie istnieć.

„Telefony komórkowe nie pasują do prozy” – zganił mnie kiedyś redaktor na marginesie jednego z moich rękopisów i odtąd – minęły ponad dwie dekady – zastanawiam się nad brakiem łączności między wypełnionym technologią życiem a pozbawioną go prozą.

Jeśli ktoś miałby to wyjaśnić – myślałam kiedyś – to tylko sami studenci. Ale nie są specjalnie pomocni. Najciekawszą odpowiedź usłyszałam od doktorantki, która była także matką wówczas pięcioletniego chłopca.

– Zawsze gdy czytam mu jakąś bajkę – mówiła – syn mi przerywa: „Kiedy oni pójda do łazienki? Mamo, kiedy oni pójda do łazienki?”.

Są rzeczy, które w prawdziwym życiu robimy nieustannie, choć w literaturze ich nie umieszczamy. Racja. Ale nikt nie spędza dziesięciu godzin w łazience.

Już Kurt Vonnegut się skarżył, że powieści, które pomijają technologię, przypominają życie w równie małym stopniu, co wiktoriańskie przypominały życie, pomijając seks.

Ale to już kolejna tajemnica „nic w głowach i nic między nogami” – tak znajomy wykładowca określa bohaterów tekstów pisanych na warsztatach. To nauczyciel pracujący znacznie dłużej ode mnie, wkrótce przejdzie na emeryturę. Twierdzi, że nie zawsze tak było.

– Pamiętam, że kiedyś pojawiała się mnóstwo seksu – zauważa. – I to często mocno perwersyjnego. Teraz wszyscy się boją, że kogoś obrażą, naruszą zasady. Chyba powinniśmy się z tego cieszyć. W dzisiejszych czasach można mieć przecież kłopoty za rozmowę o seksie na zajęciach.

Znam pewnego mężczyznę, nauczyciela w żeńskim college’u, który wpadł w tarapaty, kiedy umieścił temat „Twoje pierwsze doświadczenie seksualne” na liście możliwych do wyboru wprawek pisarskich, co sprowokowało kilka kobiet do złożenia skargi. Według dziekana to, co zrobił wykładowca, można było uznać – i uznano – za rodzaj molestowania seksualnego.

Wzięłam udział w obowiązkowym szkoleniu internetowym macierzystej uczelni na temat niewłaściwych zachowań seksualnych, co otworzyło mi oczy na fakt, że każde pisemne czy ustne odniesienie do zachowania seksualnego, w tym żarty lub rysunki, a także luźna rozmowa o czymś życiu erotycznym, to niewłaściwe zachowanie. I nie ma wyjątków dla zajęć pisarskich. Martwiłam się, zadałam bowiem studentom do przeczytania opowiadanie zawierające scenę autoerotycznego podduszania, ale oni w ogóle jej nie zrozumieli. Oświeciłam ich, a później się martwiłam, że chyba nie powinnam była tego robić.

Choć przyznaję, że tylko przejrzałam większość materiałów do kursu internetowego, to zdziwiłam się po dotarciu do ostatniej części,



zatytułowanej *Sprawdź swoją wiedzę* („Nikt oprócz wypełniającego nie zobaczy wyników”), gdy się okazało, że na dwa z dziesięciu pytań udzieliłam błędnej odpowiedzi. Zasugerowano, żebym ponownie przeczytała odpowiednie fragmenty tekstu, tym razem uważniej. Ale po co, skoro teraz już wiedziałam, że tak, jestem zobowiązana do natychmiastowego zgłoszenia, jeśli wiem, że wykładowca spotyka się ze studentem, oraz – mimo że nie jest to obowiązkowe, lecz „zdecydowanie zalecane” – bym doniosła na kolegę, który opowiedział rasistowski żart, nawet jeśli nie obraził mnie osobiście.

– Chcę powiedzieć – mówi dalej Carter – że ja znam tę dziewczynę. Mogę pani dokładnie opowiedzieć, jak ona wygląda.

Jak to możliwe? Jedyne, co mogłabym powiedzieć o wyglądzie tej dziewczyny, to informacje od Jane: kolor oczu, kolor włosów – tak studenci zwykle opisują bohatera, jakby opowiadanie było spisem danych, informacją o posiadaniu prawa jazdy. To tak powszechne, że zaczęłam myśleć, że studenci chyba uważają, że powiedzieć zbyt dużo o bohaterze jest niegrzecznie, może być uznane za naruszenie prywatności, najlepiej więc pozostać tak dyskretnym – czyli niekonkretnym – jak to możliwe. Na przykład student opisujący Cartera napisałby, że ten ma brązowe oczy, ale nie wspomniał o tatuażu przedstawiającym drut kolczasty wokół szyi ani o tym, jak nieustannie pociera nadgarstek obolały od ciągłego przygotowywania kawy w Starbucksie znajdującym się na terenie kampusu. Wspominałby kręcone brązowe włosy, ale nie to, że są niemal zawsze, bez względu na temperaturę, zakryte czarną, dzianinową czapką. Pewnie pominąłby nawet tarcze wielkości srebrnej dolarówki w uszach – nie mogę na nie patrzeć, nie wzdrygając się.

– Mogę pani wszystko o niej opowiedzieć – mówi Carter.

Dla mnie główna bohaterka jest niewyraźna i szara jak ten włos, który właśnie strzepnęłam z rękawa. Problemem Cartera okazuje się jednak nie to, że ona jest nijaka, ale to, że jest zbyt rozpoznawalna.

– Jaki ma sens pisanie opowiadań o ludziach, których spotyka się codziennie w prawdziwym życiu? – To jego stały komentarz.

Flannery O'Connor twierdziła, że to niebezpieczne, gdy studenci recenzują nawzajem swoje teksty: jakby ślepy prowadził ślepego.

Literacką ambicją mojego studenta jest być kolejnym George'em R.R. Martinem. Powieść, którą pisze Carter, przedstawia heroiczne wojny toczone między wymyślonymi królestwami w dążeniu do władzy,

dominacji i zemsty. W przeciwieństwie jednak do swojego idola Cartera nie można oskarżyć o umieszczanie nadmiaru przemocy seksualnej w tekstach. Nie ma u niego gwałtu ani kazirodztwa. W ogóle nie ma seksu, a o kobietach rzadko wspomina. Kiedy studenci na zajęciach zaczynają powątpiewać w powieść bez wyrazistych postaci kobiecych, Carter wzrusza ramionami i nic nie mówi. Ale kiedy zostajemy sami w moim gabinecie, wyznaje, że tak naprawdę to w jego powieści są kobiety.

– I jest seks – opowiada. – Mnóstwo seksu. I z przemocą. Jest gwałt. Jest zbiorowy gwałt. Jest kazirodztwo. Ale na zajęcia to wszystko usuwam – dodaje.

– Dlaczego? – pytam, na co on tylko przewraca oczami.

– Żartuje pani? Przecież wiadomo, jak zareagują inni. To znaczy kobiety. Mogliby mnie wywalić ze studiów.

Gdy mówię, że z pewnością do niczego takiego by nie doszło, Carter nie wygląda na przekonanego. Dziś ma na głowie tę czarną czapkę dokerkę (pozuje na twardziela?) nasuniętą mocno na brwi, co nadaje mu wygląd troglodyty. Z powodu rozciągniętych płatków jego małżowiny przypominają oklapłe uszy jednego ze zmyślonych powieściowych półludzi.

– Cóż, nie będę ryzykował – mówi. – Proszę mi jednak uwierzyć, wszystko tam jest. Różne ostre rzeczy – dodaje.

I coś we mnie wzbudza. I to zauważa.

– Ale jeśli p a n i chciałaby przeczytać – dodaje – to pani pokażę.

– Niekoniecznie – odpowiadam, jękając się, a on rzuca mi porozumiewawczy uśmiezek.

Robi to większość moich studentów. Robią to niektórzy moi koledzy wykładowcy. Robią to ludzie pracujący w wydawnictwach. Robią to częściej, jeśli pisarz jest kobietą. Kiedy to się zaczęło – ten zwyczaj mówienia po imieniu o pisarzach, których nie znasz?

Festiwal literacki na Brooklynie. Łapię pociąg drugiej linii metra przy Czternastej Ulicy. Wagon jest zatłoczony. Obok mnie siedzi para w średnim wieku, mężczyzna i kobieta, ale nie słyszę ich rozmowy. Język ciała sugeruje, że to raczej znajomi, może przyjaciele, na pewno nie partnerzy. Coś mi podpowiada, że jadą na tę samą imprezę co ja. Pół godziny później, przy Atlantic Avenue, wysiadają ze mną. Jest sobotni wieczór, ogromna

stacja potwornie zapełniona ludźmi, tak więc wkrótce tracę ich z oczu. Spotkanie odbywa się w sali kilka przecznic dalej. Kiedy tam docieram, idę prosto do baru i oto są – mężczyzna i kobieta z metra, w kolejce tuż przede mną.

W tym semestrze dzielę gabinet z drugą wykładowczynią. Niedawno ją zatrudniono, dopiero zaczyna uczyć. Ledwie kilka lat temu ta młoda kobieta była moją studentką. Ten sam kierunek, ta sama uczelnia.

Czasami tu medytuje, wtedy w powietrzu z zapalanej świeczki unosi się zapach mimozy albo kwiatu pomarańczy.

Uczymy w różne dni, zwykle więc się nie widzimy, ale utrzymujemy kontakt przez wiadomości i liściki. Czasem zostawia mi coś miłego: ciastko, batonik albo paczuszkę wędzonych migdałów. Raz, na moje urodziny, wypełniła gabinet kwiatami.

Ta kobieta jeszcze jako studentka osiągnęła sukces – sprzedała swoją pracę dyplomową, debiutancką powieść, choć nie była ukończona nawet w połowie, razem z drugą powieścią, której jeszcze nie zaczęła. Jeszcze przed wydaniem pierwszej zaczęła otrzymywać nominacje, a kiedy zdobyła – dość szybko po sobie – wszystkie istniejące nagrody literackie (łącznie warte niemal pół miliona dolarów) dla Najbardziej Obiecującego autora, w środowisku zaczęto mówić o niej „N.O.”.

Tak jak oczekiwano, jej pierwsza powieść otrzymała po publikacji doskonale recenzje. Mimo to i mimo kolejnej nagrody literackiej książka się nie sprzedawała. W naszym światku N.O. pozostaje sławna jako „dziewczyna, która zdobyła wszystko”. Chociaż w szerokim świecie, nawet wśród osób będących na bieżąco ze współczesną prozą, dwa lata po debiucie ani tytuł książki, ani nazwisko autorki nikomu nic nie mówią.

Nic nowego i bynajmniej nie koniec świata. Ale spróbujcie to powiedzieć N.O., która od dwóch lat nie potrafi napisać niczego nowego.

Pomyślała, że uczenie innych jej pomoże albo przynajmniej na coś się przyda. Jako studentka, choć introwertyczna, emanowała pewnością siebie. Jako wykładowczyni zdaje się jednak przytłoczona. Ma mniej więcej tyle samo lat, co większość studentów, a od niektórych jest młodsza. Dobrze wie, że wyraźnie brakuje jej doświadczenia i autorytetu. Mówi wysokim, piskliwym, naturalnie drżącym głosem i się rumieni, kiedy się zdenerwuje.

Z goryczą spogląda na swoje studentki, które – co wyczuwa – oceniają ją krytycznie i od których nieustannie emanuje aura „za kogo ty się

uważasz”, często wykorzystywana przez kobiety wobec innych kobiet, szczególnie tych ambitnych i przebojowych. Jeśli chodzi o studentów, to już trzech ją podrywało. Jednemu tak dobrze udaje się rozbieranie jej wzrokiem, że N.O. siedzi w sali wykładowej z rękami skrzyżowanymi na piersi. Co gorsza, chłopak bardzo ją pociąga.

Czasami przed zajęciami N.O. miewa ataki paniki. Stąd ta medytacja – niekiedy suplementowana benzodiazepinami.

N.O. dręczy obawa nie tylko o to, że już nigdy niczego nie napisze, ale także o to, że całe jej życie jest kłamstwem. Wszystko, co dotąd osiągnęła, to skutek pomyłki. Dlaczego ktoś miałby publikować jej książkę – dlaczego ktoś miałby uznać, że potrafi uczyć – zaskakujące! A jeśli chodzi o tę drugą powieść, to bez względu na kolejne przedłużenia terminu przez wydawcę wie, że nigdy jej nie skończy.

N.O. żyje w strachu przed zdemaskowaniem: nie tylko doznała porażki, ale także jest oszustką. I przestańcie nazywać ją N.O.!

Nie ma sensu jej przypominać, że podobne wątpliwości od zawsze dręczyły pisarzy, w tym – a może przede wszystkim – największych. Nie ma sensu cytować tego, co Kafka mówił o *Przemianie*: „Niedoskonała niemal do szpiku”.

Jedna z koleżanek, która uczy w te same dni co N.O., wspominała, że czasami słyszy ją szlochającą za zamkniętymi drzwiami. Pewnego razu dlatego, że beznadziejnie męczyła się z napisaniem prostej dwustronicowej recenzji pracy studenckiej.

Któregoś dnia uczestniczę w jej zajęciach w ramach obowiązkowej hospitacji i widzę, że student, którym, jak wyznała, jest zainteresowana, wpatruje się w nią lekko triumfującym spojrzeniem. Nie wpisuję do raportu tego, co – jak podejrzewam – już się wydarzyło: wdała się w romans z tym chłopakiem. Jeśli będę miała szczęście, to mi się nie zwierzy i nie poprosi o radę.

Niedługo będzie tak: znajdę się w pewnym miejscu, może w jakiejś drogerii albo salonie kosmetycznym, albo w łazience domu, w którym będę gościem. I poczuję ten charakterystyczny zapach mimozy lub kwiatu pomarańczy, ale nie przypomnę sobie świec, które N.O. zapalała w naszym gabinecie, zaskoczy mnie więc własna reakcja: zdenerwowanie, alarm, jakbym telepatycznie wiedziała, że ktoś ma kłopoty.

Naprzeciwko gabinetu, który dzielę z N.O., znajduje się pokój tegorocznego Pisarza Wizytującego, ale nigdy go tam nie ma. Nie ma konsultacji i polecił sekretarce, żeby pocztę przesyłała mu do domu, zamiast wkładać ją do służbowej skrzynki. Kiedy przychodzi uczyć, idzie prosto do sali. Rzadko kto go widuje, a kiedy tak się dzieje, patrzy na kolegów, jakby ich tam w ogóle nie było. Przed rozpoczęciem semestru polecił kierownikowi, by poinformował wykładowców, że nie będzie blurbował książek. Pierwszego dnia zajęć to samo przekazał studentom: nie piszę listów polecających. **N a w e t o t o n i e p r o ś c i e.**

Kiedy to usłyszałeś, zareagowałeś oburzeniem: „Powinienem był mu to samo powiedzieć, kiedy prosił o rekomendację do stypendium Guggenheima”.

Niedługo po rozpoczęciu semestru Pisarz Wizytujący ma spotkanie w księgarni Barnes & Noble. Nie zniechęca go nieliczna publiczność, czyta niemal godzinę.

Po publicznej lekturze ktoś pyta, dlaczego jego książka, której forma jest bardzo niekonwencjonalna, została określona jako powieść. Odpowiedź: „To jest powieść, bo tak mówię”.

W trakcie podpisywania książek jakaś kobieta namawia go, by jak najszybciej wydał coś nowego. „Bo wie pan – dodaje szczerze – tu nic nie ma”.

W Barnes & Noble.

W wiadomościach: trzydzieści dwa miliony dorosłych Amerykanów nie potrafi czytać. Potencjalna liczba odbiorców poezji zmniejszyła się od 1992 roku o dwie trzecie. Kobieta „poważnie obciążona czynszem” martwi się, jak przetrwa w Nowym Jorku, dlatego postanawia napisać powieść („i dobrze jej idzie”).

## Część siódma

Żona Pierwsza mieszka za granicą. Przyleciała do Nowego Jorku na spotkanie wspomnieniowe i w wieczór przed jej powrotem do domu poszliśmy razem na kolację.

– Wiem, że czujesz się gorzej ode mnie – powiedziała uprzejmie. – My byliśmy małżeństwem, ale bardzo dawno temu. I po rozstaniu już nic: zero przyjaźni, kontaktu. Nic. Tak musiało być. I powiem szczerze, na początku nie chciałam nawet przyjeżdżać na to spotkanie wspomnieniowe. Później jednak pomyślałam, że potrzebuję zamknięcia. No wiesz. Cokolwiek to znaczy.

„Skoro to samobójstwo – powiedział ktoś w trakcie uroczystości – zamknięcie jest niemożliwe”.

– Ale wy – ciągnie – od tak dawna byliście bliskimi przyjaciółmi. Ależ wam zazdrościłam, myślałam, że gdybyśmy ja i on się w sobie nie zakochali, to moglibyśmy właśnie tak się zaprzyjaźnić!

A jednak nie potrafili się sobie oprzeć. Miłość tak wielka, jakby ktoś rzucił urok na zakochanych. Jedna z tych wielkich namiętności, których doświadczają nieliczni, pozostali zaś mogą tylko o nich słuchać i marzyć.

Nawet teraz wasze uczucie ma dla mnie siłę legendy: pięknej, potwornej, przeklętej.

Przebywanie w pobliżu was dwojga przypominało stanie obok rozpalonego pieca. I pamiętam, jak myślałam, kiedy wszystko się popsuło, że jedno z was będzie musiało umrzeć. Ty sam czasami wspominałeś, że masz wrażenie robienia czegoś zakazanego, wręcz nielegalnego. A ona, wychowana w katolickiej rodzinie, była przekonana, że taka ubóstwiająca miłość na pewno jest grzechem. I oczywiście w końcu właśnie to doprowadziło Drugą Żonę do rozpacz: nie twoje zdrady, ale przekonanie, że taka miłość nie zdarza się dwa razy w życiu, a to, co czułeś do Drugiej, nie mogło równać się z uczuciami do Pierwszej, która – czego zawsze obawiała się Druga – wciąż posiadała twoje serce.

„Gdybyśmy tylko się w sobie nie zakochali” – powtarzała raz po raz.

– Właśnie o tym myślałam, jadąc tutaj taksówką. Pamiętasz, jak go wielbiłyśmy? Wszystkie byłyśmy jego *groupies*. Jak nas wtedy nazywali?

- Literacką rodziną Mansona.
- O Boże, no tak. Wstrętne. Jak mogłam zapomnieć.

Pamiętam, jak chłonęłyśmy każde twoje słowo i biegłyśmy kupić każdą książkę czy album, o których wspomniałeś.

Pamiętam, jak wszystko, co pisałyśmy, było rodzajem żalosego naśladowania ciebie.

Pamiętam, że pozwoliłeś nam uwierzyć, że kiedyś zdobędziesz Nagrodę Nobla.

„A teraz jest tylko kolejnym martwym białym mężczyzną”.

- Dobrze sobie radził – powiedziałam. – Lepiej niż większość pisarzy.
- Ale słyszałam, że przez ostatnich kilka lat niewiele pisał.
- Nie.
- Był w aż takiej depresji? Mówił o tym? Nie pytam bez powodu, myślę o tym nocami. Dlaczego przestał wykładać?

Wymieniam różne twoje bolączki, niewiele różniące się od tych, z którymi na co dzień zmagają się inni nauczyciele: że nawet studenci najlepszych uczelni nie potrafią odróżnić dobrego zdania od złego, że nikt w środowisku wydawniczym nie dba o to, jak się pisze, że książki umierają, literatura umiera, a pozycja pisarza jest już tak niska, że największą tajemnicą świata pozostaje, dlaczego wszyscy chcą, by ich książki były wydawane, jakby to dawało przepustkę do chwały.

Opowiadam jej o tym, jak straciłeś wiarę w sens literatury w dzisiejszych czasach, gdy żadna powieść – nieważne, jak dobrze napisana czy pełna pomysłów – nie ma żadnego istotnego wpływu na społeczeństwo. Trudno sobie nawet wyobrazić sytuację jak ta, kiedy Abraham Lincoln, spotkawszy w 1862 roku Harriet Beecher Stowe, powiedział: „A więc to pani, taka drobna kobieta, a napisała książkę, która rozpoczęła tę wielką wojnę”.

O ile Abraham Lincoln naprawdę to powiedział.

Wtedy przypominam sobie tamten wywiad.

Dziwne, jak mogłam o nim zapomnieć, nawet na chwilę. Wywiad – co teraz sobie uświadamiam – który okazał się chyba twoim ostatnim, zamieszczony w pierwszym numerze czasopisma literackiego wydawanego na Środkowym Zachodzie.

Wywiad, w którym przewidywałeś, że wśród pisarzy rozpocznie się fala samobójstw.

„Kiedy, pana zdaniem, się to wydarzy?”

„Wkrótce”.

Pamiętam, że zdziwiło mnie to, ponieważ nie wspomniałeś w ogóle o tej rozmowie, którą bym przegapiła, gdyby nie przesłała mi jej znajoma.

„Nie wspomniałem o tym, bo się wstydzilem. Zobaczyłem później, jakie to melodramatyczne, takie uzalanie się nad sobą. Wypiłem wcześniej kilka drinków”.

Pamiętam, że rozmówca zadał rutynowe pytanie o odbiorcę – czy piszesz, mając w głowie konkretnego czytelnika. Zacząłeś wtedy opowiadać o relacjach między pisarzem a czytelnikiem, o tym, jak ten związek się zmienił. Gdy byłeś młodym pisarzem, mówiono ci: „Nigdy nie zakładaj, że czytelnik nie jest równie inteligentny, co ty”. Wzięłeś sobie tę radę do serca. Odparłeś, że piszesz, mając na myśli kogoś równie inteligentnego, jak ty sam, albo mądrzejszego. Kogoś rozbudzonego intelektualnie, kto dużo czyta, kocha książki tak samo jak ty. Kocha literaturę. A później, z nadejściem Internetu, pojawiła się możliwość czytania reakcji prawdziwych czytelników, wśród których z przyjemnością znajdowałeś między innymi tych równych sobie, mniej lub bardziej modelowych czytelników z twojej głowy. Ale byli również inni – nie jeden czy dwóch, lecz naprawdę wielu, gdy ich zebrać razem – którzy nie rozumieli albo rozumieli błędnie to, o czym piszesz. Wystarczająco denerwujące, kiedy czytelnikowi książka się nie podobała, zupełnie nie o to jednak chodziło. Podobnie jak innych pisarzy, nieustannie potępiano cię lub chwalono za rzeczy, które nigdy nie przyszły ci do głowy, nigdy ich nie zapisałeś i nigdy byś nie napisał, kwestie zupełnie przeciwne do twoich prawdziwych przekonań.

I to całkowicie zwałało cię z nóg. Bo choć wiedziałeś, że powinieneś się cieszyć z każdego sprzedanego egzemplarza swojej książki, z każdego czytelnika, który mógł przecież wybrać jedną z milionów innych powieści zamiast twojej, to naprawdę nie potrafiłeś być wdzięczny czytelnikowi, który rozumiał wszystko na opak, i naprawdę wolałbyś, żeby taki ktoś zignorował twoją książkę i poczytał coś innego.

„Ale czy nie zawsze tak było?”.

„Bez wątplenia. Tyle że kiedyś pisarz nie musiał o tym wiedzieć, nie stawiał z problemem twarzą twarz”.

„A co z powiedzeniem: «Zaufaj historii, a nie opowiadającemu» i że podobno rolę krytyka jest ocalić dzieło przed autorem?”



„Wiesz, Lawrence nie miał na myśli domorosłych krytyków. Chciałbym zobaczyć jakąś recenzję czytelnika, która ocaliła książkę przed autorem”.

„Cóż, mogę pobawić się w adwokata diabła. Powiedzmy, że zapraszam kogoś na kolację, przyrządzam wspaniały gulasz wołowy, który goście pałaszują ze smakiem, a później mówią: «O rany, mniam, to najlepszy gulasz jagnięcy, jaki w życiu jadłem». No i? Czy nie jest najważniejsze, że im smakowało?”

„O, a rozmawialiśmy o kolacji? To posłuchaj: nie jest mi wszystko jedno, że jeśli napiszę słowo «wołowina», to ktoś przeczyta «jagnięcina». Ludzie rozmawiają o książce, jakby to była rzecz, danie albo produkt, urządzenie elektroniczne albo buty, które należy ocenić, by stwierdzić, czy klient jest zadowolony – i właśnie na tym polega cały problem”.

Nawet ci początkujący pisarze, twój studenci, nigdy chyba nie oceniają książki, biorąc pod uwagę intencje autora, liczy się wyłącznie to, czy im się podobała. Dlatego znajdowałeś w ich pracach rzeczy w stylu: «Nie znoszę Joyce’a, jest taki zadowolony z siebie» albo «Nie rozumiem, dlaczego mam czytać o problemach białych ludzi». Czytałeś recenzje pełne urazy, sugerujące, że jeśli książka nie potwierdzi tego, co i tak myśli czytelnik – z czym się identyfikuje, co jest mu bliskie – to autor mógł sobie w ogóle darować pisanie. Przewabne historyjki, które ludzie uwielbiają i puszczają dalej w obieg – jak na spotkaniu klubu czytelniczego, gdy ktoś mówi: «Kiedy czytam powieść, to chcę, by ktoś w niej umarł», albo skargi na dziennik Anny Frank, w którym ponoć niewiele się dzieje, a potem historia się urywa. Z tego bynajmniej się nie śmiałeś.

Oczywiście wiedziałeś, że wiele osób, w tym inni pisarze, oskarża cię o przewrażliwienie. Inni mówili, że artysta wie, czy jego praca to kłapa, jeśli wszyscy ją „zrozumieją”. W rzeczywistości tak bardzo przerażała cię powszechność niedbałego czytania, aż stało się z tobą coś, co myślałeś, że nie wydarzy się nigdy: przestało cię obchodzić, czy ludzie cię czytają, czy nie. I choć wiedziałeś, że wydawca wkurzyłby się na ciebie za te słowa, byłeś gotowy się zgodzić z tym, kto powiedział, że żadna naprawdę dobra książka nie znajdzie więcej niż trzy tysiące czytelników.

– O matko – odzywa się Żona Pierwsza.

Pod koniec wywiadu poruszyłeś temat mentorów i nauczania, po czym zmieszałeś z błotem nowe zasady zakazujące romansów między wykładowcami a studentami.

„Ten pomysł, by uniwersytet był bezpiecznym miejscem, jest gówniany. Pomyśl o wszystkich tych pięknych rzeczach w życiu, które nigdy by się nie mogły wydarzyć – tych wspaniałych rzeczach, które nigdy by nie powstały, nie zostały odkryte, nawet by się nam o nich nie śniło – gdyby priorytetem stało się, by wszyscy czuli się b e z p i e c z n i e. Kto chciałby żyć na takim świecie?”

– O matko, matko.

Jedyną częścią wywiadu, której przedtem nie czytałam, był fragment o samobójstwach.

„Wypiłem przedtem kilka drinków. Poprosiłem, by pokazali mi wywiad przed publikacją, i oczywiście to obiecali, ale ten fiut nigdy go nie przysłał”.

Opowiadam Żonie Pierwszej o epizodzie ze studentkami, które protestowały przeciwko określeniu „kochanie”. Nie mówię jej jednak – ponieważ o tym zapomniałam i dopiero teraz sobie przypomniałam – że w dzień wywiadu byłeś zdenerwowany i powiedziałeś mi dlaczego. Podejrzywałeś, że twój agent przekazał twoją ostatnią powieść do wydawnictwa, nie czytając jej.

„Cieszę się, że to czasopismo się zwija. To i tak była gówniana gazetka”.

– Powiem ci, dlaczego nie mogę w ogóle spać, ciągle o tym myślę po nocach – mówi Żona Pierwsza. – Przeczytałam o tym, że ludzie, którzy próbują popełnić samobójstwo, ale z jakichś przyczyn im się nie udaje, niemal zawsze wyznają, że tego żałowali. Na przykład skaczący w momencie skoku wiedzieli, że popełnili poważny błąd, bo tak naprawdę wcale nie chcieli umierać.

Również o tym słyszałam, lecz znam jeszcze inną historię, z innej epoki, o tym, czego patolodzy dowiadywali się podobno z ciał ludzi, którzy popełnili samobójstwo, rzucając się do rzeki, chyba to była Sekwana. Ci, którzy chcieli umrzeć z miłości, próbowali wydostać się z wody. Ci, którzy zbankrutowali, tonęli jak kamienie.

Starzenie się. Wiemy, że to musiało być najtrudniejsze, dla ciebie trudniejsze niż dla większości ludzi. Mężczyzna, który kiedyś mógł mieć każdą kobietę, jakiej zapragnął. Którego fanki chłonęły każde jego słowo i wierzyły, że kiedyś otrzyma Nagrodę Nobla.

Nawet jeśli to były tylko niemądre, zauroczone dziewczyny jak my.

Zaczęłyśmy zwracać uwagę innych klientów. Dwie kobiety pochylone nad przystawkami, które trzymają się za ręce i ocierają oczy serwetkami.

---

Później, kiedy po raz pierwszy Żona Pierwsza widzi Apolla na Skypie, mówi:

– Jasna cholera! Nie wierzę, że zrzucili na twoje barki ciężar opieki nad takim potworem. Nic dziwnego, że nikt go nie chce.

Wzdrygam się. Nie mogę znieść, że ktoś nazywa Apolla niechcianym. Pamiętam, jak Żona Trzecia wzruszyła ramionami na moją sugestię, że na pewno wiele osób chciałoby mieć takiego pięknego psa. „Może gdyby był szczenięciem”.

– I nie rozumiem, jak on mógł oczekiwać, że go weźmiesz, skoro to równa się utracie mieszkania.

– Ale chyba nigdy mu nie powiedziałam, że nie mogę trzymać psów, albo o tym zapomniał.

– Przecież nawet nie zapytał, nie wspomniał, jakbyś nie miała nic do powiedzenia. Nie rozumiem, co on sobie myślał.

A ja rozumiem. Bo wyobrażałam to sobie wiele razy: że wśród innych pytań, które na pewno przysły ci do głowy, było także to, co się stanie z psem.

Wiem o innym samobójstwie, którego ofiara postanowiła oddać swojego psa do schroniska. Pożegnanie, o którym nawet trudno pomyśleć.

Nie żebyś coś o tym napisał: jak większość samobójców, niczego nie napisałeś. Nie zmieniłeś także niczego w testamencie, który sporządziłeś wiele lat wcześniej. Upewniłeś się jednak, żeby twoja żona wiedziała.

„Mieszka sama, nie ma partnera, dzieci ani zwierząt, pracuje najczęściej w domu i kocha zwierzęta”, tak jej powiedziałaś.

Może w którymś momencie przyszło ci do głowy, by to ze mną omówić, może nawet planowałaś to zrobić. Nie wyszło. Samobójstwa często popełniane są pod wpływem chwili, tak słyszałam, teraz albo nigdy, kiedy nawet przerwa, by napisać pożegnalny liścik, może oznaczać zmianę decyzji. (Nie jest stracony ten, który się waha).

Może się bałeś, że jeśli naprawdę odbędziemy tę rozmowę – co stanie się z twoim psem, jeśli umrzesz – to domyślę się albo przynajmniej zacznę podejrzewać, co planujesz.

Kiedy opowiadam Żonie Pierwszej, ile lat ma Apollo, senior krótko żyjącej rasy, któremu weterynarz dał może dwa lata, ona odpowiada:

– To jeszcze gorzej. Gdyby był szczeniakiem, może bym zrozumiała. Ale co masz zrobić ze starym psem tych rozmiarów? Jak się nim zajmiesz, kiedy zniedołężnieje?

Ta myśl, ze wszystkimi jej implikacjami, oczywiście już przysłała mi do głowy.

– Nie wiem – mówi ona. – Myślę, że w tej całej sytuacji jest jakieś szaleństwo.

Co ty powiesz? Odkąd się dowiedziałam o twojej śmierci, często czuję się jak ktoś jedną nogą grzęznący w szaleństwie. Na początku zdarzało mi się trafiać w jakieś miejsce, nie pamiętając, jak tam dotarłam, wychodziłam z domu coś załatwić i zapomniałam, co to było. Któregoś dnia poszłam na uczelnię bez notatek, a nie mogłam bez nich uczyć. Pomieszałam wizyty u lekarza i przyszłam do niewłaściwego gabinetu. Dlaczego studenci się na mnie gapią? Rzuciłam coś bezsensownego albo powtórzyłam to, co już powiedziałam pięć minut wcześniej? A może wymyślam, wcale się na mnie nie gapią.

Kartka z kondolencjami od sekretarki wydziału – ohydna, wzruszająca – sprawia, że ryczę przez godzinę.

W czasie, kiedy zamieszkał ze mną Apollo, takie wybryki zdarzały mi się już rzadziej. Nieustannie jednak pozostaje wrażenie przykrywającej wszystko mgły. Czuję się niekiedy, jakbym znalazła się w jakiejś bajce. Kiedy ludzie mówią: „Co zrobisz, kiedy cię eksmitują? Nie możesz tak siedzieć i czekać na cud”, myślę: „Ale właśnie na to czekam”.

Znalazłam się w jednej z tych bajek, w których bohater przechodzi próbę, spotyka obcego – albo człowieka, albo zwierzę – potrzebującego pomocy. Jeśli bohater mu odmówi, zostaje surowo ukarany. Jeśli zaś zachowa się dobrze wobec potrzebującego – często bogacza, króla albo potężnej istoty w przebraniu – otrzyma nagrodę, zwykle miłość stworzenia, którego ukryta tożsamość zostaje ujawniona dopiero na końcu.

Lubię opowieść o tym, jak Greta Garbo oglądała *Piękną i Bestię* w reżyserii Cocteau. Podobno pod koniec, kiedy zakłęcie opada i Bestia pojawia się jako ksiączę, czyli aktor Jean Marais, Garbo zawołała: „Oddajcie mi moją piękną bestię!”.

Czasami w takich bajkach pojawia się pies. Na przykład w arabskiej opowieści o nierządniczy, która przynosi wodę psu umierającemu

z pragnienia. Ten dobry uczynek tak bardzo cieszy Boga, że wszystkie grzechy zostają kobiecie wybaczone i teraz może już wstąpić do nieba.

– To nie jego wina, że nie jest uroczym małym szczeniakiem. I że jest taki wielki. I może zabrzmi to absurdalnie, ale mam przeczucie, że jeśli go nie zatrzymam, stanie się coś złego. Jeśli będzie musiał ponownie się przeprowadzać, może nabawić się tylu problemów, że trzeba go będzie uśpić. Nie mogę do tego dopuścić. Muszę go uratować.

– O kim my rozmawiamy? – pyta Żona Pierwsza.

Czy to właśnie szaleństwo leżące u podstaw tego wszystkiego? Czy wierzę, że jeśli będę dla niego dobra, zachowam się nieegoistycznie i poświęcę dla niego, czy jeśli będę kochać Apolla – pięknego, starzejącego się, melancholijnego Apolla – któregoś dnia obudzę się i jego nie będzie, a pojawisz się ty, z powrotem z krainy zmarłych?



Po tym, jak Hector doniósł na mnie do właściciela, ma wyrzuty sumienia. Zawsze na mój widok jest zmieszany.

– Przepraszam – mówi – ale wie pani...

– Wiem, że to pana praca.

– To dobry pies – dodaje.

Wydaje się wzruszony, że Apollo pozwala mu się głaskać po głowie, jakby myślał, że Apollo wie, co zrobił Hector.

– Pani ma dokąd się przeprowadzić?

– Jeszcze nie, ale coś się znajdzie – odpowiadam z pogodą, której nie muszę udawać: moje życie stało się tak nierealne, że ledwie zarejestrowałam drugi list od zarządcy, zanim go wyrzuciłam.

– Szkoda – mówi Hector. – Takie piękne zwierzę. Przykro mi.

– To nie pana wina.

Aby udowodnić, że go nie obwiniam, planuję dać mu na Boże Narodzenie większy napiwek niż rok temu.

Nie wiem na pewno, czy Apollo lubi te masaże, czy po prostu je toleruje. Ale nie przestaję: najpierw każę mu się położyć na jednym boku, później na drugim, tymczasem pocieram mu klatkę piersiową. Najbardziej chyba lubi właśnie to głaskanie po kłacie. Nie lubi, kiedy dotykam jego łap, choć przekorny dzieciak we mnie wciąż próbuje to robić.

Przyzwyczaił się do swojego nowego domu i do mnie. Tylko kiedy idę na zajęcia, zostawiam go samego. Mimo wszystko cały czas o nim myślę i chcę szybko do niego wrócić. Wita mnie przy drzwiach (czy czekał tam przez cały czas?), z głębokim spojrzeniem, mówiącym, że nie było łatwe to czekanie. (Jak dobrą ma pamięć? Jeśli bardzo dobrą, jak podobno u wielu psów, to na pewno bardzo się smuci, kiedy jest zamknięty w samotności. I rozdzierająca serce myśl: czy to nie na c i e b i e wciąż czeka przy moich drzwiach?).

Ogon Apolla porusza się z boku na bok – pies merda, ale z zadumą. To nigdy nie jest szczęśliwy ogon, szalone wymachiwanie tam i z powrotem, z jakiego znane są dogi (machają tak intensywnie, że często ranią sobie ogon i niszczą różne przedmioty, dlatego wielu właścicieli decyduje się na podcięcie).

Dmuchany materac wrócił do szafy. To nie koniec historii. Apollo już nigdy więcej na mnie nie warknął, a kiedy mówię: „Siad!”, zwykle nie muszę powtarzać. Ale jego ulubionym miejscem pozostało łóżko, szczególnie nocą. (Próbowałam go namówić, by przejął materac jako legowisko, lecz bez skutku). Mimo zalecenia weterynarza nie uznałam za konieczne całkowicie wyganiać Apolla z łóżka. W końcu wielu ludzi na to pozwala. Niektórzy kładą nawet specjalny koc u stóp, by psy mogły tam spać. Gdyby Apollo był miniaturowym pudlem zwiniętym na kocyku, nie byłoby w tym nic niezwykłego. Dlaczego jest inaczej, gdy pies ma rozmiary człowieka i wyciąga się z głową na własnej poduszce? Przyznaję, jest inaczej. Ale coś dodam: kiedy leżysz w łóżku z głową pełną nocnych myśli, na przykład: „Dlaczego mój przyjaciel musiał umrzeć?”, „Ile jeszcze mam czasu, zanim stracę dach nad głową?”, wielkie, ciepłe ciało przytulone do twoich pleców to ogromne pocieszenie.

„Zna wszystkie komendy”.

Pewnego wieczoru po długim, parszywym dniu – zgubiona komórka, apatyczna grupa, nieudane wysiłki powrotu do pisania – Apollo się kręci, zaczyna wstawać z łóżka, a ja po prostu mówię: „Zostań”.

Zauważyłam, że niektórzy znajomi mnie unikają – nie mogę się pozbyć wrażenia, że po części ze strachu, że pewnego dnia, całkiem niedługo, pojawię się przed ich drzwiami z Apollem i z walizką.



Znajomy, który najbardziej współczuje mi w tej sytuacji, dzwoni zapytać, jak się trzymam. Opowiadam mu o muzyce i masażach, leczeniu depresji Apolla, a on pyta, czy rozważałam terapię. Odpowiadam, że sceptycznie podchodzę do psych terapeutów, i w odpowiedzi słyszę, że nie to miał na myśli.

Koniec semestru. Mówię rodzinie, że w te święta nie mogę do nich przyjechać. W trakcie miesięcznej przerwy w zajęciach prawie nie rozstaję się z Apollem. Nawet w najzimniejsze dni wychodzimy i spacerujemy, spacerujemy. Lubimy zimno. Lubimy miasto zimą. Więcej miejsca na chodnikach. Mniej gapiów. A kiedy jest mroźnie, Apollo rzadziej robi sobie przerwy.

Ostatnie ostrzeżenie od zarządcy budynku. Przychodzi mi do głowy, że mogłabym porozmawiać z tym facetem. Kto wie, może wcale nie jest palantem bez serca, a współczującą duszą? Może zdarzy się bożonarodzeniowy cud? Przynajmniej spróbuję wyblagać trochę czasu.

Dzwonię do biura i proszę jego przedstawiciela o numer do zarządcy, który mieszka na Florydzie.

– Nie udostępniamy takich danych – mówi przedstawiciel.

Dwunastu pisarzy – sześciu mężczyzn i sześć kobiet – pozowało nago do kalendarza. W mailowym zaproszeniu piszą, że nie mogę przegapić tej wyjątkowej oferty: limitowana edycja podpisana przez wszystkich autorów jest dostępna w przedsprzedaży.

Ożywiam się na wspomnienie dyskusji panelowej, w trakcie której ktoś poruszył temat godności i jej coraz mniej istotnego miejsca w świecie literackim. „Tylko czekaj – odezwał się – następne będą gołe zdjęcia pisarzy”. Siedział z kamienną twarzą, a wszyscy pozostali się śmiali.

Sylwester. Zostaję w domu i oglądam, nie pierwszy raz, *To wspaniałe życie*. Nie otwieram szampana od mojej studentki, którego butelkę przysłała mi w podziękę – za rekomendację, jaką napisałam jej do programu stypendialnego, do którego aplikuje w tym roku.

Znajomy, który najbardziej się o mnie martwi, organizuje interwencję. W następnym tygodniu zostaję zasypana wiadomościami i telefonami od różnych ludzi, z którymi czasami od bardzo dawna nie miałam kontaktu.

Nie chcę, żebym straciła mieszkanie. Chcę, żebym odzyskała rozsądek, zanim będzie za późno. Muszę znaleźć lepszy sposób, by poradzić sobie z utratą i poczuciem winy. Potrzebuję terapii. Oto kilka nazwisk. Powinnam pomyśleć o lekach. Oto, co na nich podziało. Są różne książki. Strony internetowe. Grupy wsparcia. Nie wyleczę się, wycofując do jakiegoś wymyślnego świata, izolując się i spędzając cały czas z psem. Istnieje tak zwana żałoba patologiczna. A w niej myślenie magiczne, będące rodzajem demencji. Której – zdaniem ich wszystkich – się nabawiłam.

Otrzymuję różne szczodre oferty, choć nikt nie proponuje, że przygarnie psa.

A później Żona Druga – ze wszystkich ludzi, którzy już się wypowiedzieli na ten temat, akurat ona – mówi:

– Mam wnuczka, który uwielbia psy. Szalałby z radości, mając takiego, na którym mógłby jeździć.

– To rozwiąże wszystkie problemy – mówi Żona Pierwsza.

Odpowiadam, że nigdy byś mi nie wybaczył. I czy to nie podejrzane, że akurat Żona Druga składa taką propozycję?

– Co masz na myśli? Ona chyba próbuje ci pomóc.

– Pomóc? Kobieta, która zawsze mnie nienawidziła, niemal równie mocno, jak ciebie? Nigdy jej nie zaufam. Przypomnij sobie, jak wyglądało ich małżeństwo: złość, rozgoryczenie i wzajemne pretensje. Nie dopuszczę do tego, by Apollo znalazł się choćby w jej pobliżu.

„Kobiety bywają niebezpieczne... Nikomu nie odpuszczają”.

Żona Pierwsza uważa, że mam paranoję. Choć przecież to wcale nierzadka sytuacja, że ludzie mszczą się na kimś, wyzywając się na jego bezbronnym dziecku lub zwierzęciu.

„Nigdy byś mi nie wybaczył”.

– Co więc zamierzasz zrobić? Nie możesz tak siedzieć i czekać na cud.

Ale właśnie na niego czekam.



## Część ósma

**P**orada dla pisarzy: czytaj na głos robocze wersje tekstu. Zwykle jestem zbyt leniwa, by tej rady przestrzegać. Chociaż w ostatnich dniach próbuję wszystkiego, co na dłużej zatrzyma mnie przy biurku. Podnoszę strony, które właśnie wydrukowałam, i zaczynam czytać. Za sobą słyszę Apolla, który spał za kanapą i teraz zwleka się na nogi. Podchodzi do biurka (kiedy siedzę, jego wzrok znajduje się na wysokości mojego) i gapi się, jakbym robiła coś niezwykłego. A może – choć byliśmy już dzisiaj na długim spacerze – znowu chce wyjść.

Kiedy dochodzę do końca strony, przerywam i się zastanawiam. Apollo trąca mnie nosem. Wydaje szczeknięcie: ciche, pojedyncze. Robi krok w przód, krok w prawo, krok w tył, cały czas przechylając głowę z boku na bok – na swój sposób mówiąc: WTF?

Chce, żebym czytała dalej! Prawda to czy nie, kontynuuję. Ale wkrótce przestaję.

Czytaj na głos – głosi porada, a usłyszysz, co brzmi nie tak, co się nie udało. Słyszę, oj, słyszę. Co brzmi nie tak, co się nie udało. S ł y s z ę.

Nie inaczej, niż kiedy czytam te zdania po cichu.

Kładę ręce na biurku i chowam w nich twarz.

Szturchnięcie. Hau. Obracam głowę. Apollo patrzy znacząco, jego niedopasowane uszy stoją na baczność. Liże mnie po twarzy i znów wykonuje te swoje taneczne kroki. Macha ogonem i po raz setny myślę, jakie to musi być frustrujące dla psa: nieustannie się męczyć, by człowiek zaczął go rozumieć.

Przenoszę się z krzesła na kanapę. Apollo patrzy, marszcząc czoło. Kiedy siadam, podchodzi i siada przede mną. Oko w oko. Co myślą psy, kiedy widzą płaczącego człowieka? Wyhodowane, by nas pocieszać, pocieszają. Ale jakież zagadkowe musi być dla nich ludzkie nieszczęście. Ludzie, którzy napełniają sobie talerze, kiedy chcą i czymkolwiek chcą, którzy wychodzą z domu, gdy im się podoba, i spacerują bez smyczy – którzy nie mają pana, by go ciągle zadowalać czy słuchać – WTF?

Ze stosu książek na stoliku podnoszę *Listy do młodego poety* Rilkego, lekturę na jednym z moich kursów. Otwieram ją i zaczynam czytać na głos.

Po kilku stronach u Apolla pojawia się ten półotwarty uśmiech, który na innych psich mordach widać nieustannie, za to u niego niepokojąco rzadko. Czytam dalej, a on kładzie się na podłodze, zakrywając mi stopy i naciskając na łydki. Kładzie głowę na łapach i zerka na mnie za każdym razem, kiedy przewracam stronę. Pozycja jego uszu zmienia się w zależności od tonu mojego głosu. Przypomina mi się królik, który lubił sobie przycupnąć przy głośniku. Apollo raczej jednak nie lubił muzyki, którą mu puszczałam – ani muzyka, ani masaż nie uspokajały go tak jak teraz czytanie.

Czytam więc dalej – tak wyraźnie i z takim przekonaniem, jak czytałabym komuś, kto rozumie każde słowo. I mnie również to uspokaja: proza liryczna w moich ustach, ogromne ciepło, delikatnie ciężące na moich nogach i stopach.

Dobrze znam tę niewielką książkę: dziesięć listów skierowanych do studenta, który pisał do Rilkego, prosząc o radę, gdy poeta miał zaledwie dwadzieścia siedem lat. W ósmym liście znalazła się słynna wizja historii o Pięknej i Bestii: „Być może wszystkie smoki w naszym życiu są księżniczkami, które tylko na to czekają, by ujrzeć nasze piękno i śmiałość. Może wszystko, co straszne, jest w głębi bezbronne i oczekuje od nas pomocy”<sup>[14]</sup>. Słowa często cytowane, parafrazowane, niedawno choćby we wstępie do filmu *Biały Bóg*: Wszystko, co okropne, potrzebuje naszej miłości.

Strzeż się ironii, ignoruj krytykę, wzoruj się na tym, co proste, przyglądaj się małym i pokornym stworzeniom, rób to, co jest trudne, właśnie dlatego, że jest trudne, nie szukaj odpowiedzi, ale kochaj pytania, nie uciekaj od smutku i przygnębienia, ponieważ to one mogą stanowić warunek niezbędny twojej pracy. Szukaj samotności, przede wszystkim szukaj samotności.

Czytałam rady Rilkego tak często, że znam je na pamięć.

Kiedy po raz pierwszy przeczytałam te listy – miałam wówczas mniej więcej tyle lat, ile Rilke, gdy je pisał – poczułam, jakby były pisane dla mnie, nie tylko do właściwego adresata. Dla każdego, kto pragnie zostać pisarzem.

Teraz jednak, choć tekst wydaje mi się piękniejszy niż kiedykolwiek, nie potrafię go czytać całkiem swobodnie. Nie mogę zapomnieć o swoich studentach, którzy ani trochę nie czują tego, co musiał czuć młody poeta, kiedy otrzymał te listy w pierwszej dekadzie ubiegłego wieku. Nie czują

tego, co my, kiedy kazałeś nam przeczytać tę książkę siedemdziesiąt pięć lat później razem z autobiograficzną powieścią Rilkego *Zapiski Maltego Lauridsa Brigge*. Nie czują tego, co starał się im przekazać Rilke. Wręcz przeciwnie: oskarżają go o to, że ich wyklucza. Mówią, że to kłamstwo, jakoby twórczość pisarska miała być religią wymagającą poświęcenia kapłana. Uważają, że to absurdalne.

Kiedy opowiadam im legendę o śmierci Rilkego, którą podobno przyspieszyło zakażenie po ukłuciu kolcem róży – kwiatu, na którego punkcie miał obsesję i który stał się znaczącym symbolem w jego twórczości – wydają przeciągły jęk, a jeden ze studentów nie może przestać się śmiać.

Był taki czas, kiedy młodzi pisarze – przynajmniej ci, których znaleźliśmy – wierzyli, że świat Rilkego jest wieczny. Zgadzałem się z moimi studentami, że ten świat zniknął. Ale w ich wieku nie przyszłoby mi do głowy, że m o ż e zniknąć, a już na pewno nie za mojego życia.

Nic nie rodzi większego niepokoju niż deklaracja Rilkego, że człowiek, który czuje, że może żyć bez pisania, w ogóle nie powinien pisać. „Czy m u s z ę pisać?” – to pytanie każe uczniowi zadać sobie „w najspokojniejszej godzinie nocy”. Czy umarłbyś, gdyby zabroniono ci pisać? (Te słowa Lady Gaga wzięła sobie do serca, a przynajmniej na rękę, tam je sobie wytatuowała w oryginalnej niemieckiej wersji).

„Tylko miłość bliźniego lub śmierć” – tak inny poeta zakończył kiedyś strofę wiersza, który okazał się jednym z najbardziej znanych w historii. Jednak autor *1 września 1939* zaczął swoim tekstem pogardzać i tak dręczył go oczywisty fałsz w tym konkretnym wersie, że zanim zgodził się na publikację w antologii, nakazał zmianę w tekście: „Tylko miłość bliźniego i śmierć”. A później, wciąż ze skrupułami, mimo poprawki, wyrzekł się całego wiersza – w jego umyśle nieodwracalnie zepsutego.

Myślę o tej historii z Audenem.

Myślę o tym, że był czas, kiedy ty i ja wierzyliśmy, że pisanie to najlepsze, co możemy zrobić w naszym życiu. („Najlepszy fach na świecie” – Natalia Ginzburg).

Myślę o tym, jak zacząłeś mówić swoim studentom, że jeśli mogą zrobić ze swoim życiem cokolwiek innego niż pisać, mogą wybrać jakikolwiek inny zawód, powinni to zrobić.

Mniej więcej o tej porze robiłam przed rokiem porządek w szafach. Z górnej półki zdjęłam pudełka ze zdjęciami, z wycinkami i papierami, między innymi starymi listami od ciebie. Zapomniałam, jak wiele ich było, jeszcze z czasów przed pocztą elektroniczną.

Wygląda na to, że często prosiłam o radę.

„Pytasz, o czym powinnaś pisać. Boisz się, że cokolwiek napiszesz, okaże się banalne albo będzie po prostu kolejną wersją tego, co już powiedziano. Ale pamiętaj, istnieje w tobie przynajmniej jedna książka, której nie mógłby napisać nikt inny oprócz ciebie. Moja rada – kop głęboko i ją odszukaj”.

On również zostawiał za sobą szlak płaczących kobiet. Choć z dwóch rodzajów kobieciarzy, należał do tego, który uwielbia kobiety. Tylko z kobietami mógł rozmawiać – jak również twierdził Rilke. Tylko z kobietami, które potrafił zrozumieć i być przy nich sobą (o ile nie musiał zostawać zbyt długo). A niewielu mężczyzn znajduje tak wiele kobiet gotowych kochać, chronić i im wybaczać.

Raz jeszcze trafiam na jego słynną definicję miłości: „Graniczą z sobą dwie samotności, nawzajem się chroniąc i pozdrawiając”.

„Co to w ogóle znaczy? – pisze studentka w pracy semestralnej. – To tylko s ł o w a. Nie mają nic wspólnego z p r a w d z i w y m ż y c i e m, w którym n a p r a w d ę dzieje się miłość”.

Pełen irytacji, wrogi ton, który tak często pojawia się w pracach studenckich.

W prawdziwym życiu nie potrafił być dobrym mężem swojej żony, którą zostawił jakiś rok po ślubie. Nie mógłby być ojcem ich córki. Rilke, który w doświadczeniu dzieciństwa znajdował tak wiele bogactwa i znaczenia, który napisał tyle pięknych słów o dzieciach, swoje jedyne dziecko zaniedbywał. Co nie powstrzymało córki przed poświęceniem życia twórczości ojca i kultywowaniem pamięci o nim. W wieku siedemdziesięciu jeden lat popełniła samobójstwo.

Rilke, który kochał psy, obserwował je i czuł z nimi łączność duchową. Kiedyś znalazł w badawczym spojrzeniu brzydkiej ciężarnej suki przybłądy spotkanej przed kawiarnią w Hiszpanii „wszystko, co sięga poza samotną duszę i wędruje, Bóg wie dokąd – w przyszłość lub w to, czego nie ogarnia umysł”. Nakarmił psa kostką cukru ze swojej kawy, co – jak później napisał – było jak wspólne odprawienie mszy.

Rilke, w którego twórczości nieustannie powraca postać Apolla.

Książka jest krótka, można ją przeczytać na głos w jakieś dwie godziny. Apollo wkrótce jednak odpłynął, jak dziecko, któremu matka czyta na dobranoc, czekając dokładnie na tę chwilę, by móc odejść na palcach. Ja nigdzie nie odchodzę. Pod jego ciężarem zdrętwiały mi stopy. Wyciągam je i pies się budzi. Nie wstając, szuka mojej ręki, wciąż trzymającej niewielką książkę, i ją liże.

Oboje wstajemy, idziemy do kuchni. Wsypuję mu trochę karmy – już pora – i kiedy je, zbieram się, żeby go wyprowadzić.

Może zignorowałabym ten wypadek jako element moich antropomorficznych wymysłów, ale następnego dnia dzieje się to: siedzę na kanapie z laptopem, kiedy Apollo podchodzi i zaczyna wachać książki leżące na stoliku. Otwiera wielgachne szczęki i zamyka je na nowym egzemplarzu Knausgårda w miękkiej oprawie, który kupiłam zamiast tamtego zjedzonego. Nie, znowu to samo! Zanim jednak zdążyłam coś zrobić, Apollo delikatnie położył książkę przy moim boku.

Oczywiście słyszałam o psach terapeutach. Są szkolone do pracy w szpitalach, domach opieki, na obszarach klęsk żywiołowych i tym podobnych, mają nieść pocieszenie i radość w obliczu cierpienia, jakie dotknęło ludzi. Wiem, że takie psy szkoli się od dawna, a teraz często wykorzystuje się do pomocy dzieciom z problemami emocjonalnymi i edukacyjnymi. Chcąc poprawić umiejętności mówienia i czytania, dzieci w szkołach i bibliotekach zachęca się, aby czytały na głos psom. Osiąga się doskonałe rezultaty u dzieci czytających właśnie psom, dużo lepsze niż u dzieci czytających innym ludziom. Wielu słuchających podobno dobrze się bawi, okazując oznaki zaciekawienia i uwagę. Ale szukając informacji na ten temat, nie znajduję pełnej analizy korzyści, jakie odnoszą psy z czytania im przez ludzi.

Przychodzi mi do głowy, że ktoś musiał wcześniej czytać Apollowi. Nie żebym uważała go za szkolonego psa terapeutę. (Czy tak cenne zwierzę można by wyrzucić?). Myślę jednak, że na pewno ktoś czytał mu na głos – a jeśli nie jemu, to przynajmniej w jego obecności – i to wspomnienie jest dobre. Może tylko dlatego, że ten, kto czytał, był kimś, kogo kochał. (Czy to byłeś ty? „Nic o tym nie wiem” – mówi Żona Trzecia. Przynajmniej

nigdy w jej obecności). A może, choć Apollo nie jest profesjonalnym psem terapeutą, pomagał komuś, gdy ta osoba czytała – traktował ten obowiązek poważnie, był za jego wykonywanie chwalony i nagradzany. W naturze wielu psów leży jakaś praca, tak głośzą podręczniki („psy demonstrujące oznaki znudzenia lub depresji często się ożywiają, gdy zleci im się jakieś zadanie”), ale ludzie prawie nigdy nie dają im wystarczająco dużo (albo w ogóle cokolwiek) do roboty.

A może Apollo jest psim geniuszem, który rozumie, o co chodzi ze mną i z książkami? Że kiedy kiepsko się czuję, najlepsze, co mogę zrobić, to zatracić się w książce. Może podpowiada mu to jego fenomenalny węch. Jeśli, jak pokazują badania, psi nos potrafi wykryć raka, to nie zdziwiłabym się, gdyby potrafił również wyczuwać zmiany wywołane zmniejszeniem poziomu stresu lub doświadczaniem umysłowej stymulacji czy przyjemności. Skoro niektóre psy potrafią przewidzieć napady padaczkowe u ludzi, co wiadomo, czy byłoby dziwne, gdyby jeden z nich potrafił przewidzieć nadchodzący napad smutku?

Im dłużej mieszkam z Apollem, tym bardziej jestem przekonana, że burkliwy weterynarz miał rację: my, ludzie, nie wiemy nawet w połowie, jak działa psi mózg. Za to psy na swój niemy, niezgłębiony sposób znają nas lepiej, niż my znamy je. Tak czy inaczej, nie mogę się oprzeć temu obrazowi: lawina rozpaczy, a spod niej, niczym bernardyn przedzierający się przez śnieg z baryłką brandy, Apollo przynosi książkę.

Nawet jeśli wiadomo, że bernardyny nigdy tego tak naprawdę nie robiły.

Był taki czas, kiedy zdecydowanie byłabym w stanie określić, czy czytanie psu listów Rilkego do młodego poety jest oznaką braku równowagi umysłowej.

Postanawiam uczynić głośne czytanie częścią naszej codziennej rutyny. Wiem, jak mogą to ocenić inni, więc nikomu o tym zwyczaju nie mówię. Ale na tych stronach znalazło się już wiele spraw, o których nigdy nikomu nie powiedziałam.

Ciekawe, że pisanie w sposób naturalny prowadzi do wyznań.

Nie żeby nie prowadziło również nieuchronnie do kłamania na potęgę.

Podobnie jak Rilke, Flannery O'Connor napisała serię listów do nieznanego, która niespodziewanie napisała do niej. W zbiorze listów O'Connor opublikowanych po jej śmierci ta szczególna adresatka, która

poprosiła o zachowanie anonimowości, nazywana jest A. Ma trzydzieści dwa lata, o dwa lata więcej niż O'Connor, która jednak jest bardziej niż gotowa przyjąć rolę mentorki. Listy do A., pisane przez okres dziewięciu lat, są pełne rozmyślań na temat literatury, religii, tego, co to znaczy być pisarzem i wiernym Kościoła katolickiego. O'Connor swobodnie opowiada o swojej prozie, a kiedy A. przesyła jej próbki własnej twórczości, reakcja jest zachęcająca. A. ma talent do pisania historii. O'Connor jedno z opowiadań określa jako „prawie idealne”. Kiedy A. cierpi z powodu blokady pisarskiej, O'Connor od razu wini za to diabła. A dla gorliwej katoliczki O'Connor diabeł nie jest metaforą.

Choć z czasem kobiety umawiają się na spotkanie, nie będą widywać się często. Tymczasem korespondencyjna przyjaźń kwitnie, zbliżając je na tyle, by O'Connor zaczęła nazywać A. swoją „przybraną krewną”. Ogromnie się cieszy, kiedy A. postanawia wstąpić do Kościoła, i zgadza się zostać świadkiem jej bierzmowania.

W końcu diabeł jednak wygrywa: A. traci wiarę, odchodzi z Kościoła. Mimo że próbuje swoich sił w kilku gatunkach literackich, niczego nie publikuje. W wieku siedemdziesięciu pięciu lat, trzydzieści cztery lata po śmierci O'Connor, która zmarła na toczeń jako trzydziestodziewięciolatka, Hazel Elizabeth Hester, znana jako Betty, popełnia samobójstwo, strzelając do siebie.

Gdyby O'Connor była moją mentorką, gdyby to do mnie pisała, mogłabym ją zapytać, co dokładnie miała na myśli Simone Weil, twierdząc: „Kiedy musisz podjąć w życiu decyzję o tym, co powinieneś zrobić, zrób to, co będzie cię najwięcej kosztowało”.

Zrób to, co jest trudne, ponieważ jest trudne. Zrób to, co będzie cię kosztowało najwięcej. Co to w ogóle byli za ludzie?

„Gdyby pisanie nie było bolesne – twierdzi O'Connor – nie byłoby warto pisać”.

Spójrzmy teraz na Virginie Woolf, która uważała, że przekładanie uczuć na słowa zmniejsza ból. „Napisz dobrą scenę, stwórz kompletnego bohatera, nie ma większej przyjemności” – mówiła.



Pierwsze w semestrze zebranie rady wydziału. Czy pozwalać studentom, by czytali zalecone lektury na telefonach komórkowych? Większość jest zdecydowana: inne urządzenia elektroniczne tak, ale – na miłość boską! – nie komórki.

– Gdzie w tym logika – pyta N.O. – To tylko kwestia wielkości ekranu. To jak zakazywanie im czytania książek w wydaniach kieszonkowych.

– Nie, to co innego – nie zgadza się większość.

Kwadrans później nikomu z zebranych jednak nie udaje się wyartykułować, dlaczego właściwie tak uważają.

Konsultacje. Student A jest sfrustrowany, że w programie studiów znalazło się tyle czytania. „Nie chcę czytać tego, co napisali inni, chcę, żeby ludzie czytali to, co ja piszę”. Student B martwi się, że wśród lektur jest tak wiele książek, które się słabo sprzedają lub nie są już dostępne na rynku. Czy nie powinniśmy czytać autorów, którzy odnieśli sukces?

To się dzieje dość często: dowiaduję się od jakiejś byłej studentki, że urodziła dziecko. Książkę, którą pisała, musi odłożyć. Może kiedy dziecko odrobinę podrośnie, wróci do pracy. Później, kiedy dziecko jest odrobinę starsze – ma jakieś dwa lata – ona rodzi kolejne.

Wciąż przychodzą. Ogłoszenia o uczeniu twórczego pisania w połączeniu z jakąś inną czynnością. Możesz pisać i cieszyć się wykwintnym jedzeniem, pisać i degustować wina, pisać i chodzić po górach, pisać i żeglować, pisać i chudnąć, pisać i walczyć z nałogiem, pisać i robić na drutach, gotować, piec, mówić po francusku albo włosku. Dzisiaj trafiła w moje ręce ulotka festiwalu literackiego: „Kto powiedział, że pisanie i odpoczynku nie da się połączyć? Pozwól sobie na odrobinę relaksu – warsztaty pisania i zabiegi spa”. („Opowiadanie mani-pedi” – kpi N.O.).

W księgarni. Najnowsza powieść znajomego pisarza, która została opublikowana w zeszłym roku, teraz wyszła w miękkiej oprawie. Z rozgoryczeniem zdaję sobie sprawę, że nie tylko jeszcze jej nie czytałam – zupełnie o niej zapomniałam.



U okulisty. Do poczekalni wchodzi kobieta w średnim wieku, włosy ufarbowane na czarno w odcieniu takim samym co jej skórzana kurtka. Wydaje mi się znajoma. Mam ochotę zakrzyknąć: „Ha!”, widząc na jej torbie logo „The New York Review of Books”. Siada i wyjmuję egzemplarz – uwaga! – „The London Review of Books”.

Akademicki żarcik chodzi po ludziach. Profesor A: Czytał pan tę książkę? Profesor B: Czy ją czytałem? Jeszcze jej nawet nie omawiałem.

W klubie dla pracowników. Z koleżanką wykładowczynią pijemy dżin i bawimy się w spekulacje: gdyby na uczelni zaczęła się strzelanina, za którego z naszych studentów przyjęłybyśmy kulę, za którego nie.



Czasami w internetowym banerze, kiedy indziej w oknie wyskakującym po prawej stronie, albo czekający jak niespodzianka, która pojawia się, gdy przewijam ekran: James Patterson. James Patterson, najlepiej sprzedający się autor na świecie, który znalazł się rok po roku, ponad dwadzieścia razy z rzędu, na pierwszym miejscu listy bestsellerów „New York Timesa”. Który, najwyraźniej ze skromnością tak ogromną jak jego sukces, uważa, że taki sukces jest w zasięgu, no cóż, każdego. A przynajmniej każdego, kogo stać na dziewięćdziesiąt dolarów za dwadzieścia dwie nagrane lekcje plus ćwiczenia, które proponuje, gwarancja zwrotu pieniędzy w ciągu trzydziestu dni. „Przestań to czytać i zacznij pisać!”. James Patterson, jeden z najbogatszych autorów na świecie, z majątkiem wartym siedemset milionów dolarów (teraz pewnie już więcej). „Skup się na historii, nie na zdaniu”. Jego image: starszy pan, miły, zrelaksowany. Normalny facet, w okularach i ciemnoniebieskim swetrze. „Pokonaj pustą stronę!”. Czasami pokazany, jak pisze w notatniku (nigdy na komputerze). „Na co czekasz? Ty również możesz napisać bestseller”. James Patterson. Nieustannie wyskakuje, namawia, kusi, obiecuje cały świat. Niczym diabeł.

– Żartujesz? – dziwi się znajoma, która hoduje kozy na farmie poza miastem i produkuje wielokrotnie nagradzany ser. – Blokada pisarska to najlepsze, co mi się w życiu przytrafiło.

Rocznica twojej śmierci. Chcę to jakoś zaznaczyć, ale nie bardzo wiem jak. Nie po raz pierwszy wchodzę do Internetu i oglądam film, na którym czytasz. Nigdy dotąd nie widziałam, by Apollo reagował w ogóle na obraz, w tym na ekran telewizora (nie może skoncentrować wzroku na żadnym wyświetlanym obrazie, nawet jeśli to pies). Jeśli pozwolę mu słuchać, chyba rozpozna twój głos. Przed sprawdzeniem tego powstrzymuje mnie jednak myśl, że to może być okrutne. Teraz to już mój pies (mój pies!), choć nie wierzę, że o tobie zapomniał. Jak zareaguje, kiedy usłyszy twój głos? Jak to zrozumie? A jeśli pomyśli, że zostałeś tam uwięziony?

Jest taka historia o dzieciach Judy Garland, które po raz pierwszy oglądały *Czarnoksiężnika z Oz*. Matki akurat nie było, pracowała za granicą, kiedy dzieci z nianią usiadły, by obejrzeć film w telewizji. Choć Garland była już dużo starsza niż wtedy, gdy grała Dorotkę (miała wówczas szesnaście lat), dzieci ją rozpoznały. „A więc tam jest! Porwały ją skrzydlate mały i zabrały do Złej Czarownicy z Zachodu!”. Dzieci wpadły w histerię, którą trudno sobie nawet wyobrazić, i wybuchnęły płaczem.

Na poczcie. Jakaś młoda kobieta z ciapciatym kundelkiem staje w kolejce. Pracownik z za lady mówi:

– Proszę pani, tu nie wolno wchodzić z psami.

– To pies opiekun – wyjaśnia kobieta.

– To jest pies opiekun? – dziwi się urzędnik.

– Tak! – rzuca kobieta z taką gwałtownością, że mężczyzna pojednawczo odpowiada:

– Tylko spytałem, proszę pani. Nie widzę żadnego oznaczenia ani plakietki.

Klient stojący przed kobietą odwraca się do niej, przygląda się jej, później kundlowi i odwraca się, kręcąc głową. Kobieta prostuje się nerwowo, obrzuca nas oburzonym spojrzeniem, które mówi: Jak śmiecie! Ten pies jest moim emocjonalnym wsparciem. Jak śmiecie kwestionować, że ma prawo tu być!

Ta dziwna scena wydaje się jeszcze dziwniejsza, gdyż pies nie ma tylnej łapy.

Patrzę, jak Apollo śpi. Spokojne unoszenie się i opadanie jego boku. Ma pełny brzuch, jest mu ciepło i sucho, zrobiliśmy dzisiaj ponad sześć kilometrów na spacerze. Jak zawsze, gdy kuca na ulicy, by się załatwić,

chroniłam go dzisiaj przed przejeżdżającymi samochodami. A niedługo później w parku, kiedy niemal wpadł na nas jogger piszący SMS-a, Apollo szczerknął i zablokował mu drogę, zanim facet mnie przewrócił. Rozegraliśmy dzisiaj kilka rundek przeciągania liny, rozmawiałam z nim, śpiewałam mu i przeczytałam kilka wierszy. Obciąłam mu pazury i wyszczotkowałam każdy centymetr sierści. Teraz, patrząc, jak śpi, czuję falę zadowolenia. Po niej pojawia się inne, głębsze uczucie, wyjątkowe i tajemnicze, ale jednocześnie doskonale znane. Nie wiem, dlaczego dopiero po minucie potrafię je nazwać.

Czymże jesteśmy, Apollo, ty i ja, jeśli nie dwiema samotnościami, które nawzajem się chronią i pozdrawiają?

Dobrze jest wszystko sobie w głowie poukładać. Cud nie cud, cokolwiek się zdarzy, nic nas nie rozdzieli.

## Część dziewiąta

Wszyscy teraz piszą książki – mówi terapeuta, choć mógł sobie darować. – Spotykam wielu pisarzy i mogę powiedzieć, że blokada pisarska to nic nadzwyczajnego.

Nie przyszłam jednak tutaj, żeby rozmawiać o blokadzie pisarskiej. Wyjaśniłabym, gdybym tak bardzo nie chciała już wyjść. Zwykle gdy autor się dowiaduje, że ktoś inny właśnie opublikował duży tekst w ważnym periodyku na ten sam temat, nad którym autor pracuje, odczuwa konsternację. Ja poczułam ulgę. („Cóż, w takim razie w porządku – powiedział redaktor, jemu także chyba ulżyło. – Przynajmniej masz to z głowy”).

Żeby pomóc mi się otworzyć, terapeuta pyta, co robiłam w czasie świąt. Kiedy opowiadam, on spokojnie ocenia (wszystko robi spokojnie):

– Wygląda na to, że strata bliskiej osoby między innymi tak na panią wpłynęła, nie ma pani ochoty przebywać z ludźmi.

Nie znoszę przebywać z innymi ludźmi – ale tego nie mówię. Jestem przerażona w obecności innych ludzi.

Prawda jest jednak taka, że nawet gdyby nie chodziło o zostawianie Apolla samego, to i tak wolałabym być sama.

„Przybłądy” – tak jeden z autorów, których ostatnio czytałam, nazywa ludzi, którzy z jakiegoś powodu, mimo tego, czego pragnęli dawniej, nigdy tak naprawdę nie stają się częścią zwyczajnego życia, przynajmniej nie w taki sposób, jak to rozumiemy. Mogą wchodzić w poważne związki, mieć przyjaciół, nawet spory ich krąg, mogą spędzać dużo czasu w towarzystwie. Nigdy jednak nie biorą ślubu i nie mają dzieci. W wolne dni dołączają do rodziny lub znajomych. I tak mija rok za rokiem, aż w końcu przyznają, że tak naprawdę wolą po prostu zostać w domu.

– Chyba poznaje pan wiele takich osób – mówię do terapeuty.

– Właściwie to nie – odpowiada.

Migawka z przeszłości. Na studiach przez dwa lata dorabiałam sobie u terapeutki pracującej z parami. Moim zadaniem było przepisywanie nagrań z sesji. Nie po to, by pomóc w leczeniu, ale po to, by zebrać

materiały do książki, którą pisała. Pary głównie w średnim wieku, wszystkie po ślubie. (Terapeutka nie lubiła określenia „doradca małżeński” – mówiła, że jest staroświeckie).

Słuchanie tych nagrań często było dołujące. Pamiętam, że się zastanawiałam, jak terapeutka wytrzymuje tę pracę, szczególnie gdy się dowiedziałam, że bardzo często pacjenci mimo terapii nie potrafili dojść do porozumienia i się rozwodzili. „Ale czasami o to chodzi – mówiła – żeby pozwolić ludziom odejść”.

Ona sama była niezwykle elegancka, szczupła i wysoka, świetnie się ubierała (kozaki na szpilce, luźne sukienki z paskiem), czterdzieści lat, dwa rozwody. Z tego, co wiedziałam, klienci nie mieli pojęcia o jej życiu osobistym, lecz ja zawsze się zastanawiałam, czy małżeńskie doświadczenia terapeutki wzbudziłyby refleksję u jej klientów. Pamiętam też, jak myślałam, że pomimo tego, co Tołstoj powiedział o nieszczęśliwych rodzinach, nieszczęśliwe pary wszystkie są nieszczęśliwe w ten sam sposób.

Niemal każdego z mężów przyłapano na zdradzie albo ich o nią podejrzewano. (Nierzadko podczas sesji mężczyzna przyznawał się do niewierności lub wyznawał żonie, że jest zakochany – w innym mężczyźnie).

Kobiety tymczasem zwykle narzekały, że czują się niechciane, niedoceniane oraz – to było najgorsze – niesłuchane.

Mężczyźni uważali swoje żony za kopie żony rybaka z baśni braci Grimm – zawsze gderające, zawsze niezadowolone.

Raz po raz zaskakiwały mnie dowody na to, że dla męża i żony to samo słowo nie zawsze ma to samo znaczenie. Te same słowa pojawiały się nieustannie, a ja je zapisywałam: *miłość, seks, małżeństwo, słuchać, potrzebować, pomagać, wspierać, ufać, równi, fair, szacunek, troska, dzielenie się, pragnąć, pieniądze, praca*. Zapisywałam te słowa, słuchałam mówiących par i dostrzegałam, że to samo słowo dla niego znaczy to, a dla niej tamto. Słyszałam wielu mężczyzn sprzeciwiających się nazywaniu „cudzołóstwem” faktu, że spali z kimś, kto nie jest żoną. „Cudzołóstwo zdarza się wtedy, gdy wchodzi ci to w nawyk” – twierdził jeden. „On mi wcale nie pomaga” – skarżyła się żona. A kiedy mąż wyliczył kolejne rzeczy, które w poprzednim tygodniu dla niej zrobił, ona krzyknęła: „Mówiłam o p o m a g a n i u! P o m a g a n i u!”.

Inna rzecz, którą wyłapałam, słuchając tych wszystkich sesji: terapeutka lekko modulowała głos w zależności od osoby, do której się zwracała. Subtelna różnica w tonie, trudna do opisywania. Może mi się wydawało. Ale gdybym miała zdecydować, to powiedziałabym, że trzymała raczej stronę facetów.

Powinłam była przewidzieć, że terapeuta każe mi zostać pełną godzinę. Kiedy mówię mu, że zostawiłam Apolla przywiązanego na dworze, proponuje:

- Może następnym razem go pani przyprowadzi?
- Następnym razem?

Dogadaliśmy się. Terapeuta da mi to, czego potrzebuję, a ja się odwdzięczę, wracając.

- Przynajmniej na kilka sesji – dodaje.

Siedzę w gabinecie terapeuty z Apollem przy boku i nie mogę przestać się uśmiechać. Jak na terapii dla par.

Tyle że my się dogadujemy.

Kiedyś na ulicy minęła mnie kobieta i nagle wypaliła:

- Lepszy pies za męża niż mąż, który jest psem, zawsze to mówię. „Zawsze”?

Kiedy miałam dwadzieścia parę lat, wyprowadzając Beau, słyszałam czasami sprośne komentarze ze strony mężczyzn. „Ten pies to twój stary? Sypiasz z nim? Pieprzysz się z nim? Pewnie pozwalasz mu się lizać”.

Denerwuję się, kiedy jakaś kobieta na ulicy mówi, że Apollo jest taki seksowny i że czuje się zazdrosna.

- Szczęściara z pani, ogromna szczęściara – dodaje.

Kiedy wraz z pocztą przychodzi certyfikat, macham nim przed nosem Apolla, po czym przyczepiam magnesem na drzwiach lodówki.

– Wiesz chyba – mówi Żona Pierwsza – że popełniasz oszustwo. Nawet jeśli w słusznym celu.

Jestem świadoma uprawnionej złości tych, którzy naprawdę potrzebują psów pomocników, wobec ludzi, którzy przepychają zwyczajne – a czasami egzotyczne – zwierzęta. Słyszałam o skunksie w akademiku, iguanie w restauracji, świni w samolocie. Obiecuję, że nie będę zabierać Apolla w te miejsca, gdzie normalnie by go nie wpuszczono. Kseruję certyfikat,

aby wysłać kopię do zarządcy nieruchomości, później zostawię dokument i odznakę z Krajowego Rejestru Zwierząt Pomocników w domu.

Jeśli chodzi o terapeutę, to nie ma wątpliwości, czy może mi wypisać zaświadczenie, że cierpię na depresję oraz mam stany lękowe z powodu straty bliskiej osoby, a pies zapewnia mi niezbędne wsparcie emocjonalne, którego utrata prawdopodobnie narazi moje zdrowie psychiczne na szwank, a nawet może zagrażać życiu.

Żona Pierwsza uważa, że to zabawne: bo tak naprawdę to pies nie radzi sobie ze stratą, a ja jestem jego emocjonalnym wsparciem – człowiekiem pomocnikiem.

Teraz już, niestety, nie mam wyjścia – trzeba coś mówić. Choćby po to, by wyjaśnić, dlaczego nie chcę mówić. Ale i tak: nie mam ochoty opowiadać o tobie ani słuchać, jak inni to robią.

Chcę zacytować słowa Wittgensteina o niewypowiedzianym i potrzebie milczenia. Nawet jeśli cytowanie filozofów bez kontekstu to coś, czego nam zabraniałeś. „Tezy filozoficzne to nie przysłowia” – mówiłeś.

Tutaj przerwa, by pomyśleć o Wittgensteinie, którego trzech z czterech braci popełniło samobójstwo i który sam często myślał, by to zrobić. Który, tak jak Kafka, podobno z ulgą przyjął informację, że jest śmiertelnie chory, lecz jego słowa w godzinie śmierci przywodzą na myśl George’a Bailey’a: „Powiedzcie im, że miałem wspaniałe życie!”.

Terapeuta pyta, czy rozmawiam z Apollem. Cóż, tak. Żeby zacieśnić relacje, zaleca się, by ludzie rozmawiali ze swoimi psami, co przychodzi naturalnie (choć wydaje mi się, że robimy to coraz rzadziej z powodu pozerających uwagę urządzeń elektronicznych).

Kiedyś widziałam kobietę w żywej rozmowie z jej mopsem: „I pewnie to wszystko moja wina, jak zwykle, co?”. I wtedy, przysięgam, pies przewrócił oczami.

Tak, rozmawiam z Apollem. Nie o tobie jednak. Ponieważ właśnie o to chodzi: nie muszę mu nic mówić. („Wszyscy wiedzą, że psy najlepiej na świecie potrafią przeżywać żałobę”. Joy Williams).

I chociaż inni ludzie również stracili kogoś bliskiego w wyniku samobójstwa, nie znaczy to wcale, że chcę się dzielić swoimi uczuciami. Słuchałam kiedyś programu radiowego o samobójstwach i poczuciu straty. Słuchacze mogli dzwonić i komentować na antenie. Rzucali typowymi słowami-kamieniami: niemoralny, złośliwy, tchórzliwy, mściwy,

nieodpowiedzialny. Chory. Nikt nie miał wątpliwości, że samobójstwo to coś niewłaściwego. Prawo do popełniania samobójstwa nie istnieje. Samobójcy to potwory egoizmu i użalania się nad sobą. Co za niewdzięczność za cenny dar życia. Choć siebie nienawidzili, to przecież zabijając się, bardziej niż siebie chcieli zniszczyć rodzinę i przyjaciół, którzy zostali.

Nic mi to nie pomogło.

Podobnie jak kilkanaście książek o samobójstwie, które przeczytałam w ciągu tego roku. Ale dowiedziałam się kilku interesujących rzeczy. Na przykład tego, że starożytni mędracy twierdzili, że dobrowolna śmierć, choć właściwie powinno się ją potępiać, może być moralnie akceptowana, a nawet honorowa, gdy jest ucieczką od nieznośnego bólu, melancholii lub hańby – albo po prostu zwykłej nudy. Późniejsi myśliciele sugerowali, że mimo absolutnego zakazu samobójstwa w wierze chrześcijańskiej (choć w całej Biblii nie ma jego wyraźnego potępienia) można stwierdzić, że sam Chrystus tak właśnie umarł. I że w krajach Europy Zachodniej liczba listów samobójczych sięgnęła szczytu w osiemnastym wieku, kiedy zwykle pojawiały się – razem z innymi publicznymi ogłoszeniami – w prasie.

I jeszcze taki numer: pisanie w pierwszej osobie oznacza skłonności samobójcze.

Co mi pomogło: słowa pewnej kobiety, którą znałam lata temu, gdy pracowałyśmy w tej samej gazecie. Zupełnie niespodziewanie została wdową – świeżo po ślubie, oboje byli młodzi. „Jednego dnia planowaliśmy przyszłość – mówiła – a następnego już go nie było. Na początku uważałam, że jestem mu winna choć tyle, że zrobię wszystko, co możliwe, by spróbować zrozumieć. Później pojęłam, że się myliłam. On wybrał milczenie. Jego śmierć była tajemnicą. W końcu postanowiłam, że zostawię mu jego milczenie. Jego tajemnicę”.

Mówię o tym wrażeniu, że jedną nogą wciąż tkwię w szaleństwie, o zaburzeniach rzeczywistości, o mgle, która pojawia się w pewnych momentach, niepokojąca jak amnezja. (Co ja robię w tej sali? Dlaczego w t y m lustrze moja twarz wygląda tak dziwnie? To j a napisałam? Co miałam na myśli?).

Mówię o tym, że bez względu na to, ile śpię, jestem wyczerpana. O tym, jak wiele razy na coś wpadłam, coś upuściłam albo potknęłam się o własne nogi. Zeszłam z krawężnika prosto pod samochód, który by mnie



walnął, gdyby ktoś stojący z tyłu mnie nie odciągnął. Mówię o dniach, kiedy nie jem, o dniach, kiedy jem tylko śmieciowe żarcie. Absurdalne obawy: a jeśli instalacja gazowa jest nieszczelna i cały budynek wybuchnie? O gubieniu rzeczy i odkładaniu ich w niewłaściwe miejsce. O zapomnianych rachunkach.

– To wszystko objawy żałoby – stwierdza terapeuta, choć nie musi. Doktor Oczywisty.

– Lecz wiesz, Apollo – zauważam po czwartej czy piątej sesji – chyba naprawdę zacznę czuć się odrobinę lepiej.

I jeszcze coś o Wittgensteinie. Według fizyka Freemana Dysona, który w 1946 roku chodził na wykłady Wittgensteina w Cambridge, jeśli w sali wykładowej ośmieliła się pojawić kobieta, to Wittgenstein milczał, dopóki nie zrozumiała aluzji i nie wyszła.

„Robię się głupszy i głupszy z każdym dniem” – podsłuchał kiedyś Dyson Wittgensteina mamroczącego pod nosem.

Na pewno miał rację co do swojego ograniczenia emocjonalnego, jeśli chodziło o kobiety.

Jeśli skusi was, by zbyt mocno uwierzyć w wielki męski umysł, pamiętajcie: spoglądał na koty i ogłaszał je bogami. Spoglądał na kobiety i pytał: „Czy są ludźmi?”. A kiedy ten problem rozwiązano, pytał: „Ale czy mają dusze?”.

Nie żebym nie wiedziała, co czuję. To bardzo proste. Tęsknię za tobą. Tęsknię za tobą codziennie. Bardzo za tobą tęsknię.

Kolejna pauza, tym razem, by się zastanowić, co Wittgenstein miał na myśli, mówiąc o „wspaniałym życiu”.

I współczucie dla jego siostry Gretl, której trzech bracia oraz mąż popełnili samobójstwo.

Opowiadam terapeutce o tamtych zagadkowych chwilach po tym, jak się dowiedziałam, kiedy wierzyłam jeszcze, że to pomyłka. Zniknąłeś, ale nie umarłeś. W twoim stylu byłoby zniknięcie. Jakbyś chciał nam wyciąć koszmary szczeniacki numer. Zniknąłeś, ale nie umarłeś. Co znaczy, że możesz wrócić. Możesz wrócić, a skoro możesz wrócić, to oczywiście wrócisz. Tak jak wtedy, w tym krótkim okresie dawno temu, kiedy

sądziłam, że to po prostu zmęczenie, stres albo jakaś dziwna faza, którą przechodzę, a kiedy trudności miną, znów będę ładna.

Później często przypominała mi się ostatnia scena z filmu *Houdini*. Mam na myśli tę starą wersję z lat pięćdziesiątych, z Tonym Curtisem, którą obejrzałam w telewizji jako nastolatka. Houdini, znany na całym świecie ze swoich spektakularnych ucieczek, umiera, próbując się wydostać z zanurzonego zbiornika, w którym wisi głową w dół z unieruchomionymi nogami. „Wodna komora chińskich tortur” – numer, który wcześniej już wykonywał. Tym razem jednak, o czym widzowie nie wiedzą, Houdini jest osłabiony i odczuwa ból z powodu zapalenia wyrostka.

Umierając, mistrz magii obiecuje żonie: „Jeśli istnieje jakiś sposób, to wrócę”.

Wtedy dostałam gęsiej skórki i ta scena wciąż robi na mnie wrażenie.

Choć wiem, że tak naprawdę Houdini zmarł w szpitalu i że jego ostatnie słowa brzmiały: „Mam dosyć walki”.

Wyciągam kolejne wspomnienie. W tym jestem jeszcze dzieckiem. Przyjęcie urodzinowe w domu koleżanki: dużym wiktoriańskim budynku krytym szarym łupkiem, dla mnie – strasznym zamku. Zabawa w chowanego. Ja szukam. Kończę liczyć i odsłaniam oczy. Jest późne popołudnie, zima, wszystkie światła wyłączono na czas zabawy. Kilka minut wcześniej pełen życia i światła dom zmienił się w grobowiec.

Powiedziano mi później, że dzieci, które pierwsze opuściły swoje kryjówki, żeby sprawdzić, co się dzieje, znalazły mnie leżącą na dywanie twarzą do dołu.

Za dużo ekscytacji, za dużo lodów i ciasta: dorośli nic nie zrozumieli, jak to dorośli, którzy źle interpretują dziecięce problemy. A ja, potwornie przestraszona i nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, nawet nie próbowałam im tłumaczyć. Nigdy jednak nie zapomniałam. Kiedy słyszę wiechatane określenie „leżeć trupem”, wszystko natychmiast do mnie wraca.

Rok wcześniej zniknął mój dziadek. Niedługo po nim – dyrektor naszej podstawówki. Żadne wyjaśnienie tych zniknięć mnie nie przekonało. Ale było jasne, że mają związek z czymś okropnym, niewypowiedzianym, o czym nie wolno pisać słowa.

Ogarnęło mnie przerażenie. Te inne dzieci wcale się nie schowały, one zniknęły. Zniknęły w tej samej ciemności i nigdy nie wrócą. Zostałam tylko

ja. Sama, sama, sama. Pokój zawirował mi przed oczami. Zwymiotowałam, po czym straciłam przytomność.

---

Teraz sobie przypomniałam, że teść Gretl Wittgenstein również odebrał sobie życie.

Czy mi się śnisz?

Sumiennie opisuję: brodzę przez głęboki śnieg, próbuję dogonić kogoś, kto jest daleko z przodu, postać w ciemnym płaszczu, jakby trójkątną łzę na ogromnym białym polu. Wołam cię po imieniu. Odwracasz się gwałtownie, pokazujesz jakieś znaki rękami. Ale ja nie rozumiem. Każesz mi się pospieszyć czy ostrzegasz, żebym się zatrzymała i zawróciła? Męki niepewności. Koniec snu. Albo dodaję (z jakiegoś absurdalnego powodu przepraszającym tonem), że tylko tyle pamiętam.

Mówię o tym, że cię widuję. Za każdym razem moje serce wali jak szalone. Dlaczego jednak jest tak, że niemal zawsze osoba, którą biorę za ciebie, jest kimś wyglądającym jak ty nie w wieku, w którym umarłeś, ale na innym etapie twojego życia? Kiedyś na uczelni niemal zakrzyknęłam z radości, widząc kogoś, kto przypominał cię, kiedy się poznaliśmy.

Przyznaję się do ataków złości. Centrum, godziny szczytu, ludzie przelewają się w obu kierunkach, a ja idę, kipiąc gniewem, gotowa zabić. Kim są, kurwa, ci ludzie?! I dlaczego w ogóle tak jest, jak to w ogóle możliwe, że wszyscy oni, ci całkiem zwyczajni ludzie, żyją sobie, a ty...

Terapeuta przerywa mi, żeby zauważyć, że to był twój wybór.

Prawda, wciąż o tym zapominam. Bardzo często mi się wydaje, że nie to się wydarzyło – to wcale nie był wybór ani akt wolnej woli, lecz jakiś nieprawdopodobny wypadek, który cię spotkał.

Co pewnie nie jest do końca nierozsądne, przecież zabicie siebie z pewnością nie należy do naturalnego porządku rzeczy.

„I dlaczegoż pies, koń i szczur żyje,

A ty bez ducha?”<sup>[15]</sup> – szlochą król Lear.

„Ty” to jego córka Kordelia.

Czasami z trudem powstrzymuję złość na swoich studentów. Jak możesz studiować filologię i nie wiedzieć, że nie stawia się kropki po znaku

zapytania? Dlaczego nawet doktoranci nie odróżniają powieści od pamiętników i dlaczego wciąż określają książki mianem „kawałków”?

Mam ochotę uderzyć studentkę, która nie przeczytała zadanych na ten tydzień pięćdziesięciu stron, usprawiedliwiając się pracą w ławie przysięgłych.

Usuwam z komputera kwestionariusz przysłany mi przez kogoś, kto rozważa zapisanie się na moje zajęcia, nawet nie siląc się na odpowiedź. (Pierwsze pytanie: „Czy ma pani obsesję na punkcie takich spraw jak interpunkcja i ortografia?”).

– Tyle złości – mówi terapeuta. – Chociaż wcale nie jest skierowana wobec siebie.

Zero złości, zero obwiniania. Czy to dlatego, że, moim zdaniem, samobójstwo można usprawiedliwić?

Tak uważał Platon. Tak uważał Seneka.

Ale co ja myślę? Dlaczego, moim zdaniem, to zrobiłeś?

„Ponieważ byłeś uwięziony głową do dołu w zbiorniku zanurzonym w wodzie”.

„Ponieważ byłeś słaby i cierpiałeś”.

„Ponieważ zmęczyła cię walka”.

---

Któregoś razu przez większość sesji nic nie mówię. Pękam za każdym razem, kiedy próbuję się odezwać. Po kilku próbach się poddaję i siedzę tylko, szlochając, aż pora wychodzić.

Chciałam porozmawiać o tym czasie, kiedy się spotkaliśmy, ja i ty, w Berlinie. Mieszkałam tam przez rok na stypendium. Przyjechałeś na chwilę: właśnie ukazał się niemiecki przekład twojej książki. Spędziliśmy razem długi weekend.

Chciałeś odwiedzić grób Heinricha von Kleista, miejsce, gdzie w 1811 roku pisarz się zastrzelił. Miał trzydzieści cztery lata. Znałam tę historię. Kleist przez całe życie cierpiał na depresję, od dawna pragnął umrzeć. Ale nie sam. Idea samobójczego paktu zawsze go nęciła. Wymarzoną kochanką była kobieta, która pragnęłaby umrzeć razem z nim.

Henriette Vogel nie była pierwszą, do której się zbliżył, to jednak ona, u której w wieku trzydziestu jeden lat zdiagnozowano nieuleczalny

nowotwór, entuzjastycznie przyjęła złożoną przez Kleista propozycję romantycznego samobójstwa rozszerzonego.

Kleist strzelił jej w lewą pierś, następnie sobie w usta. Męska robota.

Oboje oczekiwali, że będzie to ekstatyczne przeżycie.

Ktoś widział ich poprzedniego wieczoru. Zachowywali się swobodnie, jedli kolację w wesołym nastroju. I choć oboje byli chrześcijanami, najwyraźniej się spodziewali, że śmierć przeniesie ich do jakiegoś lepszego świata, krainy wiecznej błogości wśród aniołów – nie bali się nigdy niekończących się tortur, które miały czekać na ludzi odbierających życie sobie lub innym.

Vogel była mężatką, w ostatnim liście do męża prosiła, by nie rozdzielać jej z Kleistem po śmierci. Pochowano ich tam, gdzie upadli: na cienistym zielonym stoku nad jeziorem znanym jako Kleiner Wannsee.

Podobnie jak wiele miejsc pochówku, i to było spokojne. Często chodziłam tam również sama. (Grób odrestaurowano, ale później już tam nie wróciłam). Niemal zawsze znajdowałam świeży kwiat na grobie Kleista, nawet zimą. Uwielbiałam jego twórczość, odkąd zaczęłam ją poznawać na studiach, i cieszyłam się, że mogę odwiedzać jego grób, myśleć o spacerujących tam braciach Grimm, o Rilkiem w tym właśnie miejscu piszącym poezje.

Tamtego dnia, przechodząc przez most na Wannsee, zobaczyliśmy dwa parzące się łąbędzie. Nie był to specjalnie wdzięczny widok – samica wyglądała, jakby miała zaraz utonąć. Trudno było sobie wyobrazić, że ich komiczne wysiłki i machanie skrzydłami osiągną skutek.

Niedługo później, na kładce pod mostem, znalazłam jednak łąbędzie gniazdo, zaskakująco blisko brzegu. Tutaj również często wracałam. Zwykle widziałam w gnieździe jednego ptaka – zakładałam, że samicę – zwiniętą w kłębek i śpiącą albo wysiadującą, podczas gdy drugi łąbędź pływał w pobliżu. Czasami patrzyłam, jak razem pracują, dodając gałązki i sitowie, by powiększyć gniazdo, aż zaczęło przypominać wielkie sombrero.

Wszyscy wiedzą, że łąbędzie łączą się w pary na całe życie. Nie wszyscy wiedzą jednak, że czasami łąbędzie zdradzają. Sama odkryłam, że jedno z tamtej pary – założyłam, że samiec – regularnie odwiedzał innego łąbędzie w dalszej części jeziora.

Choć w gnieździe nigdy nie zauważyłam jaj, miałam nadzieję, że kiedyś zobaczę łąbędziałka. Niestety, pewnego dnia gniazdo zniknęło. Nie mam

pojęcia, co się z nim stało. Łabędzie zaczęły budować nowe, ale również i to niedługo później wyparowało.

Łabędzie na Wannsee często pojawiały się pod koniec dnia, ich pióra przybierały zmieniające się barwy zachodzącego słońca. Łabędzie barwione różem, różowe jak flamingi, błękitne jak fiołki, łabędzie w kolorze głębokiego fioletu zmroku, nocne łabędzie. Ptaki ze snu, dowód na piękno tego świata. Na istnienie nieba.

Na pewno był potworem – uznaliśmy. Wykorzystał swoje poetyckie zdolności i namówił pokorną, nieuleczalnie chorą kobietę, żeby pozwoliła się zastrzelić.

Ale co z nią? Przecież i tak umierała. Samobójstwo z czyjejś ręki przyspieszyło śmierć, na pewno oszczędziło jej cierpienia. Pozwolić jednak komuś, by popełnił zabójstwo i samobójstwo – komuś, kto, choć w rozpaczy, wciąż był młody, mógłby żyć i tworzyć genialną literaturę jeszcze przez wiele lat – jak to usprawiedliwić?

Gdyby Kleist nie znalazł przyjaciółki na śmierć – gdyby Vogel odmówiła, tak jak inne kobiety odmawiały szalonej prośbie – kto wie, co mogłoby się wydarzyć? Albo nie wydarzyć. Tak naprawdę im więcej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że madame Vogel musiałaby się grubo tłumaczyć. Co to była za miłość? Nie przyszło jej do głowy, by go uratować?

Teraz się zastanawiam, dlaczego napisałam, że istnieje niebo, skoro nie wierzę, że takie miejsce w ogóle istnieje.

Dla tych, którzy nie chcą tego przeżywać sami, Internet to wybawienie. Całkowicie obcy ludzie, czasami mieszkający daleko od siebie, odnajdują się w sieci i umawiają na spotkanie. Jakiś Norweg leci do Nowej Zelandii, gdzie razem z drugim mężczyzną skaczą z klifu. Kobieta i mężczyzna rezerwują osobne pokoje w hotelu nad jeziorem i zostają później znalezieni skuci kajdankami, utopili się. W Japonii, gdzie moda na grupowe samobójstwa jest wyjątkowo silna, pojawiają się całe wagony ciał. Ale ulubionym miejscem samobójców w Japonii pozostaje słynny las Aokigahara, u stóp góry Fudzi, gdzie nawet tablice z napisami „Nie jesteś sam” i „Pomyśl o swoich rodzicach” ani telefony zaufania zamontowane na szlaku nie pomagają w strąceniu tego miejsca z listy najpopularniejszych

wśród samobójców lokalizacji na świecie. Rywalizuje z mostem Golden Gate, numerem jeden w Stanach.

Berlin. Pamiętam, że miałeś doskonałą nastrój. Dzięki jednemu z tych dziennikarskich fuksów (bo według Ciebie był to fuks) twoja książka, która na krajowym rynku sprzedawała się słabo, w Europie stała się bestsellerem. Traktowano cię po królewsku w trakcie tamtej trasy. Cieszyłeś się z pobytu w Niemczech, kraju znanego z poważnych czytelników (co wciąż powtarzałeś), a szczególnie z Berlina, jednego z twoich ulubionych miast, podobnie jak Paryż – idealnego miejsca do spacerów, z bogatą flanerską tradycją.

Pamiętam też, jaka byłem szczęśliwa, kiedy się dowiedziałam, że przyjeżdżasz. Bardzo wtedy za tobą tęskniłam, po części dlatego, że był to jeden z rzadkich okresów, gdy pozostawałeś singlem, a poza tym znaleźliśmy się daleko od domu, przybysze z zagranicy, których często brano za małżeństwo – czasami miałam wrażenie, że tak właśnie jest, że byliśmy parą. Parą na wakacjach. Pamiętam po prostu, że w tamten długi weekend byłeś mi wyjątkowo bliski, a gdy wyjechałeś, czułam się bardzo samotna.

Wszystko to, utrwalone w pamięci, chodziło mi po głowie, gdy siedziałam w gabinecie psychoterapeuty. Ale nie mogłam o tym mówić, gdyż nie byłam w stanie przestać płakać.

Teraz się zastanawiam, dlaczego mimo zreflektowania się, co napisałam, zostawiłam w tekście „na istnienie nieba”.

On uważa, że jestem w tobie zakochana. Uważa, że zawsze byłam. Mówi mi to tonem innym niż zwyczajowy łagodny, może nie ostrym, ale lekko zniecierpliwionym, o ile się nie myślę. A może po prostu stanowczym.

– To komplikuje proces wychodzenia z żałoby – wyjaśnia terapeuta.

Opłakuję cię tak, jak robiłaby to kochanka. Jak żona.

– Może poczuje się pani lepiej, jeśli o tym napisze – proponuje terapeuta podczas ostatniej wizyty.

A może nie.

„Zapomniałam, jak bardzo bolą wspomnienia” – pisze jedna z moich studentek. A ma dopiero osiemnaście lat.

To Hector przynosi dobre wiadomości, dzwoniąc do drzwi któregoś późnego popołudnia. Przedstawiciel zarządcy budynku poradził mu, że nie ma sensu oprotestowywać mojej prośby o zatrzymanie Apolla jako psa pomocnika, szczególnie że pozostali lokatorzy się na niego nie skarżyli. (Koleżanka zauważa, że teraz, gdy już mam to zaświadczenie, pewnie mogłabym trzymać psa, dopóki mieszkam w tym budynku, nawet po śmierci Apolla. Pewnie tak, ale obiecałam sobie, że nie zrobię tego numeru więcej niż raz. Poza tym nie potrafię myśleć o odejściu Apolla, o zastąpieniu Apolla).

Hector szczerzy się od ucha do ucha. Mnie z ulgi wilgotnieją oczy.

– To chyba trzeba uczcić – mówię.

A przypadkiem mam jeszcze tę butelkę szampana, którą dostałam od swojej studentki.



## Część dziesiąta

Każdy, kto musi patrzeć na starzejące się zwierzę, przypomina poetę Gavina Ewarta, który pragnął, żeby jego czternastoletni kot ozdrowieniec przeżył jeszcze choć jedno lato przed „tą ostatnią, nieuniknioną, potworną podróżą do weterynarza”.

Widzę siwą sierść na pysku Apolla i czerwone obwódki wokół oczu, widzę, jak sztywno czasami chodzi, jak nie może od razu wstać na nogi, i czuję ból. Od listy problemów, na które każe mi uważać weterynarz, powszechnych oznak choroby i pogarszania się stanu fizycznego starszych psów, robi mi się słabo. („Jak się nim zajmiesz, kiedy zniedołężnieje?”). W ciągu półrocza od ostatniej wizyty kontrolnej artretyzm się pogłębił.

Jeden cud nie wystarczy. Tamtej katastrofy uniknęliśmy, oszczędzono nam rozstania czy wygnania z domu – ale, przepraszam, to nie wystarczy. Jestem jak bajkowa żona rybaka: chcę więcej. Nie tylko jeszcze jednego lata, dwóch, trzech czy czterech. Chcę, by Apollo żył tak długo jak ja. Każde krócej będzie niesprawiedliwe.

I dlaczego w końcu nadchodzi ta „nieunikniona” podróż do weterynarza? Dlaczego nie może umrzeć w domu, we śnie, spokojnie, na co zasługuje dobry pies?

Dlaczego, skoro go już ocaliłam, teraz muszę patrzeć, jak cierpi – cierpi i umiera – a później zostać sama, bez niego?

Wydaje mi się, że on wie, kiedy takie myśli chodzą mi po głowie. Jeśli jest wtedy w pobliżu, zjawia się i próbuje odwrócić moją uwagę.

Powszechnie się wierzy, że choć zwierzęta nie wiedzą, kiedy dokładnie umrą, wiele z nich ma świadomość, że umiera. W którym więc momencie umierające zwierzę zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje? Czy to możliwe, by wiedziało dużo wcześniej? I jak zwierzęta reagują na starzenie się? Czy są całkowicie zdziwione, czy może wyczuwają w jakiś sposób, co oznaczają te objawy? Czy to głupie pytania? Pewnie tak. A jednak mnie nurtują.

Apollo ma ulubioną zabawkę: jaskrawoczerwoną, z twardej gumy, do obustronnego ciągnięcia. Podoba mi się, jak w trakcie zabawy nią wydaje udawane ryki psa-potwora. Wydaje mi się jednak, że najwięcej radości sprawia mu, kiedy pozwala mi wygrać. (Wciąż nie wiem, jak bardzo jest lub nie jest świadomy własnej siły, na pewno jednak nie widziałam, by używał jej w pełnym zakresie). Innymi zabawkami się nie interesuje, mimo że wciąż kupuję nowe – i zabieram Apolla do parku dla psów, choć tracę nadzieję, że kiedykolwiek zacznie się tam bawić. Nie interesują go inne psy, tak jak nie interesują go inni ludzie. Co wciąż mnie martwi.

– Dlaczego nie chcesz się bawić? Przecież w parku jest tyle miłych, przyjaznych psów!

Ale czy to ma jakieś znaczenie? Pewnie jestem jak rodzic, który pragnie, żeby jego dziecko, nawet jeśli nie było szalenie popularne, to przynajmniej nie zostało całkowitym samotnikiem. Bardzo ucieszyłoby mnie, gdyby Apollo zaprzyjaźnił się choć z jednym psem, a może nawet się zakochał. To, że jest wykastrowany, nie znaczy, że nie może poczuć czegoś wyjątkowego do innego psa, prawda? Często wpadamy na przykład na przepiękną srebrną włoską mastifkę o imieniu Bella. (Antropomorfizmu nie da się uniknąć i choć mogłabym próbować, to zdecydowałam się z nim nie walczyć).

Pisarz Karl Kraus twierdził, że jedną z najbardziej podziwianych cech psiej lojalności jest to, że psy są lojalne wobec ludzi, a nie wobec innych psów. Może nie jest to jednak najlepszy przykład cnoty. Tak naprawdę psy bardzo często nienawidzą innych psów, nawet własnych krewnych.

Zobaczyłam to po raz kolejny dziś rano. Dwa psy na smyczy na swój widok natychmiast zaczęły się wyrywać i warczeć na siebie:

– Ty sukinsynu! Nienawidzę cię!

– Niech cię szlag. Odgryzę ci ten pieprzony nos, ty śmierdząca kupo gówna!

– Zabiję cię! Masz szczęście, że jestem na smyczy, bo odgryzłbym ci jaja!

Omam się nie zadławiły z wściekłości, próbując rzucić się sobie do gardeł.

Apollo jest inny. Nigdy nie widziałam, by obraził, zaatakował czy zaczął innemu psu. Mimo tego wszystkiego, co przeszedł, wciąż jest

dobry, zachował swoje... chciałabym powiedzieć „człowieczeństwo” (jakiego innego słowa miałabym użyć?).

Pewnego razu mijamy schodki, na których siedzi kot – mniej więcej na wysokości głowy Apolla. Kot zrywa się, wygina w łuk i prycha psu z bliska w pysk. Apollo nadstawia drugi policzek: kocia łapa wyskakuje i drapie. Przez moment obawiam się o kota, lecz Apollo idzie dalej. Nie chce kłopotów. Pragnie pokoju.

Mimo starości jest tak pięknym stworzeniem, że regularnie słyszymy okrzyki zachwyty z ust przechodniów.

Ależ wspaniale musiał się prezentować w kwiecie wieku.

Często chciałoby się wiedzieć, jaka była ukochana osoba, zanim się poznaliście. To niemal boli, nie mieć pojęcia, jaka była w dzieciństwie. Czułam to w odniesieniu do wszystkich mężczyzn, w których się kochałam, i wobec wielu bliskich przyjaciół, a teraz – Apolla.

Nie znać go jako rozbrykanego, młodego psiaka, stracić całe jego szczenięctwo! Nie czuję smutku, czuję się oszukana. Nie mam nawet zdjęcia z tamtego okresu jego życia. Musi mi wystarczyć oglądanie młodych dogów arlekinów w książkach albo w Internecie. Przyznaję, że poświęciłam na to trochę czasu.

To się zdarzyło tylko raz. Kiedy idę przez SoHo, wpadam na kogoś innego wyprowadzającego doga arlekina. Właściciele są podekscytowani, lecz psy zupełnie się ignorują.

---

Coś złego przydarza się psu: tego uczymy się wcześniej, z dziecięcych książeczek. Zwierzęta często w nich umierają, niejednokrotnie w okropny sposób. Żółte psisko. Rudy kucyk. A nawet jeśli nie umierają, nawet jeśli pod koniec nie tylko żyją, ale wręcz są szczęśliwe, to cierpią, często nawet bardzo, i przechodzą prawdziwe piekło na ziemi. Czarny Książę. Flicka. Biały Kieł. Buck. Autobiografia Wspaniałego Joego, oparta na życiu prawdziwego psa i pełna okrutnych wydarzeń, zaczyna się od sceny, w której brutalny właściciel odcina Joemu uszy i ogon siekierą.

Tak jak bez wątpienia wielu innych czytelników płakałam, czytając te książki (nad nikim tak bardzo jak nad biednym Joem), ale nigdy nie żałowałam lektury. Czy jest coś bardziej pociągającego niż opowieść

o przyjaźni dziecka i zwierzęcia? Kiedy postanowiłam, że chcę pisać, byłam pewna, że będę pisać właśnie o tym, a jednak nigdy tego nie zrobiłam.

W dzieciństwie ludzie traktują zwierzęta jak sobie równe, wręcz jak rodzinę. Dopiero później uczą się, że człowiek jest inny, wyjątkowy i lepszy od pozostałych gatunków.

Dzieci fantazjują o świecie zamieszkanym wyłącznie przez nie ludzi. Lubiłam udawać, że jestem jakimś zwierzęciem: kotem, królikiem albo koniem. Próbowalam się komunikować, wydając zwierzęce dźwięki, zamiast mówić, i nie chciałam jeść rękami. Czasami trwało to tak długo i byłam tak zawzięta, że rodzice zaczynali się martwić. Niby zabawa, ale u jej podstaw leżało coś śmiertelnie poważnego, ślad, który zabrałam w dorosłość: niechęć do bycia częścią rasy ludzkiej.

W powieści Milana Kundery *Niezdolna lekkość bytu* coś złego przydarza się psu. Główny bohater Tomasz daje szczeniaka swojej żonie Teresie – z tego samego powodu, dla którego się z nią ożenił: by wynagrodzić jej ból i upokorzenie, jakie przynoszą niekontrolowane zdrady męża. Choć to suka, szczeniak pod wpływem kaprysu dostaje imię po bohaterze innej powieści – mężu Anny Kareniny. Pies Karenin nie znosi zmian, uwielbia być na wsi, gdzie zaprzyjaźnia się ze świnią, a w końcu, chory na nowotwór, zostaje uśpiony.

Kundera ma własną interpretację słów z Księgi Rodzaju 1,26: „Prawdziwa dobroć człowieka może się wyrazić w sposób absolutnie czysty i wolny tylko w stosunku do tego, kto nie reprezentuje żadnej siły”. Trzeba więc sprawdzić, jak rasa ludzka traktuje tych, którzy zostali zdani na jej łaskę. A kiedy ludzkość wystawiono na moralną próbę, „doszło do podstawowej winy człowieka, tak podstawowej, że z niej właśnie wypływa wszystko inne”<sup>[16]</sup>.

Karenin i Teresa są sobie oddani. Rozmyślając o ich czystej i pozbawionej egoizmu więzi, Teresa dochodzi do wniosku, że taka miłość, jeśli nie silniejsza, na pewno jest lepsza niż zła, oszukańcza, wiecznie rozczarowująca i skompromitowana relacja, którą ma z Tomaszem.

„Idylla” – tak Kundera opisuje ludzkie relacje ze zwierzętami. Idylla, ponieważ zwierzęta nie zostały wraz z człowiekiem wygnane z raju. Pozostają tam, nie kłopotząc się sprawami takimi jak oddzielenie duszy

od ciała. A my, dzięki miłości i przyjaźni ze zwierzętami, możemy na nowo połączyć się z rajem, choć tylko za pośrednictwem cienkiej nici.

Inni rozwijają tę teorię. Psy nie tylko są niedotknięte złem. To niebiańskie stworzenia, wcielone anioły, futrzaste opiekuńcze duchy, zesłane, by strzec ludzi i pomagać im żyć. Tak jak deifikacja kotów, to przekonanie pojawia się w Internecie wszędzie, coraz częściej. Zaczynasz się wtedy zastanawiać. Nad ludźmi, oczywiście.

W *Hańbie* wielu psom przydarzają się bardzo złe rzeczy. Wciąż pojawia się także pytanie, dlaczego David Lurie nie ocalił tego jednego, kundla, który go najwyraźniej pokochał i do którego czuje coś wyjątkowego. Dlaczego temu psu – dobremu, kalekiemu, ale wciąż młodemu psu, wrażliwemu na muzykę – nie można oszczędzić losu wszystkich innych niechcianych psów zabijanych w klinice dla zwierząt? Dlaczego, zamiast zatrzymać tego jednego psa, Lurie się upiera, by go poświęcić.

Przypomina mi się agentka Starling z *Milczenia owiec*, która opowiada Hannibalowi Lecterowi, jak mieszkała w dzieciństwie na ranczu należącym do wuja i jak desperacko pragnęła ocalić owce od wiosennej rzezi. Jak podniosła jedną owieczkę i biegła. „Myślałam, że jeśli uda mi się ocalić choć jedną... Ale była ciężka. Taka ciężka”. W końcu, podobnie jak Lurie, nie ocaliła zwierzęcia skazanego na śmierć. Ani jednego.

---

Wiemy, że psy myślą, ale czy mają własne zdanie?

Kundera uważa za istotne, że w przeciwieństwie do nas zwierzęta nie czują obrzydzenia. Nie jestem tego taka pewna (nawet koty?), ale to, że psy nie są krytyczne i nie osądzają, to z pewnością jeden z powodów, dla których zdobywają naszą sympatię. (Z tego powodu pedagodzy uznali za doskonały pomysł, że dzieci z problemami w czytaniu będą na głos czytać psom. Dlatego być może artyści tacy jak Laurie Anderson czy Yo-Yo Ma, patrząc w trakcie koncertów na widownię, wyobrażają sobie, że siedzą na niej wyłącznie psy).

Wdzięczność. Nie wierzę, że ludzie zmyślają, mówiąc o wdzięczności okazywanej przez przygarnięte psy. Czuję, że Apollo jest mi wdzięczny.

Chciałabym wiedzieć, czy czeka, aż coś się wydarzy: „Ona niedługo wróci do domu. Zaraz coś zjem! Jutro na pewno będzie lepiej”.

Jeszcze bardziej chciałabym wiedzieć, jak wspomina przeszłość. Czy tęskni? Żałuje? Ma jakieś słodkie wspomnienia? Słodko-gorzkie? Skoro mają tak wrażliwe zmysły, czy psy nie doznają momentów Proustowskich objawień?

Czy nie miewają epifanii, olśnień i tak dalej?

Na początku zdarzało mi się przyłapywać Apolla, jak się na mnie gapił, gdy jednak patrzyłam na niego, natychmiast odwracał wzrok. Teraz często kładzie łeb na moich kolanach i spogląda w górę z wymowną miną.

– O czym pani z nim rozmawia? – chce wiedzieć terapeuta.

Zwykle zadaję pytania. Co tam, mały? Jak ci się spało? Gonileś kogoś we śnie? Chcesz wyjść? Jesteś głodny? Jesteś szczęśliwy? Bolał cię nogi? Dlaczego nie chcesz się bawić z innymi psami? Naprawdę jesteś aniołem? Poczytać ci? Pośpiewać ci? Kto cię kocha? Kochasz mnie? Będiesz zawsze mnie kochał? Chcesz potańczyć? Czy jestem twoim najlepszym człowiekiem? Wiesz, że piłam? Czy w tych dzinsach grubo wyglądam?

„Gdybyśmy mogli rozmawiać ze zwierzętami” – pojawia się w piosence.

To znaczy, gdyby one mogły mówić.

Ale oczywiście to wszystko by zepsuło.

– Twoje mieszkanie śmierdzi psem – zauważa ktoś, kto przychodzi w odwiedziny.

Odpowiadam, że się tym zajmę. Co robię, nigdy więcej nie zapraszając już tej osoby.

Którejś nocy budzę się i widzę Apolla koło łóżka. Próbuje zębami naciągnąć na mnie koc, który najwidoczniej przez sen zrzuciłam. Kiedy o tym opowiadam, ludzie mi nie wierzą. Twierdzą, że mi się przyśniło. Przyznaję, to możliwe. Choć tak naprawdę myślę, że mi zazdroszczą.

Promocja książki. Jakaś rozchichotana nieznajoma kobieta pyta:

– Czy to pani jest zakochana w psie?

Jestem? Czy wzięłam sobie psa za męża jak Ackerley suczkę za żonę? Czy śmierć Apolla będzie najsmutniejszym dniem mojego życia? Czy ja również będę chciała oddać się w ofierze jako sati? Nie. Ale ja również tak bardzo chcę wrócić do niego do domu, że biorę taksówkę, zamiast jechać

metrem. Ja również śpiewam z radości na myśl, że go zobaczę, i z pewnością ta miłość nie przypomina niczego, co do tej pory czułam.

Powracający niepokój: pojawia się ktoś, kto twierdzi, że jest właścicielem Apolla. Opowiada szaloną, lecz przekonującą historię o tym, jak ich rozdzielono, i teraz muszę oddać psa.

Dopiero niedawno się dowiedziałam, że określenie „szczenięca miłość” odnosi się też do uczuć, którymi człowiek może darzyć szczeniaka. A nie tylko – jak myślałam – do młodzieńczego zauroczenia.

Czytając Ackerleya, zauważyłam, że często, odnosząc się do psa, używa słowa „osoba”. Na początku myślałam, że to pomyłka. Ale – biorąc pod uwagę, że to jeden z najbardziej uważnych pisarzy na świecie – uważam pomyłkę za mało prawdopodobną.

Przypomniał mi się jeszcze znajomy, który mówił, że nigdy do końca nie rozumiał określenia „pieski świat”.

Kiedy ludzie widzą cię z psem, od razu zaczynają opowiadać psie historie. Biznesmen w garniturze drapie Apolla po łbie i mówi, jak pewnego dnia jego matka zdecydowała, że porzuci psa, który był w ich domu od lat. Przyniosła go na dworzec autobusowy i zostawiła w transporterze pod ławką. Kiedy syn się o tym dowiedział, odnalazł zwierzaka w schronisku. Zadzwoił tam i powiedział, że odbierze psa, ale w tej chwili znajduje się po drugiej stronie kraju i kończy studia prawnicze. Schronisko obiecało, że przechowa pupila, zanim jednak mężczyzna do nich dotarł, pies zdechł. Powiedziano mu, że zwyczajnie przestał jeść.

– Zupełnie tego nie rozumiem – opowiada mi mężczyzna. – Pies był koszmarnie otyły, ponieważ matka karmiła go pączkami, ale był też młody i ładny. Ktoś by go wziął. Nie musiała go w ten sposób porzucać.

Mimo że zdarzyło się to wiele lat temu, mężczyzna wciąż próbował zrozumieć, dlaczego matka tak postąpiła.

Bo chciała kogoś zranić – ale tego nie mówię.

Producent radiowy proponuje mi udział w audycji o książce, jakiegokolwiek książce, na temat której mam wyrobioną opinię i mogę ją

polecić słuchaczom.

Znam ten program, słyszałam już innych pisarzy odczytujących na antenie teksty o swoich ulubionych książkach.

Wybieram *The Oxford Book of Death*. Uważam, że każdy powinien ją przeczytać, poza tym teraz sama do niej wróciłam, szczególną uwagę zwracając na rozdziały *Samobójstwo* i *Zwierzęta*.

Piszę zadane pięćset słów, chwając zamieszczony w antologii wybór fragmentów od starożytności do literatury współczesnej poświęcony wszystkim aspektom tematu, od „definicji” do „ostatnich słów”. Opowiadam, jak fascynujące są te teksty o śmierci, jak paradoksalnie zabawna i pełna życia jest książka.

Pisanie zajmuje mi dużo czasu, jestem wdzięczna za takie małe zadanie, za to, że muszę coś napisać, cokolwiek. Kończę tekst i go wysyłam, ale nie otrzymuję odpowiedzi. Producent nigdy więcej się nie odzywa.

W wiadomościach:

W niektórych schroniskach dla zwierząt prowadzona jest eksperymentalna terapia: wolontariusze czytają na głos maltretowanym i strauumatyzowanym psom.

Wywiad z zawodowym tancerzem, który w dzieciństwie był nieustannie dręczony i wskutek tego przestał na jakiś czas mówić.

Umarł pisarz Michael Herr. Z jego nekrologu wynika, że w ostatnich latach życia stał się żarliwym buddystą i przestał pisać.

*Z The Oxford Book of Death:*

Sylogizm Nabokova: „Umierają inni; ja nie jestem / Nikim innym; a zatem ja nie umrę”<sup>[17]</sup>.

„*Tego jedynego doświadczenia, którego nie opiszę* – powiedziałam wczoraj do Vity”<sup>[18]</sup>. To z dziennika Virginii Woolf. Piętnaście lat przed tym, jak wydarzyło się nieopisywalne.

---

Na warsztatach pisarskich wiele historii zaczyna się od tego, że ktoś rano wstaje. Znacznie rzadziej opowiadania kończą się pójściem do łóżka. Najbardziej prawdopodobne, że tekst skończy się czyjąś śmiercią. Właściwie to wiele studenckich prac zaczyna się lub kończy w trakcie pogrzebu. A kiedy student chce opisać strumień myśli swojego bohatera,



niemal zawsze wprawia go w ruch. Wsadza do jakiegoś środka transportu, zwykle samochodu lub samolotu. Jakby potrafił sobie wyobrazić, że ktoś myśli tylko wtedy, gdy porusza się w przestrzeni.

Pytanie: Dlaczego bohater opowiadania znalazł się w podróży do Indii, skoro nie ma to nic wspólnego z resztą historii?

Odpowiedź: Chciałam pokazać, że bardzo się martwi.

Ostatnie słowa. „A więc tak się kończy ta historia” – powiedział mój przyjaciel w hospicjum dla chorych na AIDS. Oczy wielkie z zadziwienia, jak u dziecka.

## Część jedenasta

Jak powinna się skończyć ta historia? Już od jakiegoś czasu wyobrażam sobie, że kończy się tak.

Ranek. Kobieta, sama w mieszkaniu, zbiera się do wyjścia. Jeden z tych wczesnowiosennych dni, trochę słońca, trochę chmur. Później może spadnie deszcz. Kobieta nie śpi od świtu.

„Która godzina?”

Ósma.

„Co robiła kobieta od chwili obudzenia się aż do ósmej?”

Przez jakieś pół godziny leżała w łóżku i próbowała jeszcze zasnąć.

„Czy kobieta cierpi na szczególnie rodzaj bezsenności – częste budzenie się, niemożność dłuższego spania?”

Tak.

„Czy ma jakiś sposób, żeby ponownie zasnąć, kiedy tak się dzieje?”

Liczy wstecz od tysiąca. Wymienia wszystkie amerykańskie stany w kolejności alfabetycznej. Tego jednak ranka nic nie pomagało.

„Wstała. I co później?”

Zrobiła kawę. Jedno espresso zaparzone w małej kawiarence, którą niedawno kupiła. Zauważyła, że woli ją od zaparzacza, którego używała wcześniej i stłukła jakiś miesiąc temu. Tak w ogóle to lubi ten poranny rytuał. Parzenie i picie kawy w trakcie słuchania wiadomości radiowych.

„Jakie wiadomości usłyszała?”

Tak naprawdę tego ranka jest czymś zajęta i nie słuchała uważnie.

„Zjadła coś?”

Pół banana wkrojonego do kubka jogurtu naturalnego, z garścią rodzynek i orzechów włoskich.

„Co robiła po śniadaniu?”

Sprawdziła e-maile. Odpowiedziała na jedną wiadomość, tę z uczelnianej księgarni, w sprawie książek, które zamówiła na zajęcia. Potwierdziła wizytę u dentysty. Wzięła prysznic i zaczęła się ubierać. Ale wciąż się waha, bo nie wiadomo, jaki to będzie dzień. Czy sweter nie jest za gruby? Czy płaszcz nie za lekki? Czy powinna wziąć parasol? Czapkę? Rękawiczki?

„Dokąd idzie kobieta tego ranka?”

Odwiedzić starego znajomego, który niedawno wyszedł ze szpitala.

„Co w końcu decyduje się włożyć?”

Dżinsy, golf i rozpinany sweter. Płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem.

„Jak kobieta dociera do domu znajomego?”

Jedzie metrem z Manhattanu na Brooklyn.

„Czy po drodze gdzieś się zatrzymuje?”

W kwaciarni niedaleko stacji metra na Manhattanie, gdzie kupuje żonkile.

„A kiedy wysiada, czy idzie prosto do domu znajomego?”

Tak. Teraz zbliża się do jego kamienicy.

„Czy przyjaciel, którego odwiedza, również mieszka sam?”

Nie, mieszka z żoną. Której tego ranka nie ma w domu, poszła do pracy. Jest za to pies. Słysząc, jak szczeka na dźwięk dzwonka. Drzwi się otwierają, znajomy wychodzi, witają się serdecznie. Mężczyzna przypadkiem jest ubrany tak jak ona pod płaszczem: niebieskie dżinsy, czarny golf, szary rozpinany sweter. Pozostają w uścisku przez kilka chwil, a pies, jamnik miniaturowy, szczeka i ich obskakuje.

Teraz siedzą już w salonie, piją herbatę, którą przygotował mężczyzna. Kilka kruchych ciastek na małym talerzyku, ale nikt ich nie je. Żonkile stoją w niewielkim kryształowym wazonie w słonecznym miejscu na parapecie, gdzie lśnią jaskrawą żółcią, przez co (kobieta nie może powstrzymać się przed tą myślą) wyglądają na sztuczne. Jedna z łodyżek się zgięła i kwiatek zwisa zawstydzony, jakby uciekał przed światłem reflektora.

Teraz widać, że mężczyzna jest blady i wychudzony po chorobie. Mówi z wysiłkiem, tylko szept go nie męczy. W powietrzu czuć napięcie, jakby coś miało zaraz pęknąć lub wybuchnąć. Pies to wyczuwa i nie potrafi się uspokoić, choć leży grzecznie w wiklinowym koszyku. Mężczyzna mówi, a pies, słysząc swoje imię, macha ogonem.

– Jeszcze raz dzięki, że zajęłaś się Jipem.

– Ależ to żaden kłopot – odpowiada kobieta. – Fajnie było go mieć. Jakby futrzasty kawałek ciebie obok.

– Ha! – rzuca mężczyzna, a kobieta dodaje:

– Cieszę się, że mogłam pomóc.

– Bardzo pomogłaś – zapewnia mężczyzna. – Jip to dobry pies, ale rozpieszczony i wymagający uwagi. A moja biedna żona ma dosyć

problemów. – Pauza. Mężczyzna ścisza głos. – A przy okazji chciałem zapytać, co dokładnie ci powiedziała?

– Że wyjechała w interesach i z powodu burzy w Denver lot powrotny się opóźnił. Że próbowała dzwonić do ciebie z lotniska, ale nikt nie odbierał. Później lot odwołano i przyjechała do domu taksówką, a kiedy tu dotarła, zobaczyła liścik do sprzątaczk, by nie wchodziła do środka. I żeby wezwała pogotowie.

Mężczyzna nie patrzy na kobietę. Wpatruje się w żonkile na parapecie, mrużąc oczy, jakby ich jaskrawość go raziła. Kiedy kobieta milknie, on również się nie odzywa, czekając na ciąg dalszy, a kiedy nadal nic się nie dzieje, przerywa ciszę:

– Gdyby jakiś student napisał tak w swojej pracy, powiedziałbym: „To zbyt łatwe”.

W tej chwili jakaś chmura zasłania słońce i w pokoju robi się ciemno. W kobiecie narasta panika, oczy ją pieką, grożąc łzami.

– Wszystko sobie poukładałem – mówi mężczyzna. – Zawiozłem Jipa do hotelu dla psów. Sprzątaczk miała przyjść następnego ranka.

– Ale jak się teraz czujesz? – pyta kobieta nieco zbyt głośno, strasząc psa. – Jak się masz?

– Zhańbiony.

Kobieta chce zaprotestować, mężczyzna jednak to uniemożliwia.

– Taka jest prawda. Czuję się upokorzony. Chociaż to zwyczajowa odpowiedź.

Wiem – nie mówi kobieta. – Czytałam trochę o samobójstwie.

– Ale nie tylko to czuję – ciągnie mężczyzna, unosząc brodę. – Okazuje się, że nie ma we mnie niczego wyjątkowego. Jestem jak większość nieudanych samobójców. Cieszę się, że przeżyłem.

– Cudownie to słyszeć! – odzywa się zdezorientowana kobieta.

– Wciąż się jednak zastanawiam, dlaczego nie czuję więcej – kontynuuje mężczyzna. – Czuję się głównie otępiały, nieprzytomny, jakby to wszystko wydarzyło się pięćdziesiąt lat temu albo wcale. Ale to po części wina leków.

Chmura się przesunęła i światło znów wlewa się do pokoju.

– Na pewno się cieszysz, że jesteś w domu – zauważa ona.

On przez chwilę milczy.

– Na pewno się cieszę, że wyszedłem ze szpitala. Miałem wrażenie, że spędziłem tam całe miesiące, a nie kilka tygodni. Na oddziale

psychiatrycznym naprawdę nie ma wiele do roboty. Najgorsze, że nie mogłem czytać, nie potrafiłem się skupić, zapominałem każde zdanie, gdy tylko docierałem do jego końca. A ponieważ nie chciałem, by ludzie wiedzieli, co się stało, to nikt mnie nie odwiedzał. Wciąż jesteś jedyną osobą spoza rodziny, która zna całą historię. I wolałbym, żeby na razie tak zostało.

Kobieta kiwa głową.

– Nie żeby to było całkowicie negatywne doświadczenie – dodaje. – I wciąż przypominałem sobie: jeśli cokolwiek złego przydarzy się pisarzowi, nieważne jak okropnego, ma to swoje dobre strony.

– Tak? – Kobieta się prostuje. – Czy to znaczy, że o tym napiszesz?

– To bardzo możliwe.

– Fikcję czy wspomnienia?

– Nie mam pojęcia. Jeszcze za wcześnie. Muszę złapać trochę dystansu.

– A teraz piszesz? Udaje ci się coś napisać?

– Właściwie to o tym właśnie chciałem ci opowiedzieć. Mieliśmy na oddziale małe warsztaty literackie! Część terapii grupowej. Prowadziła je kobieta, terapeutka zajęciowa, tak ją nazywali. Poleciła nam pisać poezję zamiast prozy. Twierdziła, że to z powodu braku czasu, ale oczywiście także z innych powodów, bez wątplenia. I kazała wszystkim czytać na głos to, co napisali. Bez analizowania, bez krytyki. Po prostu podzielić się z innymi. Wszyscy powypisywali różne potworności i pozostali się nimi zachwycali. Cała ta straszna poezja, która nie była w ogóle poezją, na pewno wiesz, o czym mówię. Drżące, łamiące się głosy, niektórym czytanie zajmowało całe wieki. Wszyscy bardzo szczerzy, widać było, jak wiele znaczy dla nich móc wszystko z siebie wyrzucić i zobaczyć, że są w stanie poruszyć innych do łez. Łzy również się pojawiały, zawsze. Każdy wiersz oklaskiwano. Bardzo to było dziwne. Uczę od tylu lat, a nigdy nie spotkałem się z takimi emocjami, jakie odczuwałem w tamtej sali. Bardzo poruszające, bardzo dziwne.

– Trudno mi nawet sobie wyobrazić ciebie w takiej sytuacji.

– Uwierz, że widziałem jej ironię. Na początku pomyślałem, że nie chcę w ogóle brać w tym udziału, tak jak nie chciałem kolorowanek, do których wciąż nas zachęcali, nie tylko dlatego, by zabić czas, ale dlatego, że kolorowanie podobno redukuje niepokój. Nie mogłem jednak odmówić, bo wszyscy wiedzieli, że jestem pisarzem i uczę twórczego pisania, wyszedłbym więc na potwornego snoba. Jak mówię, życie na oddziale było

strasznie nudne. Nie dawałem rady czytać i nie chciałem wychodzić na wycieczki. Bałem się, że spotkam kogoś znajomego i będę musiał wyjaśniać, co robię w kinie albo w muzeum z pielęgniarzem i bandą wariatów. A zresztą warsztaty to po prostu była rozrywka, sposób na zabicie czasu. No i jeszcze terapeutka. Nie jakaś piękna, ale młoda i ładna, znasz mnie. Pragnąłem jej uwagi. Może i byłem pacjentem psychiatryka i mogłem być jej dziadkiem, mimo wszystko i tak chciałem zrobić na niej wrażenie. Naprawdę chciałem ją przelecieć, choć nie było na to szans. W każdym razie nie pisałem wierszy od studiów i było coś istotnie wspaniałego w powrocie do poezji po tylu latach. Będę pamiętał te oklaski aż do śmierci. A największa niespodzianka jest taka, że piszę dalej.

– Piszesz poezje? – Kobieta czuje kolejny przyływ paniki, myśląc, że on zaraz poprosi ją, by przeczytała jego wiersze. Albo co gorsza, by posłuchała, jak on czyta je na głos.

– Nic, co chciałbym od razu pokazywać – ciągnie mężczyzna. – Łatwiej mi jednak teraz pracować nad krótkimi tekstami. Sama myśl o pisaniu dłuższych form mnie przeraża. Myśl o powrocie do książki, nad którą pracowałem, jak pies do swoich wymiocin! Ale dosyć o mnie. Co tam u ciebie?

Kobieta opowiada o nowym kursie, który prowadzi. Życie i historia. Fikcja jako autobiografia, autobiografia jako fikcja. Wśród autorów Proust, Isherwood, Duras, Knausgård.

– Powodzenia w zmuszaniu tych gnojków do czytania Prousta! A co z tekstem, nad którym pracowałaś? Skończyłaś?

– Nie, porzuciłam go.

– O, nie! Dlaczego?

Kobieta wzrusza ramionami.

– Nie wyszło. Częściowo dlatego, że wciąż czułam się winna, jakbym wykorzystywała ludzi, o których pisałam. Nie potrafię wyjaśnić dokładnie dlaczego, lecz tak myślałam. A wiesz, jak to jest z poczuciem winy, podobnie jak dym i ogień, nie pojawia się bez powodu.

– Ależ to bzdura – wtrąca mężczyzna. – Dla pisarza wszystko stanowi materiał, zależy tylko, jak go wykorzystasz. Czy zachęcałbym cię do pisania czegoś, co, moim zdaniem, jest niewłaściwe?

– Nie. Tak naprawdę, kiedy zasugerowałaś, bym napisała o tych kobietach, to nie myślałaś o nich, ale o mnie. O czymś, co byłoby dobre dla mnie. Publikacja, czytelnicy, pieniądze.

– Tak, to właśnie robią pisarze, to się nazywa dziennikarstwo. Nie powiesz mi, że nie było innych dobrych powodów.

– Może i były, lecz to nie ma znaczenia. Po prostu nie mogłam tego zrobić. Nie mogłam. Pisałam coś w stylu: „Oksana ma dwadzieścia dwa lata, okrągłą, bladą twarz, wysokie kości policzkowe i blond pasemka we włosach, mówi z lekkim rosyjskim akcentem”. Później czytałam to, co napisałam, i chciało mi się rzygać. Nie mogłam dalej. Słowa się nie pojawiały. Zrobiłam cały research. Miałam mnóstwo notatek. Ale tylko siedziałam i pytałam samą siebie: co niby mam zrobić z tymi wszystkimi dowodami przemocy i okrucieństwa, z tym katalogiem potwornych szczegółów? Ułożyć je w interesującą historię? A jeśli to zrobię, jeśli uda mi się znaleźć odpowiednie słowa i właściwy styl, jeśli zapiszę całą parszywą opowieść dobrą, czystą prozą, jakie to będzie miało znaczenie? Pisanie – myślałam – powinno pomóc chociaż mnie, pisarce, lepiej wszystko zrozumieć, ale to tylko pobożne życzenia. Pisanie nie zbliżyło mnie ani trochę do zrozumienia tego zła, z którym się skonfrontowałam. I w niczym nie pomogłoby ofiarom, od tego faktu również nie mogłam uciec. Jedyne, co wiedziałam na pewno, i co uważam za ogólną prawdę w takich projektach, to że z zaangażowanych osób istotny jest pisarz. I zaczęłam czuć, że to coś nie tylko egoistycznego, lecz okrutnego, zimna krew, można powiedzieć, w tym, co robię. Nie znosiłam tego badawczego nastawienia, które jest wymogiem gatunku.

– W takim razie może byłoby lepiej, gdybyś wykorzystała ten materiał w prozie fikcjonalnej – mówi mężczyzna.

Kobieta się wzdryga.

– Jeszcze gorzej. Zrobić z tych dziewczyn i kobiet żywe, interesujące bohaterki? Mitologizować ich cierpienie i robić z niego narrację? O, nie.

Mężczyzna ostentacyjnie wzdycha.

– Słyszałem ten argument, ale mnie nie przekonuje. Gdyby wszyscy czuli to, co ty, świat nie wiedziałby niczego o rzeczach, o których ma prawo wiedzieć. Pisarze muszą dawać świadectwo, to ich powołanie. Niektórzy uważają, że nie ma ważniejszego pisarskiego zadania, niż dawać świadectwo niesprawiedliwości i cierpieniu.

– Wiele o tym myślałam, odkąd Swiatłana Aleksijewicz dostała Nobla – mówi kobieta. – Świat jest pełen ofiar, jak twierdziła. Zwykłych ludzi, którzy doświadczyli potworności, nikt jednak o nich nie wie i zostają zapomniani. Jej celem jako pisarki jest dać tym ludziom słowa. Ale nie

wierzy, że można to zrobić przez fikcję. Nie żyjemy już w świecie Czechowa, a fikcja po prostu nie odpowiada naszej rzeczywistości. Potrzebujemy prozy dokumentalnej, historii wyjętych ze zwykłego, indywidualnego życia. Bez wymyślania. Bez autorskiego punktu widzenia. Ona nazywa swoje książki powieściami na głosy. Słyszałam też określenie „powieści dowody”. Większość jej narratorów to kobiety. Uważa, że są lepszymi opowiadaczami, ponieważ przyglądają się swojemu życiu i uczuciom tak jak mężczyźni nie potrafią: bardziej intensywnie i... Dlaczego się uśmiechasz?

– Po prostu myślałem o tym argumencie, że mężczyźni w ogóle powinni przestać pisać.

– Aleksijewicz tego nie mówi. Twierdzi jednak, że jeśli chcesz dotrzeć do głębi ludzkiego doświadczenia i emocji, musisz oddać głos kobietom.

– I uciszyć autorkę.

– Tak. Istotni są ludzie, którzy naprawdę przeżyli to cierpienie, byli świadkami, a rolą pisarza jest tylko dać im głos i możliwość wypowiedzi.

– Ten pomysł już się utrwalił. Stwierdzenie, że to, co robią pisarze, jest z zasady wstydlive i wszyscy jesteśmy w pewnym sensie podejrzani. Kiedy wykładałem, zauważałem co roku, że opinie moich studentów o pisarzach są coraz gorsze. A co to znaczy, gdy ci, którzy sami pragną zostać pisarzami, postrzegają ich w tak negatywnym świetle? Wyobrażasz sobie uczennicę szkoły baletowej, która myśli podobnie o Baletcie Nowojorskim? Albo młodych sportowców gardzących mistrzami olimpijskimi?

– Nie. Ale tancerzy i sportowców nie postrzega się jako uprzywilejowanych, a pisarze mają taką pozycję społeczną. W naszym społeczeństwie, żeby w ogóle zostać zawodowym pisarzem, musisz być uprzywilejowany, a powszechnie się uważa, że ludzie uprzywilejowani w ogóle nie powinni już pisać, chyba że potrafią znaleźć sposób, by nie pisać o sobie, bo to tylko wzmacnia przekaz o białej supremacji i patriarchacie. Możesz się krzywić, ale nie zaprzeczysz, że pisarstwo to elitarne, egoistyczne zajęcie. Pisziesz, żeby zdobyć uwagę i polepszyć swoją pozycję na świecie, a nie po to, by uczynić świat sprawiedliwszym. Oczywiście, że będzie się z tym wiązał pewien wstyd.

– Podoba mi się to, co powiedział Martin Amis: „Potępienie egotyzmu u powieściopisarzy to jak potępienie przemocy u bokserów”. Kiedyś wszyscy to rozumieli. I kiedyś młodzi pisarze wierzyli, że pisarstwo to



powołanie. Jak u zakonnic czy księdza, tak mówiła Edna O'Brien. Pamiętasz?

– Tak, pamiętam również, że Elizabeth Bishop twierdziła, że nie ma nic bardziej żenującego, niż zostać poetą. Problem nienawiści do samego siebie nie jest nowy. Nowa jest myśl, że to ludzie z doświadczeniem największej niesprawiedliwości mają największe prawo, by ich usłyszano, i że przyszedł czas, by sztuka nie tylko zrobiła im miejsce, ale także została przez nich zdominowana.

– To chyba sytuacja bez wyjścia, prawda? Uprzywilejowani nie powinni pisać o sobie, bo to wzmacnia perspektywę imperialistycznego białego patriarchy. Ale nie powinni też pisać o innych grupach, to bowiem kulturalne zawłaszczanie.

– Dlatego Aleksijewicz jest taka interesująca. Jeśli zamierzasz wykorzystać literacko którąś z opresjonowanych grup, musisz znaleźć sposób, by pozwolić jej mówić i jednocześnie zachować dystans. Obecnie ludzie krzywią się, słysząc, że do pisania potrzebny jest dar, ponieważ to oznacza wyeliminowanie zbyt wielu głosów. Aleksijewicz umożliwia ludziom bycie słyszonymi, pozwala im opowiadać historie bez względu na to, czy potrafią tworzyć piękne zdania. Pojawia się także sugestia, że jeśli piszesz o ofiarach, powinienes przekazać swoje honorarium na jakiś szlachetny cel, by im pomóc.

– To bez sensu, jeśli masz zarobić na swoje utrzymanie. Przy takich zasadach tylko bogaci mogą pozwolić sobie na pisanie tego, co chcą! Cóż, dla mnie jedyne poważne pytanie brzmi: czy proza niefikcyjna, jaką pisze Aleksijewicz, rodzi literaturę tak dobrą jak proza fikcyjna? Ja jestem skłonny zgodzić się choćby z Doris Lessing, która uważała, że wyobraźnia skuteczniej dociera do prawdy. I nie kupuję tego pomysłu, że fikcja już nie potrafi portretować rzeczywistości. Problem leży gdzie indziej. U studentów zauważyłem jeszcze coś: jak bardzo stali się zarozumiali, jak mało tolerancyjni wobec jakiegokolwiek słabości czy wady charakteru pisarza. I nie mówię o jego otwartym rasizmie czy mizoginii. Mam na myśli każdą małą oznakę niewrażliwości czy uprzedzenia, ślad problemów psychologicznych, neurozy, narcyzmu, obsesji, złych nawyków... Każdej ekscentryczności. Jeśli pisarz nie prezentuje im się jako osoba, którą chcieliby mieć za przyjaciela, co oznacza kogoś postępowego i prowadzącego zdrowy tryb życia, pieprzyć go. Kiedyś cała moja grupa zgodnie stwierdziła, że nie ma znaczenia, jak wielkim pisarzem był

Nabokow, bo taki człowiek (ich zdaniem, snob i zboczeniec) nie powinien znaleźć się na niczyjej liście lektur. Powieściopisarz, tak jak każdy przyzwoity obywatel, musi się podporządkować, a myśl, że ktoś może pisać dokładnie to, co chce, bez względu na opinie innych, uznali za niewyobrażalną. Oczywiście literatura nie wykonuje swojego zadania w takiej kulturze. Denerwuje mnie, że pisanie stało się upolitycznione, lecz moim studentom to w ogóle nie przeszkadza. A niektórzy chcą być pisarzami właśnie dlatego. Jeśli się sprzeciwisz, jeśli będziesz próbować z nimi rozmawiać na przykład o sztuce dla sztuki, to nie chcą słuchać, oskarżają cię o nadużywanie pozycji. Dlatego postanowiłem nie wracać do uczenia. Nie żebym się nad sobą użalał, ale kiedy ktoś tak bardzo nie zgadza się ze współczesną kulturą i z jej aktualnymi problemami, to nie ma to sensu.

Nie chcę być okrutna – nie mówi ona – ale nie zatęsknią za tobą.

– Tak czy inaczej, przykro mi, że zostawiłaś ten artykuł – stwierdza. – Wiesz, że chciałem, byś go dokończyła.

– Szczerze mówiąc, był jeszcze inny powód. Coś odciągnęło moją uwagę. Zaczęłam pisać coś innego.

– O czym?

– O tobie.

– O mnie! To dziwne. Dlaczego, na miłość boską, miałabyś pisać o mnie?

– Właściwie tego nie planowałam. Gdzieś w okolicy świąt przypadkiem obejrzałam film *To wspaniałe życie*. Na pewno go widziałeś.

– Wiele razy.

– No więc znasz historię. George’a Bailey, granego przez Jimmy’ego Stewarta, przed odebraniem sobie życia powstrzymuje anioł, który pokazuje mu, jak wiele straciłby świat, gdyby George nigdy nie istniał. Oglądałam film razem z Jipem, leżał mi na kolanach, i oczywiście myślałam o tobie. To znaczy, nieustannie myślałam o tobie, odkąd się dowiedziałam, co się stało, i zastanawiałam się, czy nic ci nie będzie. – Wzrok mężczyzny znowu przyciągają kwiaty stojące na parapecie. – Myślałam o tym, jak niewiele brakowało. I zapomniałam o filmie, wyobrażając sobie, jak by to było, gdyby ci się udało. Przecież to był czysty przypadek. A może i ty masz swojego Anioła Stróża. W każdym razie nie mogłam przestać o tym myśleć. A gdyby nie znaleziono cię w porę? I już wiedziałam, że o tym powinnam napisać.

Mężczyzna, już wcześniej blady, teraz zrobił się biały jak ściana.

– Dobrze usłyszałem? Powiedz, że nie.

– Przepraszam – mówi kobieta. – Powinnam była wspomnieć, że to proza fikcjonalna. Zmieniłam tożsamość bohaterów.

– Dajże spokój. Myślisz, że nie wiem, co to niby znaczy? Zmieniłaś moje imię.

– Właściwie to w ogóle nie użyłam imion. Nikt nie ma imienia. Oprócz psa.

– Jipa? On także się tam pojawia?

– No, nie całkiem Jip. Jest po prostu pies, to ważny bohater. I ma imię: Apollo.

– Podniosłe imię jak na jamnika miniaturowego, nie sądzisz?

– On tam już nie jest jamnikiem. Tak jak mówiłam, to fikcja, wszystko jest inne. No dobrze, nie wszystko. Zatrzymałam na przykład szczegóły o tym, że znalazłeś go w parku. Wiesz, jak to działa. Bierzesz trochę z życia, trochę zmyślasz, opowiadasz dużo półprawd i półkłamstw. Dlatego Jip zostaje dogiem niemieckim. A z ciebie zrobiłam Anglika.

Mężczyzna wydaje jęk zawodu.

– Nie mogłaś przynajmniej zrobić ze mnie Włocha?

Kobieta się śmieje.

– Oto, czego dowiedziałam się od Christophera Isherwooda o zmienianiu prawdziwej osoby w fikcyjnego bohatera. To jak zakochiwanie się, mówił. Bohater jest jak twój ukochany: zawsze wyjątkowy, nie może być po prostu zwykłym człowiekiem. Dlatego pomijasz szczegóły sprawiające, że wydaje się taki jak każdy. A podkreślasz te, które uważasz w nim za ekscytujące i intrygujące, te wyjątkowe cechy, z powodu których w ogóle chcesz o nim pisać, a następnie je wyolbrzymiasz. Wiem, że każdy chce być Włochem. Ale odkąd się znamy, zawsze przypominałeś mi Anglika.

– I postanowiłaś też zrobić ze mnie goja?

Kobieta znowu się śmieje.

– Nie. Chociaż zrobiłam z ciebie trochę większego kobieciarza, niż jesteś naprawdę.

– Tylko trochę?

– Aaaa, zdenerwowałaś się.

– Wiedziałaś, że się zdenerwuję.

– Tak. Przyznaję, że tak. Czy ktoś w ogóle lubi, gdy o nim piszą? Ale musiałam coś zrobić. I tak jak mówiłam, odkąd tylko się dowiedziałam, co się stało, nie mogłam przestać o tym myśleć. Zrobiłam więc to, co się robi, jeśli jesteś pisarzem i masz na jakimś punkcie obsesję: zmieniasz ją w historię i masz nadzieję, że w ten sposób ją pogrzebiesz albo przynajmniej pomoże ci ogarnąć, o co chodzi. Nawet jeśli z doświadczenia wiemy, że zwykle tak to nie działa.

– Tak, wiem, nie musisz mi tego wszystkiego mówić. A pisarze naprawdę przypominają wampiry, tego również nie musisz mi mówić, na pewno kiedyś sam ci to powiedziałem. I znowu widzę ironię tej sytuacji. Nie da się jednak ukryć, że mnie zaskoczyłaś. Nie wiem, co o tym myśleć. Co ty narobiłaś? Teraz mogę ci tylko powiedzieć, że czuję się zdradzony. Zdecydowanie zdradzony. A po rozmowie, którą właśnie odbyliśmy, muszę zapytać: dlaczego uznałaś mnie za dobry temat? I mogłaś przynajmniej poczekać. Jezu. Ja leżę w szpitalu, w najgorszym momencie mojego całego życia, a ty przy komputerze zaliczasz kolejne strony. Kiepski obrazek. Naprawdę. Właściwie to wręcz obrzydliwy. Który przyjaciel... Po prostu się wstydzę. Widzę, że nie wiesz, co powiedzieć. Dziwię się, że potrafisz mi w ogóle spojrzeć w oczy. A dobrze usłyszałem to o psie? Że pies jest głównym bohaterem? Błagam, powiedz, że psu nie przydarzy się nic złego.

**POKONAJ PUSTAŃ STRONĘ!**

## Część dwunasta

To jest życie, prawda? Słońce, nie za gorąco, lekki wiatr, świergot ptaków. Wiem, że lubisz słońce, inaczej byś w nim nie leżał, tylko tutaj, na zacienionym ganku, obok mnie. Słońce z pewnością robi dobrze twoim starym kościom. I pewnie lubisz odświeżającą bryzę znad oceanu, tak samo jak ja. Zawsze gdy wieje w naszą stronę, podnosisz łeb, a ja wiem, że trzysta milionów twoich receptorów węchowych wyczuwa dużo więcej niż słony ślad docierający do moich marnych sześciu milionów. Człowiekowi trudno jest wyczuć więcej niż jedną rzecz naraz. Kiedy słyszę, jak ktoś opisuje bukiet wina o ciężkim aromacie czarnego pieprzu, spod którego wydobywa się świeża woń malin i jeżyny, to wiem, że gada bzdury. Pokaż mi człowieka, który potrafi odróżnić węchem malinę od jeżyny, nawet pomijając ten pieprz na wierzchu. Za to twój węch, dziesiątki tysięcy razy bardziej czuły od mojego, według badań potrafi wyczuć jedno zgniłe jabłko w dwóch milionach beczek – to zupełnie inny nos.

Jeszcze bardziej niesamowite jest to, że potrafisz odróżnić te niezliczone zapachy, które docierają do ciebie nieustannie ze wszystkich kierunków. Taka moc z każdego psa czyni Wonder Doga. Ale skoro mówimy o nadmiarze informacji – taka moc każdego człowieka doprowadziłaby do szaleństwa.

Wracam myślami do czasu, kiedy leżałam na podłodze, a ty budziłeś mnie w środku nocy i wdychałeś kawałek po kawałku. Szukałeś danych. Kim jestem i co chowam w rękawie. Wciąż nieustannie mnie wąchasz, lecz już bez takiego śledczego zapachu.

Z badań wynika, że potrafisz wyczuć nie tylko to, co jadłam na dzisiejsze śniadanie, ale także wczorajszą kolację, kiedy wyprałam szorty i koszulkę, które mam na sobie, i czy użyłam wybielacza, dokąd ostatnio chodziłam w tych sandałkach i że zmieniłam markę kremu z filtrem. Wszystko to dla ciebie pestka. Teraz jednak, kiedy już wiem, co potrafią psy, nic mnie nie zaskoczy. Kobieta, którą często spotykamy na spacerze z suczką i jej matką, kundelkami, twierdzi, że psy wiedzą, która jest godzina. „Kiedy wracam z pracy do domu – mówi – patrzę w górę

i widzę moje dziewczynki w oknie, choć jestem jeszcze daleko. Wiedzą, że się zbliżam, z natężenia mojego zapachu”.

Chyba mogę powiedzieć, że dzięki swoim superzdolnościom potrafisz rozgryźć mnie lepiej niż ja ciebie. Jesteś na bieżąco dzięki hormonom i feromonom. Moja nerwica przed początkiem zajęć zacznie się za tydzień. Moje otwarte rany. Moje ukryte obawy. Moja samotność. Mój gniew. Moja nigdy niekończąca się żałoba. Wszystko to wyczuwasz.

Co jeszcze... Mikroskopijne złośliwe komórki, których medycyna na razie nie wykrywa? Wypustki i węzłki po cichu formujące się w moim mózgu, zwiastuny demencji?

Prawdopodobnie psi towarzysz potrafi wyczuć, że kobieta jest w ciąży, zanim ona sama się zorientuje.

Podobnie jak to, że ktoś umiera.

Nie żebyś miał taki świetny węch jak kiedyś. Wiek z pewnością go przytępił, ludziom również się to zdarza. I ten twój nos: kiedyś dojrzała mokra czarna śliwka, teraz spękany i szary jak zużyty węgielek.

Tak jak mówiłam – gorące słońce, chłodna bryza – na pewno je lubisz. Ale ptasie trele? W ogródku stoi karmnik i ptaków tu nie brakuje. Całymi dniami słyszymy sikorki, wróble, zięby i rudziki – oprócz pewnych godzin, w których tajemniczo wszystkie ptaki milkną, jakby poszły do kościoła.

Lubię ptasie głosy, nawet monotonne gruchanie turkawek i piskliwe wrzaski sójek, wron i mew. Czy jednak muzyka natury ma jakiś wpływ na ciebie, obojętnego na ludzką muzykę wszelkich gatunków?

Znam ludzi, którzy w ogóle nie lubią ptasich śpiewów, a wręcz uważają je za irytujące. Dyrygent Siergiej Kusewicki narzekał kiedyś, że rankiem w Tanglewood budzą go „te wszystkie fałszujące ptaki”.

Czasami jakiś ptak przykuwa twoją uwagę – jak w mieście robią to czasem gołębie – kiedy leci nisko albo podskakuje na trawniku, ale nigdy nie kusi cię, by je gonić.

Pojawiają się też wiewiórki, pręgowce i króliki, niektóre dość odważne, by podejść, lecz zupełnie nie muszą się ciebie bać.

Kot sąsiadów, czarno-biały jak ty, obserwuje cię spod zmrużonych ślepiów, znad krawędzi trawnika, przekazując, że nie jest pod wrażeniem.

Kiedyś przemknął tędy dziwnie wyglądający pies, szybko i tajemniczo, pojawił się i zniknął tak nagle, że mogło mi się przywidzieć. Dopiero później do mnie dotarło: to nie był pies, tylko lis.

Ciekawe, czy kiedykolwiek w życiu za czymś gonieś. Wydaje mi się, że na pewno. Masz przecież instynkt. Polowanie na dziki jest w twoich genach.

Oczywiście cieszę się, że żyjemy tu, w miłującym pokój królestwie. Nie chciałabym, żeby to się zmieniło.

Przypomniało mi się, jak mój dawny chłopak szkolił Beau, by ten siedział nieruchomo przez minutę z oswojoną myszką na łbie.

Widziałam za to, jak kłapiesz pyskiem na muchy i inne owady, niestety, łącznie z tymi gryzącymi. Kiedyś zjadłeś też ogromnego pająka, zanim zdążyłam cię powstrzymać.

A może to mysz była szkolona, by siedzieć na głowie psa?

Drugim nieustającym dźwiękiem są tutaj fale, które, mam nadzieję, działają na ciebie tak samo odprężająco jak na mnie.

Kiedy po raz pierwszy poszliśmy na plażę, zastanawiałam się, czy kiedykolwiek wcześniej widziałeś ocean albo pływałeś, albo chodziłeś po piasku. (Wielkie ślady twoich łap musiały wielu zaskoczyć). Na szczęście plaża jest oddalona jedynie o kilka minut. Chodzimy tam tylko wtedy, gdy słońce znajduje się nisko, wczesnym rankiem albo o zmierzchu. Choć to krótki spacer, wcale nie jest ci łatwo. Idziesz powoli – coraz wolniej – unikam słowa „kuśtykasz”. Boję się, że pewnego dnia damy radę tam dojść, nie będziemy jednak w stanie wrócić.

Nie tak dawno temu w mieście wydarzyło się coś okropnego. Było upalnie, pierwszy naprawdę gorący dzień lata, szliśmy w stronę zacienionego parku. Zanim jednak tam doszliśmy, a nie zapędziliśmy się daleko, zatrzymałeś się, przykucnąłeś i padłeś na beton, wyraźnie zdenerwowany.

Byłam bliska paniki, myślałam, że cię tracę, tam, wtedy.

Ludzie zachowali się bardzo miło. Ktoś pobiegł do kawiarni i przyniósł miskę z zimną wodą, którą łapczywie wypileś, nie wstając. Jakaś przechodząca kobieta się zatrzymała, wyjęła parasolkę i stała, osłaniając cię nią przed słońcem: „Mogę spóźnić się do pracy” – powiedziała. Przejeżdżający mężczyzna zaproponował nam podwózkę, lecz wiedziałam, że nie dasz rady wspiąć się na tylne siedzenie, a wtedy na szczęście ożyłeś i mogliśmy wrócić do domu.

Teraz przy każdym spacerze mam ściśnięte gardło.

Ale musisz chodzić – jak twierdzi weterynarz. Musisz codziennie chociaż trochę się poruszać.



Leki działają. Dzięki przeciwbólowym i przeciwzapalnym, choć nie zawsze czujesz się komfortowo, to przynajmniej nie cierpisz. Co oczywiście może się zmienić – i to jest dla mnie katorgą. Bo skąd mam wiedzieć, kiedy to nastąpi?

Nie mogę zapomnieć o tym, jak Ackerley opisywał koniec Queenie: „Zaczęła odwracać się pyszczkiem do ściany, a plecami do mnie”. To był ten moment, znak, który uznał za wiadomość, że powinien ją... uśmiercić.

Dasz mi znać, prawda? Pamiętaj, jestem tylko człowiekiem. Daleko mi do twojej inteligencji. Kiedy to już będzie zbyt wiele, potrzebuję znaku.

Nie postrzegam tego jak manipulowania naturą, zabawy w Boga czy, jak niektórzy by to nazwali, wtrącania się do duchowej podróży stworzenia, przejścia do stanu bardo. Uważam to za błogosławieństwo. Chcę dla ciebie tego, czego chciałabym dla siebie.

I oczywiście tam będę. Zostanę z tobą podczas tej ostatniej podróży do weterynarza.

Myślałam, że ta chwila nadeszła wczoraj, gdy nie tknąłeś śniadania. Odłamałam kawałek swojej kanapki, którą zjadłeś mi z ręki. („Jak wspólne odprawianie mszy”). Jednak do wieczora wrócił ci apetyt.

Nie myślmij już więc o tym. Żyjmy tym dniem i tylko nim. Podarowanym nam idealnym letnim porankiem.

„Jeszcze jedno lato”. Przynajmniej tyle dostałeś.

Jeszcze jedno lato, żebyś wyciągnięty i zadowolony poleżał sobie na słońcu.

I przynajmniej zdążę się pożegnać.

Mówię do ciebie czy do siebie? Przyznaję, że ta granica się zatarła.

Tygodnie przed przyjazdem tutaj były bardzo trudne. Minęło już trochę czasu, odkąd swobodnie mogłeś schodzić i wchodzić pięć pięter, zaczęliśmy więc jeździć windą. Większość sąsiadów nie miała nic przeciwko. Zdążyli się przyzwyczaić, że nas widują, i tylko jedna osoba, emerytowana pielęgniarka, której mąż zmarł rok wcześniej na białaczkę, zakwestionowała twoją rolę jako psa pomocnika. Nawet ona jednak zauważała, jak dobrze jesteś wychowany, jak przyciskasz się do ściany, by nie zajmować zbyt wiele miejsca w wąskiej windzie. A inni lokatorzy, podobnie jak ludzie, których ciągle spotykamy, po prostu cieszą się na twój widok, jak to często bywa przy spotkaniach z takimi łagodnymi olbrzymami.

Coraz mocniejszy zapach twojej sierści, śmierdzący oddech i ciekąca ślina – szczególnie w tej ciasnej przestrzeni, niemal pozbawionej powietrza w miejskim upale – trudno było je już ignorować.

A później: nieunikniony koszmar. W windzie, w korytarzu, na wykładzinie w lobby. Nie było właściwie dnia bez wypadku. A najgorzej było w samym mieszkaniu. „Jezu, śmierdzi tu jak w stajni” – powiedział jakiś kurier. Ktoś inny mówił „zoo”. Hector, niech mu Bóg wynagrodzi, nic nie mówił.

Wywaliłam trzy chodniki, kanapę i łóżko. Kupiłam drugi dmuchany materac i zaczęliśmy spać obok siebie na podłodze.

Robiłam, co mogłam, energicznie myłam i szorowałam, zużywając kilka butelek lizolu tygodniowo. To była jednak syzyfowa praca, smród i tak nigdy nie znikał. Przeniknął drewniane podłogi, półki na książki. Utkwił we wszystkich moich ubraniach – jak dym papierosowy, gdy miałam dwadzieścia kilka lat – i, czego się czasami obawiałam, w skórze i we włosach.

– Jest źle, ale mogło być gorzej – powiedział ktoś, kto zawsze najbardziej się o mnie martwił. – Musisz na jakiś czas wyjechać i wywietrzyć mieszkanie.

Kiedy byłam już blisko rozpaczy, on przyszedł nam z pomocą.

– Moja mama musiała zamieszkać w domu opieki – powiedział. – Miała domek na Long Island, spędzała w nim lato. Niedawno go sprzedaliśmy, lecz nowi właściciele przejmą go dopiero na początku września. Zamierzają wypatroszyć go i całkowicie wyremontować, nie ma więc znaczenia, jakie szkody wyrządzi pies. Zresztą i tak większość czasu może spędzać na dworze. Rzadko tam bywałam ostatnio. Muszę pracować, a nie znoszę jeździć tylko na weekendy, szczególnie w sierpniu, kiedy jazda samochodem to koszmar. Zresztą to jeszcze tylko dwa tygodnie, a ty potrzebujesz wypoczynku bardziej niż ja. Będzie ci tam dużo łatwiej, zobaczysz. Jeśli chcesz, to w trakcie twojej nieobecności zobaczę, co się da zrobić z twoim mieszkaniem.

Mój bohater.

Przywiózł nas tu nawet swoim SUV-em.

Wsadzenie cię do samochodu, nie robiąc ci krzywdy, było kolejną przeszkodą. Hector przyniósł prowizoryczną rampę ze starych drzwi, które leżały w piwnicy.

Tutaj nie musimy martwić się o schody – są tylko dwa małe stopnie na ganek. I nie potrzebujemy samochodu. Po zakupy spożywcze jeżdżę rowerem do miasta. Za tydzień, kiedy będziemy musieli się wyprowadzić, nasz znajomy przyjedzie swoim SUV-em i zawiezie nas do domu.

Pierwszej nocy, którą tu spędziliśmy, szalała spektakularna burza. Kuliliśmy się razem pod bombardowanym dachem. Lało całą noc, ale ranek był już spokojny. Jakby ktoś odsłonił folię, pod którą krył się zupełnie nowy świat, jasny i czysty. Niemal słyszałam *Ave Maria* Schuberta. Niemal czułam zapach błękitu. I odtąd wszystkie dni były piękne.

Na plaży, zwykle o zmierzchu, spotykamy czasami pewną parę: młodego mężczyznę bez T-shirtu, z karmelową opalenizną, włosami jasnoblond, prawdziwego beach boya, i jego wyżła weimarskiego. Patrzymy, jak pies wskakuje do wody po patyk rzucony mu cały czas przez właściciela. Ma dobry rzut. Kij leci daleko, daleko. I pies płynie daleko, daleko, raz po raz, bijąc w falę za falą, niezmordowany. Ekscytujący widok. Wydaje się tak szalenie szczęśliwy, zwycięski, kiedy biegiem wraca, by rzucić kij do stóp swojemu panu.

Nie mogę powstrzymać ukłucia zazdrości, kiedy tak patrzę na zabawę tych dwóch silnych, młodych stworzeń. Ale tylko ja. Ty patrzysz jak zawsze spokojnie. Nie wiesz, co to zazdrość. Nie masz tęsknot, nie czujesz nostalgii. Nie masz wyrzutów sumienia. Naprawdę należysz do innego gatunku.

Myślałam, że czas będzie mijał wolniej, skoro tak leniwie go spędzam. Czytam Elmore'a Leonarda, ciągiem oglądam *Grę o tron*, trochę przygotowuję się do zajęć – i tyle. Żyję głównie na kanapkach, nie chce mi się ich nawet robić, kupuję dwie na dzień w sklepie plus owoce ze straganu. Wystarczy.

Siedzę na tym ganku całymi godzinami i tylko myślę. Na przykład o moim terapeutce – pamiętasz go? Myślę o różnych rzeczach, które powiedział. Samobójstwo jest zaraźliwe. Jednym z najsilniejszych czynników prognozujących samobójstwo jest to, że znałeś jakiegoś samobójcę. Oczywiście wiedziałam, do czego zmierzał. Doktor Oczywisty. Pamiętam, jak opowiadałam mu swój sen o mężczyźnie w ciemnym płaszczu, który brodził w głębokim śniegu. Czy mnie przywoływał – szybciej, szybciej! – czy ostrzegał, żebym za nim nie podążała?

Myślałam o tym, ponieważ kilka dni temu miałam ten sam sen. Tyle że tym razem zamiast pustego, zaśnieżonego pola byliśmy na polu bitwy.

Wybuchaly bomby, żołnierze celowali i strzelali. I tym razem to był jeden wielki koszmar.

Rutynowym sposobem postępowania klinicznego jest pytać osobę, która mówi o samobójstwie, by opisała, jak planuje to zrobić. Im bardziej szczegółowy plan, tym głośniejszy alarm. Gdybym była gotowa pożegnać się z tym okrutnym światem, to byłoby miejsce doskonałe. Rzucić się do oceanu, odpłynąć od brzegu tak daleko, jak się da. Czyli nie bardzo daleko. Pływam tak kiepsko, że nigdy nie weszłam do wody sięgającej mi ponad głowę.

„Czy utonięcie to jednak nie najgorszy sposób umierania?”. Na pewno to gdzieś przeczytałam. Pytanie tylko – skąd to wiadomo?

Jedyne doświadczenie, którego miała nigdy nie opisać.

„Morze – powiedz – weź mnie”. Czy poetka pisze o Miłości czy Śmierci?

Nic się nie zmieniło. To wciąż bardzo proste. Tęsknię za nim. Tęsknię za nim codziennie. Bardzo za nim tęsknię.

Jak jednak by było, gdyby to uczucie zniknęło?

Nie chciałabym, by tak się stało.

– Wcale by mnie nie uszczęśliwiło, gdybym przestała za nim tęsknić – powiedziałam terapeutce.

„Nie można pospieszać miłości” – przekonuje mnie piosenka. Nie można też pospieszać żałoby.

Myślę, że on zrobił to, co zrobili również inni przed nim: przekonał samego siebie, że tym, których zostawi, nic się nie stanie. Przez jakiś czas będziemy w szoku, chwilę potrwa żałoba, a później się otrząśniemy, jak zawsze. Świat się nie kończy, życie toczy się dalej i my również żyjemy, robiąc to, co trzeba.

A jeśli to właśnie musiał zrobić, by nie cierpieć, przede wszystkim z poczucia winy, to w porządku. W porządku.

Oczywiście martwiłam się, że pisanie o tym może okazać się błędem. Zapisujesz coś, bo próbujesz to uchwycić. Opisujesz swoje doświadczenia po części dlatego, by zrozumieć, co oznaczają, i ich nie stracić. Nie zapomnieć. Zawsze jednak istnieje niebezpieczeństwo, że stanie się coś przeciwnego. Straci się wspomnienie doświadczenia na rzecz wspomnienia jego opisywania. Tak jak ludzie, których wspomnienia o odwiedzonych miejscach są tak naprawdę tylko wspomnieniami zdjęć, które tam zrobili. Ostatecznie pisanie i fotografia zapewne bardziej niszczą przeszłość, niż ją

zachowują. Mogłoby się więc zdarzyć, że pisząc o kimś, kogo straciliśmy, lub nawet zbyt wiele o nim mówiąc, pochowasz go na dobre.

Chodzi o to, że nawet teraz wciąż nie wiem na pewno, czy byłam w nim zakochana, czy nie. Byłam zakochana niejedyn raz i nigdy nie miałam co do tego wątpliwości. On jednak – cóż, teraz to nie ma znaczenia. Kto to wie. Co to jest miłość? Przypomina mistyczną próbę zdefiniowania wiary, którą kiedyś przeczytałam: „To nie to, to nie tamto. Jest taka, ale nie taka. Jest podobna do tego, ale nie jest tym”.

Nieprawda jednak, że nic się nie zmieniło. Może nie używam słów „uleczenie”, „zamknięcie”, „ozdrowienie”, lecz jestem świadoma istnienia czegoś innego. Może czegoś w rodzaju przygotowania. Jeszcze niegotowego, chociaż bliskiego uwolnienia. Odpuszczenia.

SMS: „Jak się masz? Mieszkanie na tip-top!”.

Mój bohater.

Myślę teraz o kobiecie, do której należy ten dom. Należał. Kobieta, której nigdy nie poznałam. W trzech małych pokojach zostały tylko niezbędne rzeczy. Zostawiona czarno-biała fotografia w srebrnej ramce wisząca na ścianie w sypialni. Przedstawia parę, to na pewno kobieta i jej mąż, stoją obok samochodu. (Dlaczego ludzie w tamtych czasach zawsze pozowali do zdjęć przy samochodzie?). On jest w mundurze armii amerykańskiej, ona ubrana w ówczesnym stylu: watowane ramiona, grzywka na okrągły wałek, buty jak u Myszki Minnie. Przystojny, ładna. Młodzi. Ledwie dzieciaki. Wiem, że on zmarł ponad dziesięć lat temu. Ona radziła sobie doskonale do zeszłego roku, kiedy wszystko naraz zaczęło się sypać. Z energicznej pływaczki i ogrodniczki rozwiązującej krzyżówki stała się bezradna. Bez nóg, bez oczu, bez uszu, bez zębów, bez pary. Niemal bez pamięci. Coraz słabszy i słabszy umysł.

Kiedy zasadziła te róże? Teraz rozkwitły w pełni, wspaniale, czerwone i białe. Zapach, od którego możesz tylko jęczeć: „Aaach”. Myślę o tym, jak bardzo ją musiały cieszyć, rok po roku, jaka była z nich dumna. Mimo wszystko jest mi smutno nie dlatego, że kobieta na pewno za nimi tęskni, ale dlatego, że tęsknić już nie potrafi. To, za czym tęsknimy – co tracimy i co oplakujemy – właśnie to czyni nas ludźmi, którymi w głębi duszy naprawdę jesteśmy. Nie wspominając o tym, czego w życiu pragnęliśmy, lecz nigdy nie mieliśmy.

To bez wątpienia prawda w określonym wieku. W dodatku młodszym, niż może się nam zdawać.

Widzę, że słońce cię uśpiło. Ale nie przesadzmy, co? Dziś ma być trzydzieści stopni.

Może powinnam ci przynieść wodę. A przy okazji wielką szklanę mrożonej herbaty dla siebie.

No proszę, spójrz. Motyle. Całe roje, unoszą się nad trawnikiem niczym mała biała chmurka. Chyba nigdy nie widziałam aż tylu razem, choć często widuje się je w parach. To chyba bielinek kapustnik. Z daleka nie widać, czy ma na skrzydełkach czarne kropki.

Powinny na ciebie uważać, zjadaczu owadów. Jedno kłapnięcie szczęką i pożarłbyś większość z nich. I lecą prosto na ciebie, jakbyś był tylko wielką skałą leżącą w trawie. Obsypują cię niczym konfetti, a ty – a ty ani drgniesz!

Cóż to za dźwięk? Co zobaczyła ta mewa, że tak potwornie zakrzyknęła?

Motyle na powrót uniosły się w powietrze, ruszając w kierunku brzegu.

Chcę cię zawołać, ale twoje imię więźnie mi w gardle.

„Mój przyjacielu, och, przyjacielu!”

# Podziękowania

Dziękuję, Joy Harris. Dziękuję, Sarah McGrath.

Jestem wdzięczna również fundacjom Civitella Ranieri i Saltonstall Foundation for the Arts oraz Hedgebrook za ich szczodre wsparcie.

Fragment tej książki ukazał się w „The Paris Review”. Dziękuję, Lorin Stein.

# Przypisy

[1] Jeśli nie podano inaczej, tłumaczenia cytatów literackich są autorstwa Dobromiły Jankowskiej.

[2] Tłumaczenie Franciszek Mirandola.

[3] Amerykański seryjny morderca.

[4] Virginia Woolf, *Własny pokój*, przeł. Agnieszka Graff, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 1997, s. 35.

[5] George Steiner, *Nauki Mistrzów*, przeł. Jerzy Łoziński, Zysk i S-ka, Poznań 2007, s. 33.

[6] John Maxwell Coetzee, *Hańba*, przeł. Michał Kłobukowski, Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”, Kraków 2003, s. 9 [e-book].

[7] Virginia Woolf, *Szkic z przeszłości [w:] Chwile istnienia. Eseje autobiograficzne*, przeł. Maja Lavergne, Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa 2005, s. 199.

[8] Simone Weil, *Świadomość nadprzyrodzona*, przeł. Aleksandra Ołędzka-Frybesowa, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1999, s. 103.

[9] Joe Randolph Ackerley, *Moja Tulipanka*, przeł. Wacław Sadkowski, Studio Emka, Warszawa 2013, s. 46.

[10] *Ibidem*, s. 27.

[11] Robert Graves, *Wszystkiemu do widzenia!*, przeł. Tomasz Wyżyński, Książka i Wiedza, Warszawa 1997, s. 141.

[12] Rainer Maria Rilke, *Zapiski Maltego Lauridsa Brigge*, przeł. Piotr Wiktor Lorkowski, Biblioteka „Toposu”, Sopot 2011, s. 140.

[13] John Maxwell Coetzee, *Hańba*, przeł. Michał Kłobukowski, Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”, Kraków 2003, s. 98 [e-book].

[14] Rainer Maria Rilke, *Listy do młodego poety*, przeł. Justyna Nowotniak, Świat Literacki, Izabelin 1996, s. 65.

[15] William Shakespeare, *Król Lear*, przeł. Leon Ulrich, akt V, scena III, [w:] *Dzieła dramatyczne Williama Shakespeare’a*, t. 4, G. Gebethner i Spółka, Kraków 1895 [<http://wolnelektury.pl>].

[16] Oba cytaty w tym akapicie za: Milan Kundera, *Niežnośna lekkość bytu*, przeł. Agnieszka Holland, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1996, s. 215–216.

[17] Vladimir Nabokov, *Blady ogień*, przeł. Stanisław Barańczak, Michał Kłobukowski, MUZA SA, Warszawa 2011, s. 36.



[18] Virginia Woolf, *Chwile wolności. Dziennik 1915–1941*, przeł. Magda Heydel, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007, s. 313.



Wydawnictwo Pauza powstało jesienią 2017 roku na Saskiej Kępie w Warszawie. Zrodziło się z pasji – do czytania i dobrej prozy zagranicznej. Pauza specjalizuje się w literaturze z wyższej półki, która wciąga, pochłania, wywołuje emocje. Czytelnicy znajdą u nas znane i nagradzane książki z całego świata, ale też mocne debiuty literackie.  
*Przyjaciel* to jedenasta książka Wydawnictwa Pauza.

Dotąd ukazały się:

*Legenda o samobójstwie* – David Vann

*Pierwszy bandzior* – Miranda July

*Nasz chłopak* – Daniel Magariel

*Historia przemocy* – Édouard Louis

*Tirza* – Arnon Grunberg

*Pasujesz tu najlepiej* – Miranda July

*O zmierzchu* – Therese Bohman

*Piękna młoda żona* – Tommy Wieringa

*Czekaj, mrugaj* – Gunnhild Øyehaug

*Floryda* – Lauren Groff